

VERONICA SATTLER

*Skarb*

# 1

*Londyn, lipiec 1815 r.*

Lady Christina St. John wpatrywała się w dwa miniaturowe portrety na toaletce. Miała suche oczy. Wiadomość o śmierci rodziców w wypadku, który nastąpił w wyniku pęknięcia osi powozu, dotarła do niej poprzedniego dnia, a ona aż do tej chwili nie uroniła ani jednej łzy.

Przybłąkała się mętna myśl, dochodząca jakby z wielkiej odległości: to z pewnością szok. Wiedziała, że brak łez nie oznacza, iż nie kochała rodziców. Przeciwnie, uwielbiała ich. Była jedynym dzieckiem hrabiego i hrabiny Marston, obdarzonym ogromną miłością i czułością.

Ale tak trudno było jej skojarzyć te dwie uśmiechnięte twarze w srebrnych ramkach z faktem, iż nigdy ich już nie zobaczy. Jej wzrok spoczął na tycjanowskich lokach kobiety z portretu, lokach tak podobnych do jej włosów. Nie, nie mogła uwierzyć, że mama nie zawołała do niej wkrótce z sypialni na dole, nie spyta jej o zdanie w kwestii nowej fryzury czy kroju sukni.

Przeniosła spojrzenie na jasnowłosego mężczyznę. Wielkie, szeroko rozstawione oczy miały inteligentny wyraz

i figlarne ogniki, głęboko ukryte w brązowej głębi. Zdawała sobie sprawę, że odziedziczyła po ojcu kształt oczu, choć nie kolor. Jej oczy były szare, tak jak mamy. Przejrzyście szare z fiołkowym odcieniem, zwłaszcza jeśli nosiła suknię w tym kolorze... tak jak mama... na portrecie...

Christina nabrała głęboko powietrza i powoli je wypuściła, ale łzy ciągle nie chciały się pojawić. A więc szok... niechybnie szok...

Ciche pukanie wytrąciło ją z zamyślenia. Wdzięczna za chwilę ulgi, nawet gdyby miały to być ktoś ze służących, głośno zawołała, by wejść. Odwróciła się ku drzwiom, plecami do miniaturowych portretów.

Do pokoju wśliznęła się ciemnowłosa kobieta w wieku jej matki, wciąż ładna mimo wyraźnych pasm siwizny na skroniach. Maire Fitzpatrick służyła St. Johnom od dnia urodzenia Christiny. Z niani awansowała na guwernantkę, a potem na osobistą pokojówkę pań i ich zaufaną. A teraz stała się osobą najbliższą Christinie. Dziewczyna zapragnęła nagle doznać błogosławionej ulgi w towarzystwie tej rozsądnej, macierzyńskiej Irlandki. Uśmiechnęła się do niej łagodnie.

- Ach, dziecko, jak to dobrze, że możesz się uśmiechać - powiedziała Maire, której twarz poczerwieniała od szlochania. Postawiła małą tacę i zerknęła z troską na delikatną buzię Christiny. - Ale pewnikiem parę łez z tych ślicznych ococków by nie zaszkodziło. Nie płakałaś?

Dziewczyna pokręciła głową i sięgnęła po imbryk z herbata. Bała się zmienić temat. Nie wątpiła, że i ona opłacze rodziców. Może kiedy będzie miała za sobą ich skromny pogrzeb. Na razie gnębiły ją bardziej naglące sprawy.

Na przykład, jak uniknąć ruiny.

Dobrze wiedziała, dlaczego rodzice wyprawili się w podróż po kamienistych niebezpiecznych drogach. Jechali do domu rodzinnego jej matki w górach Szkocji. Nazywano go dworem MacKenziech i choć matka spędziła tam dzieciństwo, Christina wcale go nie znała. Była w nim tylko raz, jako małe dziecko. Margaret MacKenzie St. John nie odwiedzała go od lat - od śmierci dziadków ze strony matki. Wtedy dziedziczka - w tej rodzinie majątek dziedziczyły kobiety - zdecydowała zarządzać posiadłością, pozostając w Anglii.

Zdaje się, że teraz to ja jestem dziedziczką MacKenziech, zdała sobie sprawę zdumiona Christina.

Tym lepiej, zważywszy nie do końca jeszcze skryształizowany plan, nad którym myślała tej długiej, bezsennej nocy. Wyprawa rodziców w celu uratowania ich od bankructwa zakończyła się tragicznie. Teraz obowiązek ratowania rodzinnego majątku spoczął na barkach Christiny. Jeśli to w ogóle było możliwe.

Wszystko zaczęło się od owego dziwnego listu, po którym ojciec poniósł ogromne straty na giełdzie. Tylko on, pomyślała Christina, uśmiechając się sarkastycznie w duchu, mógł beztrąsko zaryzykować cały rodzinny majątek na przedwczesną wieść, iż Napoleon zwyciężył pod Waterloo. Drogi, nierozważny papa, który - jeśli wierzyć prawnikom - był wypłacalny i nie musiał inwestować aż tyle w ryzykowne spekulacje na rynku czasów wojny. I nie było powodu wpadać w panikę i sprzedawać wszystkiego za grosze na samą plotkę, że Bonaparte pobił wojska Wellingtona.

Plotka była nieprawdziwa, o czym się wkrótce dowiedzieli,

ale było już za późno. Znaleźli się na skraju bankructwa. Christina pamiętała chwilę sprzed niespełna tygodnia, kiedy rodzice ją o tym powiadomili. Zawsze mówili sobie o wszystkim, zwłaszcza odkąd osiągnęła wiek, w którym zaczęła rozumieć sprawy dorosłych.

Ufali jej do tego stopnia, że pokazali list ze Szkocji. To, że mama otrzymała go pod koniec grudnia, nie miało żadnego znaczenia, ponieważ wtedy ona i jej mąż uznali go za dobry żart, kaprys zdziecinniałego starca.

- Wyobraź sobie - mówili - ten biedny staruszek umyślił sobie, że powinniśmy rzucić wszystko i przyjechać do Szkocji z powodu baśni o zakopanym skarbie! Wyborne!

Ale potem koło fortuny się obróciło i zobaczyli list Angus MacIvera w innym świetle... świetle rozpaczliwej, dzięki nadziei. Powiedzieli o nim Christinie tego samego dnia, kiedy oznajmili, że następnego ranka wyjadą do Szkocji.

- Jego lordowska mość znowuż o ciebie pytał. - Głos Maire przerwał jej rozmyślenia.

- Naprawdę? - rzuciła Christina z roztargnieniem. Myślała o zakopanym skarbie. Starzec nazwał go „Skarbem Wilka Morskiego”.

Maire zmarszczyła czoło i cmoknęła z dezaprobatą.

- Słyszałaś, dziecko, com rzekła? Twój narzeczony, lord Aaron, przyszedł cię pocieszyć w tej godzinie... - Urwała, słysząc ciche parsknięcie. Uniosła brwi. - Christino, dziecko, jakże to, śmiejesz się, kiedy...

Dziewczyna nie pozwoliła jej dokończyć.

- Przepraszam, ale nie mów nigdy więcej, że lord Aaron Crenshawe chce mnie pocieszyć. To nie leży w jego naturze.

Powiedz raczej, że przyszedł, ponieważ tak wypada. Powiedz, że zmusił go markiz, jego ojciec. Powiedz wreszcie, że przywiodła go tu chęć sprawdzenia, czy rzeczywiście mój ojciec poniósł tak wielkie straty i czy nadal jestem dziedziczką, na której mu zależy, lecz nigdy więcej nie udawaj, że przyszedł mnie pocieszyć!

Starsza kobieta spojrzała na nią srogo.

- Cóż to znowu za dyrdymały wygadujesz, dziecko! Nikt cię nie przymuszał, samaś się zaręczyła dopiero tej wiosny!

- Dopiero? - powtórzyła Christina, wiernie imitując wymowę Maire. Miała wspaniały dar naśladownictwa, który ujawniła już we wczesnym dzieciństwie. Często płała w ten sposób figle swojej niani, doprowadzając ją do serdecznego śmiechu.

Ale teraz Maire nawet się nie uśmiechnęła.

- Ano, dyrdymały! Albo i gorzej! Obraza boska, takie rzeczy gadać o narzeczonym!

- Maire, najdroższa - odezwała się Christina z przesadną cierpliwością - doprawdy, nie ma powodu, byś się tak unosiła. I to nie żadna obraza boska, lecz czysta prawda: jego lordowska mość ma, jestem co do tego absolutnie pewna, ogromnie wiele cennych zalet, lecz czułość do nich nie należy.

- Wszyscy święci! Więc jednak! Takem też pomyślała tego dnia, co to przyszedł się o ciebie starać, a tyś go przyjęła, alem trzymała język za zębami. Taka cudna panienka, mówiłam sobie, piękność sezonu, zacni panowie lecą do niej jak muchy do miodu, a ona zgadza się na tego synalka markiza, co to ma oczy zimne jak ryba. Alem zmilczała, boś zawsze miała swój rozum, *macushla*, i pomys-

łałam, że pewnikiem znasz go lepiej ode mnie. A tu proszę, sprawdziło się najgorsze! Ach, dziecko, nijak nie mogę pojąć, czemuś ty wybrała akurat jego!

Christina uniosła delikatny łuk brwi, lecz nie odpowiedziała. Pociągnęła łyk herbaty. Oczywiście, Maire mogła tego nie rozumieć, ale ona doskonale zdawała sobie sprawę, dlaczego wybrała przyszłego markiza Beckwith. Wiedziała, że nie jest zakochana w Aaronie, mimo iż był urodziwy i utytułowany. Ale praktyczna natura kazała jej przyjąć jego oświadczenia; chłodny, wyniosły lord Aaron był znany powszechnie jako czarodziej finansów. W wieku trzydziestu lat dzięki roztroprnym inwestycjom i zarządzaniu potroił majątek rodziny.

W przeciwieństwie do kochanego ojca Christiny, Aaron nigdy by nie wpadł na pomysł zaryzykowania wszystkiego w niepewnym interesie. Te ostatnie, niefortunne decyzje stanowiły jedynie niewielką część niepowodzeń, przez które Christina i biedna mama czuły się przez ostatnie lata tak niepewne finansowo. Ostatnie, czego jej było potrzeba, to męża ze skłonnością do takich samych pomysłów!

Poza tym była na tyle spostrzegawcza, by zdać sobie sprawę z tego, że Aaron jej nie kocha. Jedna z wiejskich posiadłości St. Johnów graniczyła z ziemią markiza, a Aaron chętnie połączyłby je ze sobą poprzez więzy małżeńskie. Tereny te stanowiły posag Christiny, gdyż nie miała rodzeństwa, i nie były związane z tytułem hrabiowskim, który obecnie - wraz z posiadłością w Sussex - miał przejść w ręce jakiegoś dalekiego krewnego.

Co więcej, żaden z kawalerów, którzy oświadczyli się jej po debiucie, nie obudził w niej żywszych uczuć. Więc

dlaczego nie miałyby zdecydować się na małżeństwo z rozsądku, wyłącznie dla finansowego bezpieczeństwa, które mógł jej zapewnić wybranek? Takie rozwiązanie wydawało się rozsądne, nawet w obliczu możliwości, że zostanie szkocką dziedziczką.

Oczywiście w tej chwili jedyną rzeczą, jaką odziedziczyła, była sterta weksli i kwitów zastawnych, w tym jeden na Marchmaine w Surrey. I nie była aż tak niemądra, by sądzić, że Aaron się z nią ożeni, jeśli straci ten majątek.

Dowiadawał się o nią już dwukrotnie, choć Maire i reszta służących mieli zawiadamiać gości, iż panienka nie przyjmuje. Nie wątpiła, iż jego lordowska mość jeszcze wróci, i że - jak powiedziała Maire - jego wizyty nie mają nic wspólnego ze współczuciem.

Usiłował oszacować straty.

Nagle poczuła gwałtowną potrzebę działania. I to szybko, by jakoś odwlec wizytę Aarona. Odstawiła filiżankę na spodeczek i podbiegła do wielkiej szafy.

- Maire - odezwała się z ożywieniem - czy *madame* Bouchard przysłała jakieś przedpołudniowe suknie?

- Tylko pelisę, co to jej nie sprzedała. Młoda żona tego starego lorda Pomfreta zamówiła ją nieco, jakby tu rzecz, przedwcześnie, kiedy biedny stary przyk zapał zapalenie płuc. Na nieszczęście... to jest, na nieszczęście dla młodej pani, jego lordowska mość uparł się wyzdrowieć - oznajmiła Maire sarkastycznie.

Ale Christina prawie jej nie słyszała. Przejęta szperała w szafie, odrzucając jedną suknię po drugiej, gdyż wszystkie były zbyt barwne i frywolne jak na przedpołudnie. Mimo iż zazwyczaj ubierała się w chłodne błękity, zielenie i fioł-



kowe odcienie, tak doskonale podkreślające jej płomienne włosy, ta garderoba została skompletowana pod kątem sezonu; nawet srebrzysta popołudniowa suknia, wybrana specjalnie dla uwydatnienia koloru jej oczu, nie wchodziła w rachubę. Ale z pewnością jest coś, co mogłaby...

- Jezus, Mario, drogie dziecko! - wykrzyknęła Maire. - I czegoż to tak szukasz? Toć ci mówiłam, że tylko ta pelisa...

- Maire - przerwała jej Christina; odwróciła się, trzymając przed sobą intensywnie niebieskąjedwabną suknię. - Musisz mi pomóc znaleźć coś odpowiedniego. Może jeśli przykryjemy to pelisą...

- Co? Teraz?!

- Naturalnie. Jak sądzisz, po co zaglądam do szafy?

- Ale... dokąd to się wybierasz, dziecko? Twoi biedni rodzice...

- Wybieramy się, Maire, do kancelarii Carruthersa i Higgsa, prawników ojca. A potem, być może, na poszukiwanie skarbów!

Niespełna godzinę później obie kobiety siedziały już w lekkim powozie zmarłego hrabiego. Pojazd włókł się przez zatłoczoną Piccadilly. Zwykle dobroduszna twarz Maire była poważna; Irlandka nie kryła, że ta wycieczka wcale się jej nie podoba. Żałoba to żałoba, czas przeznaczony na uporanie się z bólem - tak to pojmowała. To zasady ustanowione przez dystygowane towarzystwo, zasady przestrzegane podczas żałoby i służące rozsądnemu celowi. A te zasady nie dopuszczają, by ktoś, kto od dwudziestu czterech godzin jest sierotą, latał po Londynie jak kot z pęcherzem!

Zakopany skarb, he? - pomyślała, zerknawszy chmurnie na profil Christiny, rysujący się za zwojami czarnej koronki, którą odpruły od starej sukni balowej i przyszyły do jeździeckiego cylinderka. Ach, dziecino, toć jeszcześmy nawet nie pochowali twoich biednych rodziców!

Ale dobrze wiedziała, że głośny protest nie ma sensu. W domu sprzeciwiała się ze wszystkich sił - bez skutku. To dziecko uparło się jak muł i za żadną cenę nie chciało zmienić zdania. Szkocki upór, ot co. Odziedziczyła go po matce.

Oczywiście, Maire rozumiała powagę sytuacji, która zmusiła to biedactwo do tak desperackich kroków. Christina zwierzyła się jej ze wszystkiego. Ach, co za szkoda, że hrabia, jej ojciec, nie miał lepszej ręki do interesów! Ale żeby tak rzucać wszystko i pędzić na wieść o majątku biednej zmarłej pani tylko z powodu głupiego listu od jeszcze głupszego starego Szkota? To ci dopiero przedsięwzięcie! A przypuśćmy, że ci panowie prawnicy powiedzą, że i ten kawałek ziemi poszedł pod zastaw? I co wtedy?

Maire westchnęła ciężko, ponieważ znała już odpowiedź: kolejna głupia wyprawa, tym razem jeszcze bardziej nie stosowna - i nierozsądna! Podróż do dworu MacKenziech, ot co! I niech wszyscy święci ich chronią przed tymi samymi niebezpieczeństwami, które odebrały życie rodzicom dziewczyny!

Jeśli Christina zdawała sobie sprawę z ponurych myśli gnębiących Maire, nie zaprzętała sobie nimi głowy. Usiłowała przypomnieć sobie treść listu Angus MacIvera. Widziała go tylko raz, w dodatku przelotnie. Jeśli Carruthers i Higgins nie mają torebki mamy, a nawet jeśli mają, a list

nie znajduje się już w wewnętrznej kieszonce, gdzie był schowany... No tak, to skomplikuje sprawę. Wiedziała, że list, który w dodatku zawierał krótką historię Skarbu Wilka Morskiego, dokładnie opisywał drogę do... zagrody pana MacIvera, tak chyba to określał. Jeśli nie dostanie listu, będzie musiała znaleźć ową zagrodę w inny sposób, lecz wtedy nie zachowają swej wyprawy w tajemnicy.

A tego właśnie nie mogły robić.

Zdawała sobie sprawę, że uspianie czujności Aarona nie będzie łatwe. Jego lordowska mość nie może podejrzewać, że Christina wyjechała do Szkocji, tą samą drogą, na której zginęli jej rodzice. Natychmiast zaczęłyby się czegoś domyślać. A Aaron nie był głupi. Wyciągnąłby wnioski ze wszystkich podejrzeń, które już chyba żywił co do strat jej rodziny. A gdyby jeszcze się dowiedział, że pogrążona w smutku narzeczona zmierza prosto do dworu MacKenziech, choć w niedawno napisanym liściku oznajmiała, że „wycofuje się do samotni”... Bez wątpienia uznałyby za bardzo podejrzane, że owa „samotnia” dziwnym trafem znajduje się w okolicach, w których rodzice Christiny pożegnali się z życiem. Co więcej, nawet gdyby go nie zdziwiło, że na miejsce smutnych rozmyślań wybrała akurat nieprzystępną Szkocję, a nie majątek w Marchmaine czy Sunnyfields (inny majątek nie związany z tytułem ojca, również zadłużony ponad wszelkie wyobrażenie), z pewnością chciałby wiedzieć, dokąd ma wysyłać listy. A może nawet pojechałby razem z nią, zadając niepożądane pytania, na które byłaby zmuszona udzielać odpowiedzi - szczerych, gdyż nie potrafiłaby go okłamać.

Musiała odzyskać ten list także dlatego, że gdyby - po-

wiedzmy - pytała służbę innych rodzin o drogę do dworu MacKenziech, wszystko rozniosłoby się po okolicy. Służących można zmusić do wyjawienia sekretu, a nie miała powodu przypuszczać, że Aaron nie byłby zdolny do osiągnięcia celu za pomocą szantażu i przekupstwa.

Oczywiście, gdyby zdołała w jakiś inny, graniczący z cudem sposób przypomnieć sobie szczegóły zawarte w liście, nie czytając go ponownie...

Zaczynał się tak:

*Moja droga Pani St. John, nie znasz mnie, gdyż kiedy ostatnio zawitałaś w swym szkockim domostwie, ja byłem daleko, ale my, MacIverowie, jesteśmy wiernym klanem, służącym MacKenziem od czasów wcześniejszych niż mroczne dni Culloden Moor... ostatni z mojego rodu... strażnik Skarbu Wilka Morskiego... przybądź, zanim będzie za późno...*

Christina zmarszczyła czoło pod gęstą woalką. Nie potrafiła przypomnieć sobie reszty słów. List wspominał coś o starym domu MacKenziech, zburzonym do fundamentów podczas powstania jakobitów w 1745 roku - „ruszenia z czterdziestego piątego”, według określenia autora. Ale podobno nie odkryto przy tym skarbu. A skarb... MacIver twierdził, że pochodzi z hiszpańskiego galeonu... A zatem był bardzo stary, jeśli w ogóle istniał.

Powóz zatrzymał się przed kancelarią w pobliżu Lincoln's Inn Fields. Christina otrząsnęła się z zamyślenia. Ten skarb musi istnieć, po prostu musi! Nie miała pojęcia, co pocnie, jeśli go nie znajdzie.

## 2

Zanim przybyły na miejsce, zaczął padać deszcz. Mimo protestów Maire, Christina zostawiła ją w powozie. Nie ma sensu, żeby obie zmokły, jak powiedziała. W rzeczywistości chciała się uwolnić na chwilę od obecności swej towarzyszki i jej ponurych prorocत्व. Wiedziała, że Maire uważa tę wyprawę i cały pomysł za głupotę. Znacznie lepiej będzie rozpocząć sprawę bez jej pesymistycznego wpływu.

Zignorowała gderanie Irlandki, przyjęła pomoc woźnicy Coatesa przy wysiadaniu z powozu i po chwili stała już w mrocznym przedpokoju kancelarii Carruthersa i Higginsa. Przynajmniej wydawał się jej mroczny, zanim nie zdała sobie sprawy, że to grube fałdy czarnej koronki są przyczyną tego złudzenia.

Zatrzymała się na chwilę, by otrząsnąć z pelisy krople deszczu; z oddali dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi, szmer męskich głosów i ponowny trzask. Pewna, iż to Oliver Carruthers wyszedł na jej powitanie - wysłała służącego z liścikiem uprzedzającym o wizycie - ruszyła przed siebie,

przeklinając w myślach woalkę, która prawie zupełnie ją oślepiła.

Nagle wpadła na coś, co wydawało się ścianą; jednak kiedy straciła równowagę i wydała cichy okrzyk, rzekoma ściana usunęła się jej z drogi!

- Najmocniej prze... oho, trzymam panią! Spokojnie, nic się nie stało.

Na policzki Christiny wypełzł gorący rumieniec zażenowania, kiedy twarde męskie mięśnie wparły się - nie znalazła na to innego słowa - w jej ciało. Muskularne ramię przycisnęło i spłaszczyło jej biust, osłonięty cienką letnią pelisą, a ręka nieznanego sięgnęła pod jej ramię, podtrzymując ją i nie pozwalając się osunąć na wyfroterowaną posadzkę. Przez woalkę przesączyło się przepojone zapachem tytoniu powietrze z jego oddechu. Mężczyzna objął ją w pasie drugą ręką. Stanęli przytuleni do siebie.

Mój Boże, pomyślała Christina, już pewna, że to nie Carruthers ani jego zniewieściały urzędnik, lecz zupełnie obcy człowiek - Amerykanin, sądząc po akcencie. Jeśli nie puści mnie w tej chwili, ośmieszę się jeszcze bardziej i zemdleję!

Oczywiście, nigdy w życiu nie zemdląca, gdyż mimo smukłej budowy ciała była zdrowa i pełna energii. Potężna postać mężczyzny w połączeniu z fizyczną bliskością, do której nie dopuszczała nawet w przypadku narzeczonego, wywołała w niej liczne i nadzwyczaj krępujące reakcje.

Nieznamy - całkiem, jakby potrafił czytać w myślach - postawił ją na ziemi i się odsunął. Przemówił z wyraźnym amerykańskim akcentem:

- No i w porządku, droga pani, nic się nie stało. Oho, chyba pani teraz nie zemdleje, co?

Christina usiłowała opanować przyspieszone bicie serca; ręce spoczęły się jej pod czarnymi rękawiczkami. Po raz pierwszy przyjrzała się nieznajomemu. Potem doszła do wniosku, że prawdopodobnie jej oczy wreszcie przyzwyczały się do mroku pod woalką, a może zbliżyli się do ściany, ku światłu rzucanemu przez wyrafinowany kinkiet.

Na Boga, ależ on jest... wspaniały, pomyślała na wpół przytomnie i omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem. Grubo ciosane rysy Amerykanina w niczym nie przypominały rozpowszechnionego ideału męskiej urody. Mężczyzna, który przed nią stał, nie miał delikatnie ukształtowanych policzków, orlego nosa i jasnej cery jak jej narzeczony, który budził tęskne westchnienia w salonach całego Londynu.

Nieznajomy był wprawdzie jasnowłosa i niebieskooki, ale wydawało się, że do stworzenia jego kolorytu użyto zupełnie innej palety. Loki w odcieniu ciemnego blondu, pokrywające nieco podłużną, pięknie wysklepioną głowę, były przetykane pasmami wyblakłymi od słońca... ciemny, gorący kolor miodu, przeświecony słonecznym blaskiem. Przenikliwy błękit oczu przywodził na myśl wieczorne niebo... indygo, migoczące iskrami gwiazd. Nos był długi, prosty, kości policzkowe - wydatne. Mocny podbródek i szczęka znamionująca upór, której nie zdołały zmiękczyć dołeczki po obu stronach zmysłowych ust. I te wargi! Uśmiechały się do niej leniwie. Czy z niej kpiły?

To ostatnie spostrzeżenie zupełnie zbiło Christinę z tropu. Wystarczyła jej chwila, tyle ile trzeba na zaczerpnięcie oddechu, by dostrzec wszystkie atrybuty obcego, lecz dlaczego wydawał się rozbawiony jej... Czym? Zmieszaniem?

Zagubieniem? Nie potrafiła zdecydować; przecież nie znała tego mężczyzny, w dodatku był Amerykaninem.

Zaczerwieniła się jeszcze gwałtowniej i wyjąkała:

- Nie... ja... ja nigdy nie mdleję!

Uśmiezek nieznajomego rozszerzył się i teraz nie miała już wątpliwości: był zdecydowanie kpiący. Szyderstwo zamigotało w oczach Amerykanina, błysnęło niczym jego idealnie białe zęby, które tak ostro kontrastowały z ogorzałą skórą twarzy.

- Miło mi to usłyszeć.

Miał głęboki głos, dźwięczny i stonowany, i wyrażał się grzecznie. Więc dlaczego się wzdrygnęła? Może dlatego, że odczytała ukryte znaczenie jego słów? Zauważyła, że jednym spojrzeniem objął jej figurę i skierował wzrok na zwoje woalki - grube, na szczęście! - zasłaniające jej twarz. Ale coś jej mówiło, że za uprzejmością, za grzecznymi słowami kryje wspomnienie dotyku jej ciała - że przypomina sobie każdy intymny szczegół i nie pozwala jej o tym zapomnieć, a przy tym bawi się jej skrępowaniem!

Innymi słowy, nie był to džentelmen.

Ale zanim zdołała podjąć jakąkolwiek decyzję, skłonił się - znowu bardzo grzecznie, a jednak w jakiś sposób kpiąco - i ruszył do wyjścia.

Christina stała jak sparaliżowana; po raz pierwszy w życiu zabrakło jej słów, po raz pierwszy w życiu poczuła tak przedziwne doznania. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy za jej plecami rozległo się dyskretne odkaszlnięcie Oliviera Carruthersa.



- Jest! - Christina, nieprzytomna z wrażenia, wyszarpaneła z błękitnej aksamitnej torebki złożony arkusik.

- Hmm! - sapnęła Maire, nadal obrażona za to, że Christina kazała jej siedzieć w powozie. A czy to wydarzenie, to zderzenie z jakimś dzikim Amerykaninem, nie wynikało ze szwendania się samopas? Już ona by dała temu pogańskiemu łobuzowi, gdyby się odważył niepokoić młodą damę!

Oczywiście - o czym Maire nie mogła wiedzieć - Christina wcale nie zamierzała jej opowiedzieć o owym niesmacznym incydencie, ale kiedy opuściła kancelarię po udanym spotkaniu z Carruthersem, a Coates pomagał jej wsiąść do powozu, zobaczyła po drugiej stronie ulicy Amerykanina, opierającego się o latarnię! A gdy pochwycił jej spojrzenie, miał czelność pozdrowić ją kpiąco i rubaszenie!

A więc wpadła do powozu, rozżłoszczona jak osa. I, oczywiście, musiała wyjaśnić Maire, co się stało.

Ale okropny nieznajomy odszedł w zapomnienie, kiedy tylko Christina wyjęła list Angusa MacIvera.

- Tylko posłuchaj! „Podczas ruszenia w czterdziestym piątym ci, którzy pozostali lojalni naszemu zacnemu księciu i zachowali życie, zostali odarci z praw i majątków. Ale mój przodek, niejaki Duncan MacIver, przypadkiem uratował życie angielskiemu oficerowi i dlatego go oszczędzono i oddano mu część ziemi, na której teraz stoi moja nędzna zagroda. Wykrojono ją z majątku dumnych MacKenziech, klanu, któremu moja rodzina służyła od zawsze i któremu dochowywała wiary!”

- Ach - przerwała jej Maire. - No i właśnie tutaj widzimy, że to pomylenie! Skoro „dumni MacKenzie” stracili ziemię, to jak to się stało, że rodzina twojej mamusi pozostała w posiadaniu dworu?

- To także jest tu wyjaśnione - oznajmiła Christina, przebiegając wzrokiem stronę. - Proszę: „Co do MacKenziech, Twoich przodków, nieco podupadli, lecz mieli tyle szczęścia, że mimo udziału w ruszeniu zatrzymali spory kawał swych ziem. To dlatego MacKenzie, panicz, wziął sobie Angielkę za żonę. Jej rodzina rozpoczęła proces i wygrała. Pozwolono im pozostać i posiadać szkockie ziemie. To także wyjaśnia, dlaczego szkocki dwór Twojej rodziny jest odtąd przekazywany kobietom, nie mężczyznom. Jedynym ustępstwem na rzecz panicza, które utrzymało się aż do czasów unii było to, iż kobietom wolno było zachować nazwisko MacKenziech”.

- Hmmf! - sapnęła znowu Maire. - No, to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego miałybyśmy wierzyć w ten skarb, co to ma być zakopany...

- ...w starej piwniczce z winem! - wpadła jej w słowo Christina. - Słuchaj! „Skarb Wilka Morskiego, nazwany tak na pamiątkę jednego z MacKenziech, który wraz z sir Francisem Drake'em pływał po morzach w czasach królowej Elżbiety, został ukryty w starej piwniczce z winem, na czarną godzinę, gdyby taka miała kiedykolwiek nadejść. Wiem o tym, gdyż to właśnie Duncan MacIver przysiągł, iż będzie strzegł skarbu MacKenziech i jego tajemnicy”.

- Ach! - wykrzyknęła Maire. - Już mi o tym mówiłaś, dziecino. Bardzo dobrze. Przypuśćmy więc, że skarb naprawdę istnieje. Niechże i tak będzie. Ale kto przy zdrowych zmysłach uwierzy, że czeka na nas tam, gdzie go zakopał ten... ten Morski Wilk?

- Angus MacIver w to wierzył - odparła Christina niezłomnie. - A list nie wygląda na majaczenia starego szaleńca.

- Angus MacIver to Szkot! - warknęła Maire, jakby to wyjaśniało wszystko.

Christina uśmiechnęła się szelmowsko.

- To zupełnie tak jak ja... ze strony mamy!

Jacques Beaumonde przyjrzał się mężczyźnie, którzy siedział naprzeciw niego w karczmie Pod Czarnym Lwem. W głównej izbie nie było jasno, ale płomienie z pobliskiego paleniska i lampy olejnej rzucały dość światła, by mógł ocenić swojego rozmówcę.

Przystojny diabeł, pomyślał mimo woli, kiedy Jamie MacIver odwrócił się i skinął na dziewczkę, by przyniosła im jeszcze piwa. Ale to nie jasna uroda MacIvera obudziła w Francuzie takie zainteresowanie, lecz raczej jego nastrój - na tyle, na ile można było go odczytać.

Kapitan James MacIver, do niedawna służący pod generałem Andrew Jacksonem w siłach artyleryjskich Nowego Orleanu, nie wydawał się człowiekiem o nastrojach łatwych do rozszyfrowania. Gdyby spotkali się w innych okolicznościach niż neutralne warunki wojskowego obozu, pewnie w ogóle nie poznałby *le Americain*. Może nawet nie chciałyby go poznać.

Jacques dobrze pamiętał dzień, kiedy po raz pierwszy pojechał na plantację MacIvera. Duży Dom, jak nazywano jego dwór, wznosił się dumnie na niskim stoku wzgórza u końca długiej alei obsadzonej dębami, z których gałęzi zwisały długie brody mchu. Imponująca budowla z różowej cegły pyszniła się frontem z tuzinem masywnych marmurowych kolumn. Jeszcze teraz widział biały blask, jakim

lśniły w promieniach styczniowego słońca Luizjany. Plantacja nazywała się Tysiąc Dębów, a Jacques nie wątpił, iż obejmuje ona dość ziemi, by zapewnić utrzymanie mieszkańcom tego wielkiego domu.

*Mon Dieu, ależ* Laffite wcale nie przesadzał, kiedy nazwał MacIvera najbogatszym oficerem pod rozkazami Jacksona! Z tej właśnie przyczyny Jacques zrezygnowałby z zawarcia znajomości z tym człowiekiem, gdyby wojna nie pomieszała mu szyków.

W pewnych kwestiach Jacques Beaumonde był snobem, z czego zdawał sobie sprawę.

Zachichotał złośliwie pod nosem, przyglądając się, jak cycata dziewczka rzuca Jamiemu powłóczyście spojrzenia. Oczywiście *le Americain* również mógłby nie palić się do zawarcia z nim znajomości!

Jacques, jako bękart urodzony na jakiejś zakazanej marsylskiej uliczce, był świadkiem śmierci matki, którą zabrała zaraza. Miał wtedy sześć lub siedem lat, nie pamiętał dokładnie i zupełnie go to nie obchodziło. Ale pamiętał nieustanne żałosne wyznania matki, iż jego ojciec był szlachcicem, jednym z tych aroganckich, nieczułych arystokratów ze starych czasów. Jacques nienawidził go z całego serca.

Nienawidził tego mężczyzny, którego nazwisko nosił od dnia, w którym stał się na tyle dorosły, by zrozumieć, że ojciec uwiódł biedną, lecz nadobną dziewczynę, a potem ją porzucił, nie dbając o jej dalszy los, tak jak nie dbał o to, co stanie się z dzieckiem, którym ją obdarzył. I od tego samego dnia Jacques Beaumonde powziął głęboką niechęć do bogatych i uprzywilejowanych całego świata, bez względu na narodowość.

Był to jeden z powodów, dla których odszukał Jeana Laffite'a po krótkiej i niezadowolającej służbie w marynarce wojennej Bonapartego. Wskoczywszy za burtę statku w Zatoce Baratariańskiej, ruszył ku wyspie, będącej schronieniem niesławnego korsarza. Zaproponował swą wierność i zbrojne ramię człowiekowi, który rabował zasobne kupieckie statki, przewożące bogactwa dla ludzi pokroju jego ojca.

No dobrze, pomyślał, podnosząc napełniony kufel, wszystko to wydarzyło się bardzo dawno temu. A teraz, być może, pora skierować łódkę na zupełnie inne wody... Roześmiał się cicho, zachwycony własną przenośnią.

- Wydajesz się bardzo zadowolony z siebie, Beaumonde. Głos Jamiego gwałtownie przywrócił go rzeczywistości. - Co cię tak cholernie cieszy?

Pod czarnym wąsem Jacques'a błysnęły białe zęby.

- Samo rozmyślanie o ścieżkach, jakimi prowadzi nas los, *mon ami*. Kto by się spodziewał, kiedy Jackson przyjmował ofertę Laffite'a, który zechciał walczyć u waszego boku, *Americains*, że będę siedział w londyńskiej knajpie i przygotowywał się do podróży do Szkocji.

Jamie odpowiedział takim samym uśmiechem.

- Nie trzeba ci było dwa razy powtarzać, co, Beaumonde? Powiadają, że Szkocja jest całkiem niebrzydka... zwłaszcza góry.

Jacques parsknął lekceważąco.

- Całe piekło by mnie nie zmusiło, żebym zmienił decyzję, *mon ami*. Naprawdę, już mnie to znudziło... rozboje w nocy, spanie z pistoletem pod kocem, brak poczucia... korzeni.

- Co? - wykrzyknął Jamie z kpiącym błyskiem w oku. -

Porzucasz nocne wyprawy? Zgrzyt stali o stał? Zapach prochu? Dreszcz przygody?

- *Oui*. - Twarz Jacques'a niezwykle spoważniała. - Z tym koniec.

Jamie skinął głową; znowu przypomniał sobie wojnę. Przez jakiś czas pili w milczeniu.

- Ach, przez wiele lat było to dobre życie - podjął Jacques po chwili. - Kiedy byłem młody, miałem gorącą krew i pewne... cele do osiągnięcia. Ale teraz zaczynam się robić trochę, eee... podstarzały, jak mówicie. Nie mogę już bawić się w *le corsaire*, czy też, powiedzmy to szczerze, rabować, nawet pod rozkazami takiego geniusza jak Laffite.

Jamie pokiwał głową.

- Pozwolił ci odejść?

- Dał mi błogosławieństwo tego samego dnia, w którym poszedłeś do Jacksona i poprosiłeś o zwolnienie.

Jamie parsknął śmiechem.

- I dopiąłem swego, choć nikt by nie mógł powiedzieć, że dostałem błogosławieństwo! - Wyprostował się i przyjął charakterystyczną postawę, w której nie sposób było nie rozpoznać generała. - I na co ci to, chłopcze? - huknął, naśladując akcent z Tennessee. - Jakże, byłeś przy mnie od Alabamy! I pięknie się spisałeś! Czemu chcesz się teraz poświęcić, synu?

Obaj się roześmiali. Jacques postanowił zaryzykować.

- Właściwie można by się dziwić człekowi, co poświęcił lata służbie i nagle wszystko przekreślił... To chyba przez Sommersa, *mon ami*?

Jamie zamyślił się, wspomniawszy młodego porucznika, którego obaj lubili i który był jego najlepszym przyjacielem.

To na barki Jamiego spadł smutny obowiązek poinformowania żony Sommersa o jego śmierci. Miała zaledwie dwadzieścia lat i była w ciąży z pierwszym dzieckiem.

Sięgnął po kufel, wychylił go i z rozmachem postawił na stole. Przez dłuższy czas nie odrywał wzroku od ognia w kominku.

- Można by rzec, że od niego się to zaczęło - odezwał się wreszcie. Odwrócił się twarzą do Francuza. - Od tej pory wszystko, o co walczyłem, stało się kpina, lecz ja byłem zbyt krótkowzroczny lub głupi, by przyznać to otwarcie. Głos obowiązku, tak to się chyba nazywa.

Znowu spojrzął w płomienie, ale ich nie widział; przed oczami stanął mu połówka arkusik papieru, na który się natknął pewnego deszczowego dnia, kiedy miał dwanaście lat...

Szperał pomiędzy stertami książek, przeniesionych z biblioteki do kufra na strychu; był pewien, że znajdzie wśród nich tę, w której zamieszczono rycinę rzeźby Michała Anioła. Pracował nad „Rozbrykanym koniem” i jego zadanie nogi nie wydawały mu się zadowalające. Dlatego postanowił zwrócić się o pomoc do mistrza nad mistrzami. Nikt nie był w koniach lepszy niż Michał Anioł!

Ale to, co trzymał teraz w drżących dłoniach, co czytał ze łzami płynącymi mu strumieniami po policzkach, wymiotło z jego głowy wszelkie myśli o sztuce i Michale Aniele. Całe ożywienie i zapał, które rozpierały go przed chwilą, gdy wspinał się po schodach na strych, ulotniły się bez śladu, jakby czuł je zupełnie inny chłopiec...

MAJOR ANDREW MACIVER PRZED SĄDEM WOJENNYM: OSKARŻENIE O TCHÓRZOSTWO W OB-  
LICZU WROGA.

Nie mógł w to uwierzyć; jeszcze raz przebiegł wzrokiem nagłówek. Łzy mąciły mu wzrok. Otarł je gniewnie i zmusił się do przeczytania artykułu na żółtkłej, kruszącej się ze starości stronie gazety.

Nie wiedział, ile minęło czasu; parę minut, a może godzin... Żołądek zasupłał mu się w twardy węzeł, gardło ścisnął spazm mdłości. Więc tak wyglądała prawda o jego zmarłym ojcu... Ojcu, o którym matka zawsze wyrażała się z szacunkiem, nazywając go bohaterem wojny o niepodległość! O człowieku, którego -jak twierdziła - sam Waszyngton przedstawił do odznaczenia w dniu, w którym rozwiązał armię!

Kłamstwa! Wierutne kłamstwa! To gadanie o rodzinnym honorze! Honor! Przeprowadzka z Charlestonu, gdzie się urodził, by ojciec - ten bohater wojenny - „odzyskał zdrowie”.

Nie! Nie o zdrowie tu chodziło! Prędej o ucieczkę przed plotkami i... prawdą! Prawdą, której mi nie zdradzili!

Jak mogli? Jak mogli żyć w takim kłamstwie? O Boże, chciałyby umrzeć! Chciałyby...

Dyskretne odchrząknięcie przywróciło go rzeczywistości. Zamrugał - płomienie w kominku nabrały ostrości - i odwrócił się do Beaumonde'a, cierpliwie czekającego na odpowiedź.

- Czy twoi prawnicy wiedzą, kiedy włoski marmur przybędzie do Szkocji?

Jamie skinał głową.

- Twierdzą, że jest już w drodze. Przy odrobinie szczęścia znajdzie się w zagrodzie Angusa MacIvera przed nami.

Jacques wyszczerzył zęby i uniósł kufel.



- Ach, ale teraz to twoja zagroda!

Jamie gestem poprosił o dolanie piwa, lecz myślami krążył wokół listu, który przysłali mu jego prawnicy na krótko po bitwie o Nowy Orlean. Carruthers i Higgins informowali go, że został jedynym żyjącym dziedzicem zmarłego wuja swego ojca, niejakiego Angusa MacIvera z Inverness-shire w Szkocji. A także że odziedziczył jakieś gospodarstwo - parę akrów i niewielki domek, nazywany tam zagrodą - w dzikich ostępach szkockich gór.

- Wiesz, Beaumonde - odezwał się Jamie, ignorując nieśmiało zerknięcie dziewczki nalewającej mu piwo - dziwne, jak się to wszystko układa. Gdybym dostał ten list w jakimkolwiek innym momencie mojego życia, z pewnością kazałbym sprzedać ziemię i nie ruszyłbym się na krok.

Uśmiech Jacques'a miał w sobie coś drapieżnego.

- Ale list przybył tego samego dnia, kiedy zaprosiłeś mnie do Tysiąca Dębów. Ja zaś, ma się rozumieć, pozwoliłem sobie ci poradzić, byś nie tylko zatrzymał tę zagrodę, lecz do niej pojechał!

- Aha - mruknął Jamie. - Gdybyś nie zobaczył tego przekłętego konia na dziedzińcu, w tej chwili pewnie popijałbym sobie spokojnie bourbona.

Jacques zrobił stosownie przerażoną minę.

- Nieprawda! To straszna szkoda, żeby taki geniusz miał się zmarnować! Tę rzeźbę stworzył artysta, *mon ami!*

Jamie uśmiechnął się krzywo.

- Nawet jeśli tym artystą był smarkaty dwunastolatek?

- Tym bardziej! Pozwoliłeś, by talent, którym obdarzył cię Bóg, rdzewiał bezużytecznie od... od ilu lat? Dwudziestu?

- Dokładnie dwudziestu dwóch.

- *Sacre bleu!* - Jacques dobrze pamiętał rzeźbę, którą Jamie nazywał „Rozbrykanym koniem”. Stała na dziedzińcu Tysiąca Dębów, tuż za weneckimi oknami biblioteki, i przedstawiała wesołego żrebaka. Naradzali się w bibliotece, kiedy Jacques dostrzegł rzeźbę i zaczął się nią zachwycać. Ze zdumieniem dowiedział się, że w wieku dwunastu lat Jamie był rzeźbiarzem.

Potem usłyszał, jeszcze bardziej zdumiony, iż jest to jego ostatnie dzieło.

- Ale dlaczego, dlaczego, *mon ami?* - spytał. - Dlaczego odrzuciłeś taki talent?

Jamie zmierzył go typowym dla siebie enigmatycznym spojrzeniem, co oznaczało, iż nie będą rozmawiać na ten temat. Właśnie z powodu tych spojrzeń Jacques zastanawiał się od czasu do czasu nad przyjacielem, starając się rozgryźć jego tajemnicę.

Bardzo skryty jegomość, pomyślał; niewiele daje po sobie poznać, a na resztę opuszcza kurtynę milczenia.

Cóż, nawet mimo takich ograniczeń był szczęśliwy, iż może Jamiego nazywać przyjacielem. Który doświadczony przez życie człowiek nie ma własnych tajemnic? On sam miał swoje demony, osobiste przekleństwa, które dawno pogrzebał i nie chciał ich wskrzeszać. Dlaczego Jamie MacIver miałby być inny?

A jednak czasami musiał się zastanowić nad jego zamiarami.

Weźmy choćby dzisiejszy dzień, dla przykładu. Jamie zostawił go własnym rozrywkom i poszedł do kancelarii, by uzgodnić kwestie spadku. Kiedy wychodził z Czarnego Lwa, zachowywał się, jakby go coś dręczyło. Wahał się,

czy pojechać do Szkocji (zgodził się na to tylko pod warunkiem, że Jacques dotrzyma mu towarzystwa), to znów nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie opuszczą Londyn i ruszą w drogę.

W czasie wspólnego podróżowania Jacques nieraz widział, jak Jamie wyjmuje narzędzia rzeźbiarskie i przygląda się im żałośnie. Dziś rano przed wyjściem z gospody znowu to zrobił. Jacques zaczął się zastanawiać, czy dobrze postąpił, namawiając przyjaciela do wyjazdu w dzikie szkockie ostępy i odświeżenia zapomnianej pasji.

Wypytywany o przyczyny porzucenia tego zajęcia, Jamie wydusił z siebie jedynie, że nie czuje już tej namiętności - ognia, jak powiedział - nawet jeśli zachował talent. „Aby być dobrym, naprawdę dobrym, trzeba mieć obie te rzeczy”.

Wobec tego Jacques odważył się zauważyć, że być może należałoby rozniecić ogień na nowo - na przykład zmieniając otoczenie. Miał zamiar w ten sposób nakłonić przyjaciela do podróży. Ale kiedy Jamie wpadał w taki humor jak dziś, Jacques zaczynał wątpić w swoje argumenty.

Tymczasem tego samego dnia MacIver zjawił się odmieniony nie do poznania. Wrócił z kancelarii uśmiechnięty od ucha do ucha. W dodatku przemoczony do suchej nitki! Ociekał deszczem i wcale nie stracił z tego powodu humoru. Kiedy Jacques spytał go o przyczyny tej zmiany, Jamie tylko się roześmiał! Roześmiał się! A potem, dalibóg, mrugnął do niego i powiedział tajemniczo, że „u Carruthersa i Higginsa można znaleźć o wiele bardziej fascynujące rzeczy niż Carruthers i Higgins razem wzięci!”.

Dlatego teraz, kiedy popijali piwo, Jacques postanowił go wy badać.

- Ciągle chcesz wyjechać rano, przyjacielu? Londyn jest dużym miastem. Moglibyśmy się trochę powłóczyć i...

- Do diaska, Beaumonde, nie! Podpisałem już dokumenty, a prawnicy dali mi znakomitą mapę, więc nie mam powodu czekać.

W gruncie rzeczy nie musiał się spieszyć, lecz - nie wiadomo dlaczego - od chwili rozkosznego zderzenia z małą żałobnicą nie mógł zaznać spokoju. Może to przez tajemnicę, jaką wokół siebie roztaczała, pomyślał. Coś tak nieskomplikowanego jak szczęśliwe spotkanie z zachwycającą kobietą w ciemnym korytarzu przypomniało mu, że życie potrafi zgotować mnóstwo przyjemnych niespodzianek. Była to całkiem znośna perspektywa... może nawet niosąca ze sobą odrobinę nadziei.

Piękna mi nadzieja. Bóg wie, jak bardzo mi jej potrzeba, dodał w duchu. Piekło i szatani, może to bez sensu, ale wiedział, że odkąd ujrzał tę panią w czerni - bardzo obrażoną, kiedy dostrzegła go na ulicy - z jakiegoś powodu dobry humor go nie opuszczał. A zatem, skoro stary zapleśniały Londyn może dać człowiekowi takie drobne radości, cóż mogą mieć na składzie dzikie ostępy Szkocji!

Wrócił spojrzeniem do Beaumonde'a. Starszy mężczyzna przyglądał mu się uważnie i najwyraźniej miał ogromną ochotę zadać parę pytań. Jamie zdawał sobie z tego sprawę; wiedział również, iż Francuz tego nie uczyni. Być może dlatego, że znali się od niedawna. Szanowali swoje tajemnice i nie próbowali nie proszeni ich rozwikłać.

Jamie westchnął. Czasami żałował, że nie ma nikogo, komu mógłby się zwierzyć. Piekło pożądaniami od kilku lat było już poza nim, choć nadał odwiedzało jego najmrocz-

niejsze sny i zmuszało do... Chryste! Czy to się nigdy nie skończy?

Wymamrotał przekleństwo i wezwał szynkarkę.

- Dwie brandy! - warknął. Biedna dziewczyna uciekła co sił w nogach.

Jacques przyjrzał mu się jeszcze wnikliwiej.

- Czy coś się stało, *mon ami*?

- Do diaska, nie! - Jamie roześmiał się, lecz nawet on słyszał fałsz we własnym głosie. - Tylko pora się kłaść. Musimy wypocząć, jeśli mamy wstać o świcie. Jak się na to zapatrujesz?

Zegar na kominku wskazywał, że zbliża się północ, ale Beaumonde - co Jamie zauważył z uznaniem - nawet nie mrugnął okiem.

Dziewczyna postawiła na stole dwie szklaneczki brandy i umknęła, najwyraźniej tracąc zainteresowanie przystojnym Amerykaninem, który nagle wpadł w tak dziwny nastrój.

Jamie uniósł szklankę i gestem zachęcił Francuza, by uczynił to samo.

- Za góry Szkocji! - powiedział. -I obyśmy znaleźli tam to, czego szukamy!

Jacques poszedł w jego ślady.

- Za Szkocję - powtórzył jak echo, po czym dodał: - I za ogień, *mon ami*! Nie zapominajmy o ogniu!

### 3

Jak to dobrze, pomyślała Christina, kiedy niewielki pochód włókł się po niemal nie istniejącej ścieżce na obrzeżu Loch Ness, jak to dobrze, że nie jestem delikatnego zdrowia. Prymitywny wóz, który wynajęli w Dores wraz z małym, krzepkim górskim kucykiem, z pewnością osobę bardziej wątłą doprowadziłby do śmierci.

Zerknęła na Maire, usadowioną obok w płataninie obfitych spódnic. Przez większą część podróży Irlandka zachowywała milczenie i - co należy jej przyznać - prawie nie narzekała, choć Christina zdawała sobie sprawę z jej zmęczenia. Podróż trwała długie trzy tygodnie.

Być może powinnyśmy popłynąć statkiem aż do portu w Leith, pomyślała. Starła się nie szczekać zębami, kiedy dwukołowy wóz wjechał na kamienistą ścieżkę. Następnie trzeba było się kierować wskazówkami MacIvera na trasie od Edynburga na północ. Cztery dni podróży z Londynu do Firth of Forth w pobliżu Edynburga stanowiły najłatwiejszą część tej piekielnej podróży. Jadąc w dyliżansach pocztowych - ona i Maire w jednym, Coates i chłopak stajenny

imieniem Toppers w drugim - pokonywali codziennie po pięćdziesiąt kilometrów, często zmieniając konie, a wypoczywali w wygodnych gospodach. Coates i Toppers zapewniali męską opiekę, konieczną w czasie takiej wyprawy, choć Maire nie mogła się pogodzić z tym, że wynajmują drugi dyliżans dla chłopaka stajennego.

Ale kiedy opuścili spokojne okolice z pasącymi się stadami owiec, natychmiast zmieniła zdanie. Wrzosowiska Northumbrii wyglądały pięknie - rozległe i tajemnicze, ale również opustoszałe i niosące ze sobą groźbę napadu rzezimieszków, czy jak tam nazywano ich w Szkocji. Potem los pokazał, że zabranie własnego stangreta było bardzo rozważnym krokiem. Wynajęły wóz, by przemierzyć dwunastokilometrowy półwysep z Firth of Fort do Newport, lecz okazało się, że jedyny miejscowy woźnica leży pijany jak bela!

Przez zatoki przeprawili się promem, a w Dundee spędzili ostatnią wygodną noc w gospodzie. Potem rozpoczęła się długa i męcząca podróż w góry Szkocji. W drodze na północny zachód posługiwali się najróżniejszymi pojazdami, od wozów po skiffy bez żagli, nie gardząc nawet pieszą wędrówką.

Przemierzyli Sidlaw Hills, porośnięte lasami i pełne kipiących życiem polan, które zamieszkiwały rude jelenie, łanie, rysie i kuny. Potem ujrzeli majestatyczne góry Grampian i wreszcie pasmo Cairngorm - dzikie, surowe tereny niewyobrażalnej urody (Christina zauważyła, że rodowici Szkoci zawsze określają te wyniosłe góry jako „wzgórza”). Wszędzie natykali się na urwiska i wrzosowiska, przetykane rwącymi, czystymi rzekami pełnymi łososi i pstrągów.

Widzieli strome zbocza i powykęcane przylądki. Było to królestwo orłów; człowiek wydawał się nic nie znaczyć w tym ogromnym kraju, w którym jak okiem sięgnąć ciągnęły się łańcuchy dzikich gór.

Całe dni mijały im w całkowitej samotności, jeśli nie liczyć miejscowych przewodników, których znajdował Coates. Żywność kupowali w biednych wiejskich sklepikach i posilali się na skraju obór lub w siodle. Na nocleg zatrzymywali się w najróżniejszych miejscach: od wyścielonych sianem zagród w ubogich obejściach (Angus MacIver podał im nazwiska właścicieli, co otworzyło przed nimi wszystkie drzwi), przez sypialnie w dworach po - najczęściej - posłanie z płaszczy pod światłem gwiazd. Jeśli w ogóle mogli je zobaczyć, gdyż nazbyt często trafiały się im chmurne, deszczowe noce.

Kiedy Christina wracała pamięcią do niewiarygodnie paskudnego klimatu tej krainy, gdy wspominała podróż, w którą wybrała się z czystej nieświadomości, przyznawała rację Coatesowi. Ten na wieść o czekającej ich wyprawie zarzucił jej utratę zdrowych zmysłów. Mógł sobie na to pozwolić, gdyż, podobnie jak Maire, pozostawał przy St. Johnach od lat; co więcej, to on pojechał z nimi do dworu MacKenziech, kiedy Christina była małym dzieckiem. Powinna go posłuchać, gdyż dobrze wiedział, co mówi.

No cóż, pomyślała, na próżno szukając wygodniejszego miejsca na wozie, przynajmniej wygląda na to, że pogoda zmienia się na lepsze. Spotkani po drodze Szkoci twierdzili, iż czerwiec bywa w górach najpogodniejszym miesiącem, lecz w tym roku wiosna przyszła późno. Być może mieli szczęście, a czerwcowe słońce pokaże się w lipcu...



Do dworu MacKenziech dotarli wkrótce po zmroku. Maire chciała, żeby zatrzymać się na noc w Kingussie, gdzie zjedli lekką kolację, ale kiedy Christina dowiedziała się, że dwór jest parę kilometrów za wioską, uparła się, by tam dojechać. Teraz, oszołomiona i obolała, nie była aż tak pewna siebie. Wszystkie jej mięśnie pulsowały bólem, jakby ktoś ścisnął je w kleszczach przez wiele godzin. Kiedy Toppers i Coates pomogli jej stanąć na ziemi, kolana się pod nią ugięły, a oczy, rozognione od kurzu i pyłu, same się zamknęły. Czuła, że nie może podnieść ciężkich powiek.

Mętnie zdała sobie sprawę, że stoi przed dwupiętrowym georgiańskim budynkiem. W kilku jego oknach paliło się światło. Pani MacLeod, gospodyni, najwyraźniej otrzymała wiadomość, którą Christina wysłała jej z Kingussie.

Dziewczyna poczuła, że osuwa się na ziemię, jakby resztki sił opuściły ją z tą ostatnią myślą. Coates chwycił ją i uniósł w silnych ramionach; w tej samej chwili drzwi domu otworzyły się i w progu stanęła potężna kobieta o siwych jak metal włosach.

- Witamy, milady! Właśnie... och, człowieku! Co robicie...

- Panienka ma za sobą męczący dzień - rozległa się odpowiedź Coatesa. Christina słyszała jego głos, dobiegający z wielkiej odległości. - Musi się położyć i może wykapać w gorącej wodzie.

- Biedne, biedne dziewczę! - zawołała Szkotka. - Wnieście ją, człowieku, wnieście ją!

Christina otworzyła oczy i spojrzała prosto w oczy starszej kobiety, zarazem szorstkiej i dobrej.

- Pani... pani MacLeod? - zdołała wymamrotać.

- Ano tak, dziecko, ta sama, co witała was tu, gdyś była małym pędrakiem, choć nie możesz tego pamiętać. Byłam wtedy ledwie pokojówką, lecz przypominom sobie te twoje rrrude włosy i wszystko inne.

Gospodyni twardo wymawiała „r”, tocząc je niczym kamienie. Zabrała z komody w korytarzu świecę i poszła w kierunku schodów w głębi holu.

- A to Maire, prawda? - ciągnęła.

- W rzeczy samej - odparła Irlandka. Miała równie zmęczony głos jak Christina. - Macie dobrą pamięć, pani MacLeod.

- Nie będę się sprzeciwioć, lecz widzę, że i z wami, Maire, czas obszedł się łaskawie. Tutaj, człowieku, nie upuśćże jej!

Christina usłyszała jeszcze głos Coatesa, wyrażający urazę, lecz nie była tego pewna. Poczuła, że zapada się w puchowy piernat i po chwili spała jak kamień.

Promienie słońca, ciepłe i cytrynowe, kładły się na pierzynie łoża z baldachimem. Christina zamrugała sennie. Szczęknięcie porcelany o metal rozbudziło jej ciekawość. Podniosła głowę i zobaczyła Maire, nalewającą herbatę do filiżanki.

- Już wstałaś i zdążyłaś się ubrać! Która to godzina?

- Dzień dobry, dziecko. Już wpół do dziesiątej. - Maire podała jej herbatę.

- Dziękuję i dzień dobry, oczywiście. - Christina zarumieniła się ze wstydu. Zawsze traktowała służących z największą grzecznością, a przecież Maire była kimś

Skan i przerobienie pona

o wiele ważniejszym: należała do rodziny. Jednak wydarzenia ostatniej nocy dały się we znaki dziewczynie; czuła się dziwnie rozkojarzona. O czym to chciała...? Coś o...

- Maire, Angus MacIver nie żyje! - krzyknęła, przypominawszy sobie.

- Tegośmy dowiedzieli się wczoraj, dziecko. Masz, spróbuj. To makaroniki.

Christina pokręciła głową z uśmiechem i pociągnęła łyk herbaty, usiłując sobie przypomnieć, co jeszcze wie o śmierci Angusa MacIvera. Była tak wyczerpana, że przez kilka godzin pozwolono jej spać w ubraniu. Także Maire zapadła w sen. Potem pani MacLeod obudziła tę drugą i razem ogrzały łóżko i przygotowały gorącą kąpiel.

Christina była nieprzytomna z niewyspania, ale kiedy ciepła woda rozgrzała jej obolałe mięśnie, oprzytomniała na tyle, by zadać gospodyni parę pytań. Na przykład, czy w pobliżu nie mieszka ktoś o nazwisku MacIver?

- Och, starrry Angus, chce panienka powiedzieć? - Wydawało się jasne, że pani MacLeod dobrze zna autora tajemniczego listu. - Ano tak, dziewczę, dobrze go znałam.

- Jak... jak to? - Christina zająknęła się.

- Ano tak, lecz biedokowi zmarło się pół roku temu.

Dziewczyna spojrzała na nią bezradnie. Angus MacIver nie żyje? Więc jak teraz dowiedzą się o miejscu ukrycia skarbu?

- Ano - ciągnęła pani MacLeod. - Znaleźliśmy go martwego w sam dzień Nowego Roku. Wysłałam jednego ze wsiowych chłopków z pottrawką, com ją zawsze dla niego rrobiła, a on go znalazł w łóżku, nieborroka.

Christina - wstrząśnięta, choć ze wszystkich sił starała

się zachować spokój - zmyśliła naprędce historyjkę o tym, iż w domu nieraz wymieniano nazwisko starca, więc chciała go poinformować o śmierci rodziców.

Oczywiście tym samym rozpętała burzę wyrazów współczucia i wspomnień o matce. Wysłuchiwała ich grzecznie, przynajmniej miała taką nadzieję, ale przez cały czas zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby dyskretnie uzyskać dalsze informacje. Musiała przystosować plany do nowej sytuacji.

Wreszcie okazała się nadarzyła.

- Strrraszne to wieści - szepnęła gospodyni. - Mamusia panienki odeszła tak niedługo po starrrym Angusie. A to dziwne... nie dalej, jak trzy dni temu, dostaliśmy list, w którym prawnicy opisali nom trragedyję rodziców panienki...

- Kto, Carruthers i Higgins?

- Ano, ale dziwne jest to, że chyba zajmują się też sprawami domostwa starego Angusa. Pan Carruthers wspomniół o tym w liście... napisoł, że ufa, co nowy właściciel już się zadomowił i...

- Ale kto to jest, kto jest właścicielem? - przerwała jej Christina. Nie mogła się powstrzymać, choć zdołała zachować obojętny ton.

- Och, panienko! - wykrzyknęła gospodyni. - Biedny Angus przeniósł się na tamten świat, nie zostawiając po sobie żyjących dzieci, a jego żona, stara Jeannie, umarła wiele lat temu. Teraz na ziemiach MacIverów zasiądzie obcy, przy tym Amerykanin! Ale to prawdziwy MacIver, jakem słyszała. I choć nie minęła nawet niedziela, jak się tu pojawił, już rządzi jak na swoim.

Christina popijała poranną herbatę i zastanawiała się

intensywnie. Potrzebny jej jakiś pomysł. To i, oczywiście, sporo szczęścia. Ale im dłużej o tym myślała, tym silniejsze czuła przekonanie, że odnajdzie Skarb Wilka Morskiego bez pomocy Angusa.

- Maire - odezwała się energicznie - musimy znaleźć tę piwnicę. Potem wynajmiemy ludzi do kopania albo...

- To na nic, dziecko - przerwała jej Irlandka, skubiąc płaskie owsiane ciasteczko.

- Na nic?

Maire skinęła głową i przełknęła kęs. Popiła go herbatą i wyjaśniła:

- Kiedy po kąpieli wróciłaś do łóżka, pomyślałam, żeś podupała na duchu... więc sama żem się rozpytała tam i tu. - Jej ciemne oczy błysnęły figlarnie.

Christina uśmiechnęła się; doskonale wiedziała, co Maire sądzi o całej wyprawie w poszukiwaniu skarbu, który mógł nie istnieć. A jednak spróbowała jej pomóc.

- Och, jesteś dla mnie za dobra!

Maire odpowiedziała ciepłym uśmiechem.

- Nigdy nie umiała ci odmówić, nawet gdyś była dzieckiem. Zawsze jesteś tak pełna zapału i nadziei, *macushla*. - Zmarszczyła czoło; spochmurniała. - Ale teraz zapał nie wystarczy.

- Dlaczego? Powiedziałaś, że coś nam się nie przyda...

- Znaleźć piwnicę, o to mi szło. Janet... eee, pani MacLeod, wyjaśniła mi, że dom ten, dwór MacKenziech, został zbudowany w tysiąc siedemset pięćdziesiątym roku i nawet nie stoi na fundamentach dawnego dworu, zniszczonego podczas powstania w czterdziestym piątym. Pierwotna siedziba twej rodziny nie znajduje się już na naszych ziemiach.

Christina otworzyła szeroko oczy.

- Więc gdzie...

- Ten Szkot, Duncan MacIver, przodek Angusa MacIvera, dostał ziemię za to, że ocalił życie angielskiemu oficerowi, jeśli pamiętasz, co stało w liście. Zbudował na niej zagrodę.

Maire pochyliła się ku dziewczynie konfidencjonalnie.

- Dziecino, Skarb Wilka Morskiego, jeśli w ogóle istnieje, jest zakopany na ziemiach świętej pamięci Angusa MacIvera.

Christina trwała przez chwilę w bezruchu. Potem skinęła głową.

- Chętnie skosztuję tego ciasteczka. Wypij herbatę do końca. Potem znajdź dla nas odpowiednie stroje, w których będziemy mogły wędrować po tych gó... hm, wzgórzach. Sprawa okazała się trudniejsza, niż sądziłam, ale jeszcze się nie poddałam. I minie wiele czasu, zanim to nastąpi!

## 4

— I cóż, czy to odpowiedni strój? - Christina skierowała pytanie do odbicia Maire, stojącej tuż za jej plecami. Przeglądały się w lustrze w pokoju do szycia.

Irlandka przyjrzała się ubraniom - barwnym wełniakom, w jakie odziewały się szkockie wieśniaczki: długim fałdzistym spódnicom i szerokim trójkątnym chustom, udrapowanym na piersiach i ramionach - i parsknęła pogardliwie.

- Ano - mruknęła. - Wypisz wymaluj, prawdziwa z ciebie Szkotka... i, niech mi Bóg i święty Patryk wybacza, ze mnie także.

Christina zachichotała na widok kwaśnej miny Irlandki. Od dawna wiedziała o jej cichym nacjonalizmie, skrytej dumie narodowej, ale nigdy nie robiła z tego problemu. Teraz, kiedy znalazły się na szkockiej ziemi, przekonania jej towarzyszki nagle wybuchły ze zdwojoną siłą.

Zaprezentowały się dobitnie tego ranka, kiedy pani MacLeod sprowadziła trzy wiejskie dziewczyny do dyspozycji Christiny. Powiedziały, że chciałyby przyjąć je jako pokojówki, skoro „dziedziczka” wróciła do posiadłości. Aż do chwili

obecnej dwór MacKenziech był utrzymywany przez drastycznie ograniczoną liczbę służących: gospodynię, kucharkę, sprzątaczkę, która przychodziła raz na tydzień, stajenno oraz ogrodnika. Teraz to przestało wystarczać, z czym Christina była skłonna się zgodzić. Ale Maire, obecna przy prezentacji Katherine, Annie i Lorny, mruknęła z irytacją, że nadają się na pomywaczki, lecz z pewnością „żadna pyskata ciemna wieśniaczka” nie postawi „pogańskiej stopy” w komnacie milady; to ona, i tylko ona będzie spełniać osobiste życzenia lady Christiny, „i nikt więcej, powiadam!”.

Christina prawie nie kryła uśmiechu; Szkotki były protestantkami, więc jeśli Maire, Irlandka i katoliczka, automatycznie uznała je za poganki, to co powie o niej, wyznającej anglikanizm?

Ale najbardziej dramatyczny moment nastąpił, kiedy Christina poprosiła gospodynię o strój odpowiedni na długą przechadzkę. Pani MacLeod zaproponowała, żeby pożyczyć ubranie od wieśniaczek: Annie i Lorna przypominały figurą Maire i milady, i - co do tego nie miała wątpliwości - z radością pożyczą im „drugi najlepszy” komplet wyjściowego przyodziewku.

- Ach! To chyba żarty! - wykrzyknęła Maire, kiedy Christina wyjawiała jej, co będą miały na sobie podczas wycieczki do zagrody Angus MacIvera. - Mam przywdziać te pogańskie kolory? I ty też? W tych czerwieniach i zieleniach znowu będzie można wołać na ciebie „Christmas”!

Christina roześmiała się na dźwięk tego dziecinnego przydomka, nadanego jej, ponieważ urodziła się w dzień Bożego Narodzenia. Oczywiście w wyniku nalegań jej



bardzo dystygowanej angielskiej guwernantki nikt nie nazywał jej tak od szkolnych czasów; jednak zachowała ciepłe wspomnienia o tym przezwisku. Śmiech dziewczyny rozpogodził zacierzewioną Maire.

- Musisz przyznać - odezwała się Christina, patrząc na ich odbicie w lustrze - że te tartany są o wiele solidniejsze niż nasze stroje. Daleko bardziej odpowiednie na marsz przez wrzosowiska i janowce, które widziałyśmy po drodze.

- Nie wypada nosić takich kolorów przed południem - mruknęła Irlandka w ostatnim proteście, ale z jej tonu Christina wywnioskowała, iż zaczyna się poddawać.

- Będziemy podróżować incognito, jak w powieściach.

- Będziemy co?

- Ukrywać naszą tożsamość - oznajmiła radośnie Christina, poprawiając na stopie solidny bucior.

- Hmmf! Udawać Szkotki, chciałaś powiedzieć!

Christina parsknęła śmiechem.

- Jak tom szkocki akcynt, droga pani? - spytała, idąc ku schodom. Jej wymowa mogłaby zwieść najbardziej podejrzliwego słuchacza.

- Hmmf! - sapnęła Maire, ale jej usta zadrgały w powściąganym uśmiechu. - Rrrównie dobry, jak i paniny!

Christina zaniosała się dźwięcznym śmiechem.

- Maire Fitzpatrick, specjalnie ćwiczyłaś! - zawołała oskarżycielsko.

- Wcale nie - obraziła się Maire. - Tylko zawiązałam język na supeł, żeby wymawiał to barbarzyńskie „r”!

Christina zachichotała, gdyż Irlandka poparła słowa demonstracją.

Dzień był słoneczny, na niebie widniało zaledwie parę

chmurek, lecz wiatr okazał się całkiem zimny, zwłaszcza przy silniejszych podmuchach. Wkrótce obie kobiety doceniły ochronę solidnych tartanów.

Christina spytała panią MacLeod, czy nie mogłyby wynająć gdzieś wierzchowców, gdyż obie były znakomitymi amazonkami, lecz gospodyni roześmiała się i wyjaśniła, że wszystkie kucyki z pewnością „połamałyby sobie karki na tych wzgórzach”, a najbezpieczniej jest podróżować pieszo.

Teraz, gdy szły przez skały i rozpadliny, zwane tu wądołami, i z trudnością przedzierały się przez porośnięty wrzosami wyboisty teren, rada pani MacLeod okazała się na wagę złota. Janowce i orlice czepiały się ich spódnic; sterty kamieni i osypiska bez ostrzeżenia stawały im na drodze, ukryte w nieprzewidywalnym krajobrazie. Wszystko było tu równie dzikie, jak piękne.

Obie kobiety uważały się za silne i w dobrej formie, gdyż regularnie zażywały konnych przejażdżek w Hyde Parku lub na polach i dolinach posiadłości hrabiego. Co więcej, Christina zawsze była krzepkim dzieckiem, a jako jedyna latorośl hrabiego korzystała z przywilejów, które w innych okolicznościach przypadłyby synowi; kiedy miała osiem lat, wyprosiła lekcje szermierki, a potem stała się całkiem sprawna we władaniu rapierem i szpadą. Wcześniej namówiła ojca, by nauczył ją pływać, i przez długie lata ćwiczyła tę umiejętność w nagranych wodach basenu w Sunnyfields. Potem zaś dostała nowy faeton o wysokim siedzeniu; powożenie nim wymagało wielkiej sprawności, szybkości i koordynacji ruchów.

Dlatego tak się dziwiła, że obie musiały często odpoczywać w drodze do zagrody Angus MacIvera.

- Matko Boska -jęknęła Irlandka, kiedy zatrzymały się po raz czwarty. Wytrząsnęła z buta ostry kamyk. - Co za przeklęty kraj, dziecko! Moje biedne stare kości tego nie wytrzymają! Dlaczego...

- Biedne stare kości! - W przejrzystych oczach Christiny zabłyśły iskierki rozbawienia. - Maire, kochana, nigdy nie widziałam kobiety, która w twoim wieku byłaby tak sprawna i... A właściwie, ile masz lat? Nigdy mi nie powiedziałaś.

Maire spiorunowała ją wzrokiem.

- To dlatego, że nie należy zadawać tak wścibskich pytań i...

- Coś takiego! Maire Fitzpatrick, znam cię od zawsze, więc jeśli to...

- W przyszłym miesiącu skończę trzydzieści osiem i nie trąb o tym na wszystkie strony! - brzmiała niechętna odpowiedź. - Poza tym, jeśli się nie mylę, nad tymi sosnami widać dym. Czy w tamtym kierunku idziemy?

Christina wyciągnęła z kieszeni list Angusa MacIvera i zerknęła w kierunku, który wskazywała jej Maire.

- „...mała kępa sosen, kiedy minie się wielki płaski kamień z porostami na boku...” - odczytała na głos. - Rzeczywiście, popatrz! Oto kamień.

- Więc skoro ktoś pali ogień, to pewnie oznacza, że nowy pan MacIver jest w domu. Co teraz?

Christina zadumała się na chwilę, gdyż właściwie nie zaprzętała sobie głowy tym, co zrobią po dotarciu do zagrody. Bardzo wiele zależało od obecności właściciela; skoro teraz okazało się, że zastały go w domu, należało zapukać i przedstawić się jako sąsiadka.

Ale co się stanie, jeśli ten obcy - Amerykanin, jak

twierdziła pani MacLeod - nie życzy sobie odwiedzin? A jeśli nie będzie nastrojony życzliwie albo w ogóle nie okaże się cywilizowanym człowiekiem? Nagle przypomniała sobie ostatnie spotkanie z jednym z owych Amerykanów - w londyńskiej kancelarii - i zaczerwieniła się po koniuszki uszu. Dobrze nieba, skoro wszyscy są tacy, należy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności!

Być może będzie roztropniej, jeśli zachowają incognito. Poza tym chyba nie należy od razu wyjawiać prawdy. Tak, im dłużej o tym myślała, tym bardziej wydawało się jej słuszne nadal udawać dwie biedne wiejskie kobiety. Dwie Szkotki, które wybrały się na... spacer? Nie, niedobrze. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach, nawet krzepka Szkotka, nie wybrałaby tych terenów na przyjemną przechadzkę... w dodatku pieszą! Więc co w takim razie?

Zwróciła się o pomoc do Maire i nie zawiodła się.

- Będziemy zbierać zioła i korzenie, jeśli ktoś spyta - oznajmiła Irlandka. Wstała i zaczęła przeszukiwać kępy roślin; zerwała jakieś szarozielone listki na wpół ukryte w poszyciu. Wsunęła je za tartan i skinęła na Christinę, nakazując jej zrobić to samo.

- To powszechny zwyczaj wśród kobiet, które żyją na wsi - ciągnęła.- Kiedym była mała, moja babka z Donegal też to robiła. Była *seanbhean uasal*, czyli mądrą wiedźmą, i zbierała zioła na lekarstwa domowego wyrobu.

- Naprawdę? - mruknęła Christina. W dzieciństwie uważała Maire za skarbnicę wiedzy, ale kiedy dorosła, często zapominała, jak interesujące są dostarczane przez nią informacje, zaprawione skrawkami wiedzy tajemnej. - Cóż, nie możemy cię nazwać *seanbhean uasal*, gdyż na to jesteś

o wiele za młoda, ale zbieraczki korzeni i ziół to doskonale przebranie. Prowadź, Makdufie!

Były już niemal poza kępą sosen, kiedy usłyszały przed sobą jakieś dobiegające z oddali odgłosy. Podkrały się bliżej; był to dźwięk rąbania drewna. Wreszcie, ukryte w cieniu drzew, ujrzały mężczyznę. Nie miał na sobie koszuli, a po drgających mięśniach pleców i ramion spływały strużki potu, mimo iż górskie powietrze było chłodne i rześkie. Był ubrany jedynie w obcisłe skórzane spodnie z ciemnymi plamami od potu.

Nie widziały jego twarzy, ale był to mężczyzna o wspinałej postawie. Maire doznała nagle uczuć, o których istnieniu nie pamiętała od lat.

Właśnie się zastanawiała, czy powinny pozostać, zważywszy wygląd obcego i jej odpowiedzialność za upartą panienkę, gdy mężczyzna wyprostował się i odwrócił do nich. Maire znieruchomiała; stała jak zahipnotyzowana.

Obcy był o wiele starszy, niż się spodziewała, widząc jego muskularną postać. Ciemne włosy, które przylgnęły do ładnie ukształtowanej głowy, były na skroniach oszronione siwizną. W ciemnym wąsie także migotało srebro, a na ogorzałej twarzy rysowały się zmarszczki, zdradzające wiek dojrzały. Ale ta twarz... ha, całkiem niczego, pomyślała, a kiedy usta nieznajomego rozciągnęły się w powolnym uśmiechu, odsłaniającym białe zęby, nagle doszła do wniosku, iż ten człowiek jest... przystojny... oszałamiająco przystojny!

Jacques powiódł wzrokiem po dwóch smukłych postaciach na skraju sosnowego zagajnika; nie mógł powściągnąć uśmiechu, od którego uniosły się koniuszki jego zawadzac-

kich wąsów. Miejscowe ślicznotki - pierwszorzędny towar, albo nie jest godny miana Francuza!

- *Bonjour, mesdames!* - zawołał.

- To nie Amerykanin - szepnęła Christina.

Maire dała jej znak, żeby cofnęła się w cień zarośli.

- Francuz, bez wątpienia - syknęła Irlandka, nie spuszcżając oczu z przystojnego nieznajomego.

- Myślisz, że zabłądziłyśmy? - spytała Christina.

Mam nadzieję, że nie, pomyślała Maire ku własnemu zdumieniu. Męzczyzna pochylił się, prezentując wspaniałe mięśnie, a ona doznała bardzo dziwnego, drażniącego uczucia. Nagle przypomniała sobie o powinnościach względem Christiny i otrząsnęła się z owego osobliwego stanu.

- Pamiętaj o tym incog... o tym szkockim przebraniu, dziecko!

Jacques wyczuł wahanie kobiet i schylił się po koszulę, leżącą na kłodzie drewna. Włożył ją pospiesznie. Przyjęli już szereg wizyt tubylców, którzy robili wrażenie życzliwych, choć nad wyraz prowincjonalnych. Nie chciał urazić uczuć tych dwóch uroczych reprezentantek tutejszej społeczności, witając je w takim dezabilu! Zdał sobie sprawę, że odruchowo odezwał się do nich w ojczystym języku, co również mogło je odstraszyć. Dlatego, a także, by odwrócić ich uwagę od niezręcznej sytuacji, dodał:

- Witam, drogie panie. Czym mogę służyć?

- Pozwól mi z nim pomówić - mruknęła Maire pod nosem.

Christina zerknęła na nią spod oka, zawahała się i skinęła głową. Razem podeszły do obcego, który także zmierzał w ich stronę.

- Dzień dobry! - zawołała Maire.

- Psst! - syknęła Christina. - Mów do niego „panie”, bo wszystko się wyda - dodała, ledwie poruszając wargami.

Maire mruknęła pod nosem coś niezrozumiałego, lecz przytaknęła.

- Pewnikiem przeszkadzomy wam, panie - ciągnęła, doskonale naśladowując twardą szkocką wymowę.

- Ależ skąd, *madame* - odparł Jacques z najbardziej urzekającym uśmiechem. - Proszę pozwolić, że się przedstawię. Jestem Jacques Beaumonde, do usług - dodał z wdzięcznym ukłonem.

- Ano. - Maire gorączkowo szukała właściwej odpowiedzi. - Nazywom się Mary... Mary Cameron, a ta oto młoda dama to...

- Christmas MacKenzie - wpadła jej w słowo Christina. Dygnęła unizienie, tak jak wiejskie dziewczyny, kiedy zjawiły się w jej pokoju.

Maire spiorunowała ją straszliwym wzrokiem, ale poszła w jej ślady.

Jacques uśmiechnął się mimo woli, kiedy przyjrzał się kobietom z bliska. Obie były śliczne, choć ta ruda, o świeżej cerze i przejrzystych szarych oczach wydawała się zaledwie pięknym dzieckiem. Ale ta Mary, hm...

- Wybaczcie, panie, żeśmy weszły na wasze ziemie - odezwała się ta druga, Christmas - aleśmy, pojmujecie, znoły świętej pamięci pana MacIvera, co to był tu dziedzicem, i takeśmy pomyślały, co nowy pan zechce...

- Jesteście, panie, krewnym nowego dziedzica? - wtrąciła Mary.

- Nie - odparł Jacques i znowu uśmiechnął się tak, że

Maire straciła dech. - Jestem jego przyjacielem. Przyjechalśmy razem z Nowego Orleanu w Ameryce i na jakiś czas zamieszkamy tutaj. Ale co sprowadza tutaj dwie tak śliczne panie...

- Obie, kuzynka i ja, leczymy chorych w naszym klanie - oznajmiła Maire. - Przyszliśmy tu... szukać korzeni i ziół, co to są nam potrzebne do mikstur. - Odchyliła chustę i pokazała mu zebrane zielsko.

Beaumonde skinął głową ze zrozumieniem. Przyglądająca się mu Christina zastanawiała się pospiesznie. Jeśli miały zyskać dostęp do zagrody MacIvera i odszukać skarb, nie wzbudzając podejrzeń, powinny znaleźć sobie lepsze przebranie niż zielarki. Musiały znaleźć pretekst, dzięki któremu zostaną w chacie starego Szkota. Zerknęła na Maire i odważyła się zaryzykować.

- Pewnie niełatwo wam, panie, prowadzić dom całkiem o własnych siłach. A możecie przywiezli ze sobą służących z Ameryki?

Jacques spojrział na nią z zaskoczeniem. Tego ranka Jamie narzekał, iż traci zbyt wiele czasu na gotowanie i inne prace domowe.

- Przyjechałem tu, żeby zająć się lepieniem w glinie - burczał - a nie harować jak służący. Bądź kolegą, Beaumonde, i sprowadź kogoś do pomocy, dobrze?

Jacques, oczywiście, wyraził zgodę; teraz patrzył na obie kobiety takim wzrokiem, jakby podejrzewał, że sprowadziła je tu sama Opatrzność, by zaoszczędzić mu podróży do wioski.

- Nie, *mademoiselle* MacKenzie, jeszcze nie szukaliśmy pomocy, a wyznam, że niełatwo nam robić wszystko o własnych siłach. Ach, *pardon, mesdames*, być może znacie kogoś, kto...



- A zatym to się bardzo szczęśliwie składo - przerwała mu Christina z promiennym uśmiechem. Udała, że nie widzi wściekłego spojrzenia, jakie rzuciła jej Maire.

- *Oui?* - podchwycił Jacques, równie rozpromieniony.

- Ach, panie, oto macie przed sobą dwie kobity, dobrze obeznane z domowom robotom. We wsi zarabiamy na takich posługach grosz dla naszej rodziny, a tak się złożyło, co akurat szukomy pracy.

Christina - lub Christmas, jak sama zaczęła już o sobie myśleć - omal nie jęknęła, gdy Maire z całej siły nadepnęła jej na stopę. Mimo to zdołała zachować niewzruszoną minę.

- *Mesdames* - odezwał się Francuz z zadowoleniem - zdaje się, że zawrzemy umowę.

## 5

Następnego ranka „Christmas” i „Mary” znowu ubrały się w pożyczone stroje i wyruszyły do zagrody MacIvera. Poprzedniego wieczoru ustaliły, że usprawiedliwią tę długą nieobecność zamiłowaniem panienki do rysowania i malowania akwarelą. Ponieważ takie wyprawy należały do dobrego tonu - a Christina naprawdę uczyła się malowania - pani MacLeod uwierzyła im bez trudu. Co więcej, szczęśliwym trafem Maire włożyła do bagażu panienki węgiel i szkicownik, więc były wyposażone w odpowiednie rekwizyty.

Wszystko układało się tak wspaniale, że kiedy zbliżały się do chaty, Christina podśpiewywała z radości, choć musiały przedzierać się przez splątany gąszcz i kłęby mgły, otulającej górskie zbocza niczym upiorny welon.

Maire, ledwie widoczna przez wirujące białe jęzory, nie podzielała optymizmu swej towarzyszki.

- Będziemy miały szczęście, jeśli nie skręcimy sobie karków na tej pogańskiej ziemi! - burknęła, kiedy po raz dziesiąty przystanąły, by złapać oddech. - Christino, dziecko, wierz mi...

- Christmas, Mary! Pamiętaj, bo wydasz nas, zanim zdołamy chwycić za miotłę!

- Hmmf! - sapnęła Mary. - Bardzo będę zdziwiona, jeśli zaczniesz zamiatać właściwym końcem! Jesteś panienką z dobrego domu, Christino... au! Tak, wiem, wiem, Christmas! Ale prawda jest taka, dziewczyno, żeś nigdy w życiu nie zbrukała się taką pracą, do której zostałyśmy wynajęte, i dobrze o tym wiesz! Więc łaskawie mi wytłumacz, jak zamierzasz wywiązać się z tych obowiązków? Odpowiedz, jeśli łaska!

Christmas wzruszyła ramionami, nie zrażona takimi nieistotnymi kwestiami.

- Całą ufność pokładam w tobie, droga Mary. Będę musiała naśladować to, co zechcesz mi pokazać! W końcu, czy to takie trudne?

Wymamrotana pod nosem odpowiedź dotarła do uszu Christiny, lecz temat upadł. Zastłona mgły rozchyliła się, ukazując zarysy chaty. Dziewczyna wydała radosny okrzyk, chwyciła swą towarzyszkę za rękę i puściła się biegiem przed siebie.

W skromnej jednoizbowej zagrodzie Jamie MacIver czekał niecierpliwie, aż poranne niebo się rozpogodzi. Przy tej przekłętej mgle nie mógł pracować nawet na dworze, gdzie z konieczności zrobił sobie pracownię, gdyż w chacie nie było dość jasno. Kto by pomyślał, że domy w tej sakramenciej Szkocji nie mają okien? No, jego zagroda miała jedno - jeśli można je w ogóle nazwać oknem! Wąska szpara wysoko na ścianie, a nawet ona...

Drzwi chaty otworzyły się z rozmachem i w ponure rozmyślania Jamiego wdarł się dziarski głos Jacques'a.

- *Entrez, mesdames, s'il vous plait!* Jamie, przyszedł!

Jamie przestał krążyć przed ogromnym kominkiem, zajmującym niemal całą ścianę, i spojrzał w stronę drzwi. Eks-pirat zapraszał kogoś do wejścia dwornym gestem ręki. Zamiótł ziemię kapeluszem niczym dworzanin i wprowadził do środka dwie smukłe postaci w tartanach.

Mgła znikła już chyba zupełnie, gdyż obie sylwetki były skapane w promieniach słońca - lecz nagle okazało się, że myśli Jamiego zaprzęta coś zgoła innego niż rzeźbienie.

Powinien przewidzieć, że ten Francuz wynajdzie właśnie coś takiego, nawet tutaj, w środku dzikich ostępów. Zaczął podejrzewać go o posiadanie dodatkowego zmysłu, węchu na kobiety. Ta niższa, brunetka, badawczo przyglądająca się chacie, wydawała się już poza swymi najpiękniejszymi dniami młodości. Lecz mimo widocznej dojrzałości była wyjątkowo urodziwa, o harmonijnych rysach i pełnej wdzięku godnej postawie. Nagle poczuł, że nie może się nie uśmiechnąć do tych głęboko osadzonych, inteligentnych oczu Mary Cameron.

Lecz w następnej chwili jego spojrzenie natrafiło na giętką postać obok niej; stracił dech. Jeszcze nigdy nie widział istoty obdarzonej tak idealną urodą!

Zwracała się do niego profilem, zamieniając po cichu słówko z Jacques'em. Słońce złociło jej rysy cienką kreską; były samą doskonałością: gładkie, alabastrowe czoło, delikatny nos, drobny, dumnie uniesiony podbródek.

I te włosy! Ich tycjanowski blask zdawał się płonąć żywym ogniem. Promienie słońca tańczyły w kaskadzie loków, spływających po plecach dziewczyny. Miał ochotę ich dotknąć, tak bardzo, że palce same zacisnęły się mu

w pięści. Pragnął wsunąć palce w ten ognisty, jedwabisty gąszcz, rozkoszować się jego fakturą, splątanym bogactwem. Nagle poczuł, że lędźwie mu tężeją; czym prędzej odwrócił się do kominka i poruszył drwa pogrzebaczem. Miał na sobie skórzane spodnie, na tyle obcisłe, że z pewnością zdradziłyby ten niespodziewany przypływ pożądania. Nie zamierzał zawstydzić nikogo, a już na pewno nie samego siebie!

Christmas znieruchomiała, tłumiąc okrzyk. Boże, to niemożliwe! Zamrugła, raz i drugi, lecz mężczyzna, który tak gwałtownie odwrócił się do kominka, nadal wyglądał tak samo. To Amerykanin z kancelarii!

Powiodła nieprzytomnym wzrokiem po chacie, napotykać zaskoczone spojrzenie Mary, a potem oczy Beaumonde'a. Francuz przyglądał się z niekłamanym rozbawieniem przyjacielowi, całkowicie skupionemu na grzebaniu w kominku. Co się tu dzieje? Czy Amerykanin także ją rozpoznał? Nie, niemożliwe! Była wtedy osłonięta gęstą woalką i...

- Jamie! - Głos Jacques'a wytrącił ją z zamyślenia. Francuz także gubił się w domysłach. Co opętało tego MacIvera? Odwracać się tak grubiańsko plecami do gości, podczas gdy on właśnie zamierzał zapoznać go... No, ale miewał w końcu już dziwniejsze wyskoki. Poza tym stali się przyjaciółmi, a prawdziwy przyjaciel nie zadaje pytań, tylko akceptuje.

Wzruszył ramionami i znowu zawołał Jamiego, lecz ten już odwracał się ku towarzystwu.

- Proszę o wybaczenie, drogie panie - odezwał się z rozbijającym uśmiechem. - Zwykle nie bywam tak niegrzeczny, lecz poczułem, że to polano za chwilę pęknie i...

Christmas przysłuchiwała się jego modulowanemu, wyważonemu głosowi i zastanawiała się, czy w Ameryce przyznają nagrody dla najrzęczniejszych kłamczuchów. „Zwykle nie bywam tak niegrzeczny”, akurat! Ten człowiek zachowuje się jak dziki barbarzyńca od pierwszej chwili, kiedy go spotkała!

A teraz, gdy wreszcie miała czas się nad tym zastanowić, doszła do wniosku, że mężczyzna nie ma prawa tak wyglądać! Nawet nie był przystojny! Chociaż nie, był. Zauważyła to już w Londynie. W trakcie tych burzliwych tygodni całkiem o nim zapomniała, a teraz znowu miała go przed sobą, znowu wtargnął w jej życie i wypełnił je swoją przystojną, arogancką osobą! No i ten urok, ten męski urok, który wytrącał ją z równowagi, choć sama nie rozumiała dlaczego. Zbeształa się w duchu. Zachowuje się, jakby nigdy nie spotkała przystojnego mężczyzny. Mama kiedyś powiedziała, że papa był tak przystojny, iż na jego widok wszystkie panny sięgały po sole trzeźwiące! Poza tym w sezonie spotykała już całkiem przyzwoicie wyglądających mężczyzn. Zaręczyła się z najprzystojniejszym z nich!

A jednak znowu uderzyło ją, jak bardzo uroda Jamiego MacIvera różniła się od urody lorda Aarona - lub każdego innego mężczyzny z towarzystwa. Całkiem jakby artysta, który wyrzeźbił ich pełne wdzięku, szlachetne rysy, odrzucił dłuto i wykuł twarz Jamiego tak, jak wykuwa się żelazo. Tak jakby pierwsze potężne ciosy stworzyły urodę tak żywiołową i surową w swej symetrii, że artysta nie śmiał niczego dodawać do swego dzieła, doskonalić je czy złagodzić.

Prymitywny i męski, oto jaki jest, i lady Christina St. John nie była nim zachwycona, o, wcale nie!

Ale, oczywiście, Christmas MacKenzie musiała zachowywać się tak, jakby się jej podobał.

Wszystkie te rozmyślania zajęły jej nie więcej niż dwie sekundy. Zebrała się na odwagę i posłała Amerykaninowi najśłodszy z uśmiechów.

- Nawet nie zauważycie naszej obecności, panie. Moja kuzynka i ja jesteśmy tu, by zadbać o wasz dom. Teraz będziecie mogli się zająć swymi sprawami, a gospodarstwo zostawicie Mary i mnie.

Jamie prawie nie słyszał jej słów, ponieważ po raz pierwszy odwróciła się twarzą do niego i mógł podziwiać kolor i kształt jej oczu. Były wielkie, o przejrzystej szarości zabarwionej kroplą fioletu, ocienione gęstymi rzęsami. W takich oczach mężczyzna mógłby utonąć, w oczach tak czystych i przepastnych, tak niewinnych, a zarazem kuszących, w oczach...

Nagle wróciło do niego nie chciane wspomnienie o innych oczach, które niegdyś go zauroczyły... czarnych jak niebo o północy i pełnych sekretów... wstrętnych sekretów, o czym przekonał się zbyt późno. Ach, Boże! Czy nigdy nie uwolni się od...

- Panie MacIver? - Rozległ się głos starszej z kobiet. Cichy, a jednak przywrócił go teraźniejszości. - Czy coś was trapi? Może dziewczyna odezwała się za wcześnie, a wy chcielibyście wydać nom bardziej szczegółowe instruk...

- Nie, skąd! - zawołał Jamie, choć utajony gniew w jego głosie przeczył słowom. - Nie wątpię, że poradzicie sobie bez moich instrukcji. - Zatoczył łuk w powietrzu, wskazując izbę, której wygląd wymownie świadczył o tym, iż zamieszkuje ją dwaj kawalerzy pozbawieni pomocy służby. - Chodź,

Beaumonde. Pomogę ci nałapać ryb na kolację, skoro mamy kogoś, kto nam je przyzwoicie upiecze!

Jacques rzucił kobietom przepraszające spojrzenie i wzruszył ramionami.

- *Pardon, mesdames* - zaczął, lecz Jamie znów zawołał go niecierpliwie. Skłonił się pospiesznie i zaprosił je do uczestnictwa w kolacji - jeśli ją przyrządzą.

- No! - parsknęła Christmas, patrząc za nim. - Mam nadzieję, że zdoła coś złapać! Świat pewnie się zawali, jeśli na kolację nie będzie ryb!

- Zakładam, że mówisz o Amerykaninie - mruknęła sucho Mary, wieszając na kołku przy drzwiach chustę.

- Ależ oczywiście, a o kimż by innym? Ale, Mary, czy wiesz, kim on właściwie jest?

Irlandka zamarła w trakcie podwijania rękawów.

- Nie wiem, ale czuję, że oświecisz mnie w tym względzie.

Christmas skinęła głową z przejęciem; miedziane kędziory podskoczyły niczym sprężynki.

- To ten sam Amerykanin, o którym ci mówiłam w dniu, w którym pojechałyśmy do kancelarii Carruthersa, ten, który omal...

- Ten niegrzeczny?

- Powiedziałam, że był niegrzeczny? Ja...

- Poznałam to po twoich rozpromienionych oczach. A także po tym, jak niechętnie zdradzałaś mi szczegóły o owym dżentelmenie.

- Dżentelmenie! Jeśli Jamie MacIver jest amerykańską wersją dżentelmena, ten kraj musi się jeszcze wiele nauczyć!

Mary podała Christmas dwie wstążki i sama związała



swoje ciemne włosy. Dała znak dziewczynie, by zrobiła to samo.

- Tego młodzieńca dręczą jakieś diabły, co do tego nie ma wątpliwości - odezwała się po namyśle.

- Według mnie, on sam jest diabłem!

Mary zerknęła na nią przebiegle.

- Ach, więc to o to chodzi?

Christmas odwróciła się do Irlandki plecami i gwałtownym ruchem sięgnęła po miotłę.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - mruknęła.

- Bzdura! - rzuciła Mary, przyglądając się z jakimś rozbawieniem, jak córka hrabiego eksperymentalnie przesuwają *miotłą po klepisku*.

- Słucham? - Christmas starała się wyglądać na obrażoną, lecz w jej głosie zabrzmiała nutka niepewności; uparty kij po raz kolejny wysunął się jej z dłoni.

Drgnęła, kiedy Mary wybuchnęła grzmiącym śmiechem.

- Powiedz mi, dziecko - wykrztusiła Irlandka pomiędzy kolejnymi atakami wesołości. - Zamierzasz sprzątać czy tańczyć z tą miotłą?

Christmas spojrzała na trzymany w rękach przedmiot. Przez chwilę zastanawiała się głęboko.

- Och, trudno! - zdecydowała wreszcie i spojrzała na Mary. - Nie pojmuję, skąd bierze się ta trudność, lecz może zechcesz mi to zademonstrować. Z pewnością nauczę się posługiwać nią odpowiednio, kiedy mi to pokażesz.

Podawała miotłę Irlandce, która nadal chichotała.

Ale kiedy Mary zaprezentowała sztukę zamiatania, Christmas wkrótce pożałowała, iż nic ich nie rozprasza, ponieważ jej towarzyszka podjęła zarzucony temat.

- A więc uważasz, że ten Amerykanin to prawdziwy diabeł, tak? - zagadnęła, wprawnie przesuając miotłą po klepsku, na tyle ostrożnie, by nie naruszyć glinianej powierzchni.

- Ten... ten człowiek mnie niepokoi - wyznała niechętnie Christmas.

Mary parsknęła cichym śmiechem.

- Ano tak, dziecko, zupełnie jak ogier niepokoi młodą żróbkę!

Christmas znieruchomiła z ręką wyciągniętą po miotłę.

- Ja... ja nie rozumiem - wyjąkała. Szkarłatny rumieniec, który oblał ją po cebulki włosów, zdradził, iż kłamała.

Mary odstawiła miotłę i oparła ją o krzesło. Odwróciła się do Christmas z poważną miną.

- A ja sądzę, że rozumiesz, *macushla*. A gdybym mogła mieć nadzieję, że posłuchasz starszej i mądrzejszej kobiety, nalegałabym, abyś zrezygnowała.

- Zre... zrezygnowała?

- Ano tak. Z całego planu, co był zbyt śmiały nawet wtedy, gdyśmy go zaczynały. Ale teraz spotkałyśmy nowego gospodarza zagrody, dziecko, i nie udawaj, że nie widzisz, jak cię pożerał oczami, jak...

- Maire, ja...

- Albo żeś ty się nie wpatrywała w tego przystojnego brutala! - Maire chwyciła Christinę za ramiona, na siłę odwracając ją twarzą do siebie. - Mnie nie oszukasz, znam cię od urodzenia. To, co cię niepokoi, jest tak stare, jak Adam i Ewa, i poważnie wątpię, żebyś była na to gotowa!

- Maire... jestem zaręczona z innym - wyszeptała Christina.

- Ano, i bardzo niewielkie ma to znacznie, jeśli oczy mnie nie mylą, a wiem, że nie. Między wami fruwają niewidzialne iskry, dziecko, a jeśli chcesz tu jeszcze zostać, obawiam się, że zaczniesz igrać z ogniem!

Christina spojrzała jej w oczy i powoli skinęła głową.

- Bardzo dobrze, Mary, wyjaśniłaś mi swoje zdanie.

- Więc wyjeżdżamy? - spytała Irlandka z nadzieją.

- Ależ skąd, moja droga. Lecz przyznaję, że ten pan MacIver przedstawia sobą pewne... niebezpieczeństwo.

- Ale... ale...

- Przestroga to najlepszy oręż. Skoro wiem już, co się święci, będę mogła przedsięwziąć odpowiednie środki ostrożności. I z pewnością nie dopuszczę do tego, żeby ten... ten... Amerykanin mnie onieśmielał! Będziemy szukać skarbu bez względu na to, co spotka mnie ze strony tego człowieka... lub diabła!

## 6

Obie kobiety zakrzętnęły się wokół domowych porządków. Jednak wkrótce Mary zrozumiała z całą jasnością, że czeka ją skomplikowane zadanie: Christmas nie tylko z trudem rozróżniała, który koniec miotły służy do zamywania, ale była beznadziejnie zagubiona przy wszelkich zadaniach i trzeba było udzielać jej szczegółowych instrukcji. W ten sposób cały dzień był pełen rozmaitych incydentów, po których Irlandka albo mamrotała coś pod nosem, albo trzymała się za obolałe od śmiechu boki.

Z początku sądziła, że Christmas poradzi sobie z wycieraniem kurzu i rzeczywiście szło jej dobrze. Jednak w połowie tego zadania powiedziała jej z roztargnieniem, by wytrzeć szmatkę, zanim skończy - sama była w tym czasie zajęta szorowaniem garnków. Christmas wzruszyła lekceważąco ramionami i radośnie spełniła polecenie, energicznie machając gałganem na samym środku pokoju! Minęło sporo czasu, zanim przestały kaszleć, a Mary zdołała wyjaśnić, że szmatki wynosi się do trzepania na dwór.

Następnie nadeszła kolej na próbę przyniesienia deszczów-

ki do mycia talerzy. Christina miała zanurzyć wiadro w wielkiej beczce, najwyraźniej wystawionej na dwór właśnie do tego celu. Ale parę minut po tym jak, wesoło wymachując wiaderkiem, zniknęła za drzwiami, powietrzem wstrząsnął przenikliwy wrzask - wołanie o pomoc, od którego echo szło po górach. Mary wyskoczyła z domu jak oparzona i ujrzała Christmas zaklinowaną nogami do góry w beczce - która okazała się niemal zupełnie pusta. Ponad jej brzegami widać było jedynie łydki i stopy, wierzgające bezradnie w płataninie halek i tartanu.

- Na miłość boską, dziewczyno! - krzyknęła Mary, spiesząc na ratunek. Ze wszystkich sił starała się nie śmiać z komicznego widoku, jaki prezentowała sobą jej podopieczna. - Czemuś mi nie powiedziała, że tu nie ma...

- Jakiś idiota zużył prawie całą wodę i nie nalał nowej! - wrzasnęła Christmas; Mary złapała ją za pasek i pociągnęła ku sobie, wyjaśniając jednocześnie, iż napełnienie beczki jest zadaniem Matki Natury.

Po chwili, kiedy dzięki wspólnym wysiłkom zdołały wyciągnąć Christmas z pułapki, oczom Mary przedstawił się niecodzienny widok. Rude włosy dziewczyny, które wymknęły się wstążce, ociekały wodą; parę pasemek owinęło się wokół rączki wiadra, które chwiało się, przewieszane przez jej ramię. Podwinięte do łokci rękawy także były przemoczone na wylot, a z nosa i brody kapały drobne kropelki.

Mary przybrała przerażoną minę, jednak zdradziło ją drganie ust, które nie uszło uwagi Christmas.

- Maire Fitzpatrick, nie waż się roześmiać! Robiłam tylko to, co mi kazałaś!

- Jestem Mary Ca... Ca... Cameron! - brzmiała zdławiona odpowiedź, po czym Irlandka dopuściła się dokładnie tego, czego jej zakazano. Wśród nieustannych wybuchów śmiechu zdołała wykrztusić przeprosiny. Wyjaśniła, iż nie zdawała sobie sprawy, że beczka może być pusta, i dodała, że w takim wypadku mądrzej jest pójść do studni, którą zauważyły obok stajni.

- Hmmf! - sapnęła Christmas, nadal nasrożona. - Nie było powodu wątpić, że ta nieszczęsna beczka nie będzie pełna! Ostatnio lało bez ustanku, a nikt mnie nie przekona, że ci... ci... Amerykanie zużyli całą wodę na własną higienę!

Ale w końcu wytarta do sucha Christmas zaczęła dostrzegać zabawną stronę owej sytuacji i roześmiała się razem z Mary. Irlandka nie wątpiła, iż tak się stanie; to dziecko od najwcześniejszych lat miało ogromną i rzadko spotykaną zaletę - potrafiła się śmiać z samej siebie.

Natomiast poczucie humoru Mary zostało tego dnia wystawione na ciężką próbę. W ciągu kilku godzin Christmas zdołała pomieszać cukier z solą w cieście na biszkopty, które miała upiec, wymiotła na siebie z paleniska całą sadzę i podpaliła jedną narzutę. Okoliczności tej ostatniej katastrofy na zawsze zginęły w mgłę tajemnicy, gdyż Mary straciła ochotę, by się dowiadywać, jak się to mogło wydarzyć.

W tym chaosie nie miały czasu rozejrzeć się za ukrytym skarbem. Christmas nie spodziewała się, że znajdą go od razu. Miała nadzieję zauważyć jedynie jakiś ślad lub wskazówkę. Wiedziały, że zagroda została wzniesiona na ruinach starego dworu MacKenziech. A zatem chata nie mogła mieć prawdziwej piwnicy na wino, jakie spotyka się w dużych domach. Mimo to sprawdziły każdy centymetr podłogi,

szukając prowadzących do piwnicy ukrytych drzwi. Bez rezultatu. Potem skupiły się na przeszukaniu podwórka. W tym krótkim czasie, jaki im pozostał, znalazły tam tylko to, czego mogły się spodziewać: stajnię ze stertą - fuj! - nawozu, małą drewnianą szopę z jakimiś rdzewiejącymi narzędziami, zapleśniałą miotełką do kurzu, na wpół zjedzoną przez myszy, oraz z dziwnymi przyrządami zawiniętymi we flanelę. Były tam także dwa wielkie bloki marmuru i ogromna torba czerwonej gliny!

- Wszyscy święci, a cóż to takiego? - zdumiała się Mary.

- Hmm... - Christmas zajrzała pod flanelę i podniosła dłuto. - Jeśli się nie mylę... nie, nie mylę się! - dodała, dostrzegłszy leżącą w kącie bryłę gliny. Przedstawiała na wpół ukształtowaną postać jelenia, łeb wznoszący się z masy zaledwie zapowiadającej krzywiznę kłębu, wdzięczne wygięcie grzbietu i zadnich nóg. - Zdaje się, że jeden z naszych pracodawców jest zainteresowany rzeźbiarstwem.

- To ten Amerykanin - oznajmiła Mary bez wahania. - Jacques wydaje mi się człowiekiem czynu. Jest zbyt energiczny, by siedzieć w jednym miejscu i zajmować się czymś takim.

- Ach, Jacques? - zagadnęła chytrze Christmas. W jej oczach zabłysło rozbawienie.

Mary zaróżowiła się i odchrząknęła, zanim udzieliła odpowiedzi.

- To wspaniały mężczyzna, a ja nie straciłam wzroku. Poza tym... poprosił, by mówić mu po imieniu!

- Jacques. - Christmas zachowała absolutnie nieprzeniknioną minę.

- Prawdę mówiąc, to Jean-Jacques, gdyż ci Francuzi

szaleją za podwójnymi imionami... Nie rozumiem, co w tym takiego śmiesznego!

Christmas uśmiechała się od ucha do ucha, co wydatnie utrudniało jej rozmowę.

- Widzę, że nie tylko ja padłam ofiarą tej... choroby Adama i Ewy, co?

- Bzdura! - krzyknęła Irlandka i gwałtownie zaczęła owijać narzędzia do rzeźbienia. - Cóż za diabeł wcielony! Żeby tak rzucać we mnie mymi własnymi słowami!

Christmas parsknęła śmiechem; po chwili jednak spoważniała.

- Maire... dlaczego nie wyszłaś za męża?

Irlandka poklepała flanelowe zawiniątko i wstała. Przez długą chwilę milczała.

- Był kiedyś ktoś - odezwała się wreszcie stłumionym głosem. - Wysoki chłopak z roześmianymi oczami. Pochodził z mojej wioski, a ja byłam jeszcze dziewczęciem, zbyt młodym do żeniaczki, jak rzekł mój tatuś. Byłam potrzebna w domu, na gospodarstwie. Chcieliśmy... zaczekać...

Gdzieś daleko odezwał się ptak. Christmas czekała w milczeniu. Irlandka miała odległe, nieobecne spojrzenie, nie smutne, lecz... rozmarzone. Milczała.

- I... i co się z nim stało? - spytała Christmas szeptem.

Maire spojrzała jej w oczy.

- Pojął za żonę inną. Jego mama nagle umarła, zostawiła go - był najstarszy z rodzeństwa - i ojca z dziewiątką maluchów, których trzeba było wykarmić. Potem jego tata zginął w głupiej bójce... ledwie dwa tygodnie później. Więc Kevin został sam z małymi. Musiał mieć... żonę... jak najszybciej.



- A ty nie mogłaś...

- Nie mogłam. - Mary wzruszyła ramionami. - Myślałam, że serce mi pęknie - dodała, kiedy wyszły z szopy i ruszyły ku chacie. - Ale później zaczęłam myśleć o tym filozoficznie.

- Filozoficznie?

Irlandka znowu wzruszyła ramionami.

- Sądzisz, dziecko, że jako czternastolatka chciałam się zaprząć do wychowywania dziewięciorga dzieci, nie wspominając już o tych, które sama mogłam urodzić? Myślisz, że byłabym tą samą kobietą, którą jestem teraz? Byliśmy biedni, dziewczyno. Biedni jak myszy kościelne! Przypominam sobie kobiety z naszej wioski. Wyglądały jak staruszki... całe pokręcone i zgarbione, o zmęczonych twarzach... Miały niewiele ponad dwadzieścia lat! Dziecko, całkiem możliwe, że w tej chwili już bym nie żyła, tak ciężkie było tam życie.

- Więc nie żałujesz...

- Żal jest dla ludzi o słabym sercu. No, pomóż mi nakryć do stołu do tych ryb, co to ich mieli nałapać. I, na rany Chrystusa, nie otwieraj przy nich tych ślicznych usteczek i przyglądaj mi się, kiedy będę gotować!

## 7

Jamie stał na głazach w rwącym strumieniu. Westchnął z rozpaczą. Lodowaty prąd przyniósł ze sobą kilka dorodnych pstrągów - wystarczy na kolację - więc można było zaprzestać połowu. Przypomniawszy sobie podróż do zadrzewionej górskiej doliny, gdzie ryby brały tak dobrze, jak można było sobie wymarzyć. Wszystkie były przyzwoitej wielkości, lecz - jak to określił Beaumonde - „skoro biorą same ślicznotki, dlaczego zadowalać się przeciętnymi?”.

W tej chwili Francuz był zajęty innymi ślicznotkami. Dwiema, by określić to z całą dokładnością. Jamie podejrzewał, że jedna z nich jest brunetką, a druga ma włosy niczym ogień. Beaumonde, usadowiony na grzbiecie krępego górskiego konika, rozpoczął wyprawę od nucenia wesołych melodyjek; po drodze przekształciły się one w liryczne pieśni miłosne - *chansons*, jak je nazywał - oczywiście wszystkie po francusku. Wreszcie skończyło się na recytowaniu miłosnych sonetów Szekspira, wyłącznie tych, które opiewały „mroczną kochankę” poety!

Jamie wysłuchał tego występu z rozdrażnieniem i w mil-

czeniu. Był ponury, niemal obrażony i nie zastanawiał się nad tym dlaczego. Oczywiście, sam też przyznawał, że Szkotki są atrakcyjne. Zwłaszcza ruda wywarła na nim oszałamiające wrażenie, lecz nie mógł nie zauważyć, że kryje się za tym coś dziwnego. Z jakiegoś powodu nie wydawała mu się zwykłą chłopką. Być może chodziło o jej postawę... wyglądała niemal tak, jakby przywykła do wydawania rozkazów. No i jej ręce. Dlaczego uważał, że te ręce nie zaznały fizycznej pracy?

Zbeształ się w duchu; co też chodzi mu po głowie? Och, dlaczego ten przeklęty Beaumonde tak skomplikował mu życie? On, Jamie, przyjechał tu, by rozmyślać, by tworzyć, jeśli szczęście mu dopisze... a nie uganiać się za spódniczkami!

Ale jeśli Beaumonde zauważył jego nastrój, nie dał się zbić z tropu.

- Mary... jakież śliczne, proste imię, prawda? - mruknął. - Całkiem przypomina kobietę, która je nosi. Zgodzisz się ze mną, *mon ami*?

Jamie rozważył możliwość warknięcia, lecz wiedział, że to nie zniechęci Francuza.

- I ta Christmas! - ciągnął niemiłosiernie jego przyjaciel. - Wprost niezwykła! Ale to chyba nie jest szkockie imię, co, Jamie?

Tym razem Jamie warknął. Tak, potrafił to robić doskonale.

- Nie, chyba nie - mówił nie zrażony Francuz. - Może sama panienka nam opowie, dlaczego nosi takie imię? Może ją spytasz, Jamie, co?

Jamie poczuł, że jest zbyt zirytowany, by ograniczyć się do monosylabowego warknięcia.

- Jezu, Beaumonde! - wrzasnął. - Skoro tak cię ciekawi to idiotyczne imię, sam ją spytaj! I zostaw mnie w spokoju, do ciężkiej cholery!

Ale czy co kiedykolwiek powstrzymało tego człowieka? Czy choćby zmaćło mu ten głupio rozanielony nastrój? O nie! W odpowiedzi eks-pirat uniósł brew i znowu zaczął recytować strofy jakiegoś przekłętego wiersza o szkockiej Mary - we francuskiej wersji szkockiego dialektu, ma się rozumieć!

I tak było przez cały dzień. Nawet kiedy zabrali się poważnie do łowienia ryb, co - jak wiadomo - wymaga ciszy i skupienia. Oczywiście, cholerny Beaumonde zamilkł, ale z gęby nie schodził mu idiotyczny uśmiezek, wyraźnie świadczący o tym, jakie myśli snują się mu po tym francuskim łbie. Do diabła, dlaczego Jamie nie zorientował się w porę, że pirat Laffite'a jest romantyczny jak panna na wydaniu?

Przypomniał sobie liczne wspólne wypadki w Nowym Orleanie i miłosne eskapady w wolnym czasie. Kobiety na ulicach i promenadach były pięknosciami, przez co miasto znalazło się niemal w oblężeniu mężczyzn ze wszystkich stron świata. Bywało, że Jamie przyprowadzał ze sobą Beaumonde'a na herbatki u żon oficerów. Nigdy dotąd nie zauważył, żeby Francuz pozwolił sobie na coś więcej niż pełen galanterii ukłon, właściwy jego rodakom... przynajmniej tym dobrze wychowanym. A Beaumonde znał się na etykiecie jak mało kto! Oczywiście, kobiety pożerały go wzrokiem. Niewątpliwie połączenie łotrzykowskiej przeszłości Francuza z jego nieskazitelną galanterią wydawało się im nieodparcie pociągające.

Jamie tymczasem nie zwracał na kobiety większej uwagi. Bardziej obchodziła go nadchodząca walka z Anglikami. Wiedział jednak, że nie jest to cała prawda. Jego zachowanie miało wiele wspólnego z pewnymi gorzkimi doświadczeniami. Oczywiście, nie znenawidził przez to wszystkich przedstawicielek płci pięknej. W Nowym Orleanie było wiele pań wiadomego autoramentu, dzięki którym zaspokajał fizyczne namiętności. To nigdy nie wydawało mu się problemem. Jednak bardzo uważnie pilnował, by żadna z nich nie wdarła się w bardziej osobiste rejony. Noc, może dwie - to wszystko, na co pozwalał sobie z kobietą. Mijał czas, ciało znowu zaczynało go niepokoić, więc znajdował kolejne ujście dla żądz. Czasami nie pamiętał nawet imion swoich wybranek; ich twarze wkrótce ginęły w zapomnieniu. Był z tego zadowolony.

Nagle przed oczami stanęło mu wspomnienie... delikatnie zaokrąglona, lecz smukła postać w czerni, kobieta z twarzą ukrytą za woalką... Czy to wtedy zapomniał o ostrożności i potraktował w tak oburzający sposób osobę, która najwyraźniej była damą?

- Jamie! - Głos Beaumonde'a wdarł się w jego rozważania. Amerykanin spojrział nieprzytomnie i ujrzał przyjaciela, dumnie unoszącego ogromnego pstrąga.

- Chyba uznamy, że to już koniec na dzisiaj, co? - Jacques wyszczerzył zęby.

Jamie uśmiechnął się i zaczął zwijać żyłkę. Ten typ jest w najwyższym stopniu irytujący, lecz nie można się na niego długo gniewać. Beaumonde to wieczny optymista i może właśnie to stanowi jeden z powodów ich przyjaźni.

Na tym etapie życia Jamie bardzo potrzebował czyjejś pogody ducha. Sam bowiem nie mógł się na nią zdobyć.

Jacques wyciągnął złowione ryby ze strumienia, w którym je trzymali dla zachowania świeżości. Jamie osiodłał koniki. Zrobiło się już późno, niebo zasnuło się chmurami. Powietrze stało się zdecydowanie chłodne. Lato w szkockich górach, pomyślał, zupełnie nie przypomina wilgotnego, obezwładniającego upału Luizjany. Przypadło mu do gustu. Idealne warunki na pracę w glinie lub nawet w marmurze, jeśli nadejdzie na to czas. Oczywiście, nie czuł się jeszcze gotowy, by choćby tknąć wspaniałe bloki karraryjskiego marmuru, które nakładem ogromnych środków sprowadził z Włoch, lecz to mogło poczekać. Było jeszcze wcześniej i nie znalazł obiektu godnego takiego materiału, nie wspominając już o tym, że musiał udoskonalić długo nie wykorzystywane umiejętności. Na razie glina wystarczy w zupełności.

W drodze powrotnej Francuz nadal był w bojowym nastroju. Pogwizdywał radośnie, od czasu do czasu milknąc, by posłuchać jakiegoś ptaszącego trylu. Jamie, którego nastrój uległ znacznej poprawie, nie miał już nic przeciwko takiej radosnej manifestacji. Napawał się pięknem krajobrazu. Jeszcze nie wyzbył się podziwu wobec jego gwałtownej, surowej wspaniałości. W pewnej chwili zwierzył się z tego Jacques'owi.

- *Oui* - odparł Francuz. - Ze mną jest tak samo. Ale, oczywiście, trzeba by być ślepym, głupim lub zostać tkniętym oboma tymi nieszczęściami, by nie odczuwać podziwu, *mon ami*. - Wskazał uroczystym gestem na rozpościerający się przed nimi dziki krajobraz.

Jamie przytaknął.

- A ci miejscowi, których spotkaliśmy po drodze? Zauważyłeś? Są tacy sami, jak ten kraj. Jest w nich coś żarliwego, jakieś umiłowanie wolności, zrodzone przez potężną moc tych gór.

- *Oui*. Rozkwitają w warunkach, które zabiłyby kogoś innego. Podziwiam ich... ale ja także bardzo sobie cenię osobistą *liberte*. To dlatego przed laty ruszyłem ku brzegom Ameryki.

- Tak, ja także uważam, że my, Amerykanie, cenimy sobie wolność. Dlatego przecież przystąpiliśmy do wojny o niepodległość.

Jacques zmarszczył czoło i odwrócił się, zanim Jamie coś zauważył. W głosie MacIvera brzmiała cicha nuta smutku, nie... niemal goryczy, której jego przyjaciel nie potrafił sobie wytłumaczyć. Ale zanim zdołał się nad tym zastanowić, Jamie sam podsunął mu wyjaśnienie.

- Oczywiście, nie wszyscy zaznali szczęścia całkowitego uwolnienia. Czasami...

Francuz zamarł z zapartym tchem; miał nadzieję, że tym razem Jamie zechce zrzucić z siebie brzemię, które tak go nękało. Jacques nigdy nie twierdził, iż jest dobrym słuchaczem. Może miał rację, a może nie. Wiedział jedynie, że zawsze starał się wysłuchać i zrozumieć przyjaciela. Co więcej, nigdy go nie osądzał. Przyjaciele tego nie robią.

Ale kiedy Jamie odezwał się znowu, najwyraźniej mówił do siebie. Jego głos brzmiał tak, jakby płynął do wewnątrz, jakby Jacques'a wcale tu nie było.

- Czasami coś nas powstrzymuje, nie pozwala stać się tym, czym pragniemy... rodzina... naciski rodziny.

I, na Boga, poczucie obowiązku! Ponad wszystko, obowiązek ponad wszystko!

Jacques milczał; czekał na dalsze słowa. Jamie jeszcze nigdy nie zdradził mu aż tyle i liczył na to, że...

Ale jego nadzieje okazały się płonne.

- Słuchaj, Beaumonde, jeśli nie przyspieszymy, nie do-  
trzymamy przed zmrokiem. Nie wiem, jak ty, ale ja konam  
z głodu! Pędźmy!

Jacques wzruszył ramionami, uśmiechnął się i popędził  
konika.



## 8

Dotarli do zagrody o zmierzchu. W ciemnofioletowym cieniu wzgórz wydawało się, że noc już zapadła. Kiedy nakarmili koniki, od strony chaty doleciał ich jakiś smakowity i kuszący aromat. Jacques zaczął wznosić peany na cześć talentów kulinarnych pewnych osób, a Jamie musiał przyznać, że i jemu ślinka napływa do ust.

Wygląd chaty wymownie świadczył o tym, że obie kobiety nie traciły czasu. Podłoga była zamieciona, talerze i szklanki lśniły, a wszelkie ubrania zostały uprzątnięte. Jamie, który jako pierwszy wszedł do izby, wymruczał powitanie i ogarnął wszystko jednym spojrzeniem. Potem zerknął na smukłą postać, układającą kwiaty w wyszczerbionym garnku, stojącym na środku stołu z surowych desek.

Znowu uderzyła go uroda tej kobiety o tycjanowskich włosach. Mimo iż jej długie loki były związane chustką, a na brodzie widniała smuga sadzy, wyglądała nieprawdopodobnie pięknie. Smukła jak trzcina, a jednak delikatnie zaokrąglona w odpowiednich miejscach, wydawała się niezwykle krucha, co stało w sprzeczności z płomiennym

kolorem jej włosów. Znowu przypomniał się mu staw, który mijali po drodze, cichy i głęboki, ocieniony paprociami. Jego powierzchnia odbijała strome turnie i intensywnie niebieskie niebo - obraz symbolizujący dynamiczną naturę szkockich gór. Ta dziewczyna kojarzyła mu się z owym stawem. O tak, była Szkotką, ta Christmas MacKenzie... MacKenzie? Czy nie tak brzmiało nazwisko wielkich panów, mieszkających w pobliżu?

- Jak łowy? - zagadnęła Christmas.

Mary odwróciła się od pieca, z którego wyciągnęła bochenek chleba o brązowej chrupiącej skórce.

- Ano, powiedzcie. Obfite?

- *Magnifique!* - Jacques wyłonił się zza pleców Jamiego i uniósł girlandę pstrągów.

Jamie spojrzał na białe delikatne dłonie rudej. Każdy jej paznokieć był doskonałym, wypieszczonym owalem.

- Trzeba je szybko wypatroszyć i oskrobać, jeśli mamy zjeść kolację o przyzwoitej porze. - Jego wzrok natrafił na fiołkowe zaskoczone oczy.

- Ach, to zadanie dla mnie - powiedziała Mary, pospiesznie podając Christmas łopatę do wyjmowania chleba. - Proszę, kuzynko, zajmij się resztą naszych wypieków, a ja oprawię ryby. - Odwróciła się do Jacques'a i wyciągnęła rękę po pstragi.

Uśmiech Francuza był równie wyzywający, jak wyraz jego oczu.

- Ależ nie, *cherie!* Jakże mógłbym pozwolić na coś takiego? - Skinął głową, wskazując drzwi. - Chodźmy, pomogę ci, Mary.

Mary usiłowała zaprotestować, choć sama zaczęła się uśmiechać. Jacques pokręcił tylko głową i zaczął wyjmować noże z kredensu. Razem wyszli z izby.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Jamie podszedł do miednicy z dzbankiem obok łóżka. Nie spuszczał oczu z rudowłosej, która kładła na stole parujący chleb razem z drewnianą łopatą. Nalał wody do miednicy. Dziewczyna podeszła do kredensu i chwyciła mały nóż. Jamie uśmiechnął się krzywo.

- Panno MacKenzie, czy szkocki chleb ma inne obyczaje niż angielski i nie opada, jeśli ktoś chce go pokroić tuż po wyjściu z pieca?

Christmas cofnęła nóż tak gwałtownie, jakby bochenek ją ugryzł.

- Jakże... oczywiście, że się zapada, panie. Tylko sprawdzałam, pojmujecie.

- Ach, naturalnie. To by tłumaczyło, dlaczego wzięłaś nóż do skrobania, zamiast noża do chleba.

Odwrócił się i zaczął rozpinać koszulę, podśpiewując pod nosem. Wydawało się, że jest całkowicie pochłonięty ab-lucjami.

Christmas zdała sobie sprawę, że zapowiadają się one na bardzo zaawansowane, i poczuła, że na twarz wypływa jej palący rumieniec. Nie wiedziała, czy to dlatego, że Amerykanin zauważył jej pomyłkę, czy też dlatego, że rozebrał się aż do pasa. Cały składał się z drgających mięśni i ogorzałej skóry. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała tyle męskiego ciała! Stała nieruchomo, na wpół przerażona, na wpół zafascynowana tym pokazem. Nie wiedziała, co zrobić. Oczywiście, zdawała sobie sprawę, jak zachowałyby się Christina St. John - udałaby obrażoną, może nawet by krzyknęła, jak przystoi szanującej się damie z towarzystwa.

Ale co zrobiłaby szkocka dziewczuszka? Czy młode kobiety

są tu przyzwyczajone do widoku rozebranych mężczyzn? Przypomniała sobie podsłuchane fragmenty rozmowy wieśniaczek wynajętych przez panią MacLeod. Czyniły swobodne domysły na temat nowej londyńskiej dziedziczki. Christmas uśmiechnęła się do siebie krzywo na myśl o tych uwagach. Ale oprócz nich zapamiętała zdumiewająco dużo grubiańskich i dosadnych wyrażań, dodających pieprzyka całej rozmowie.

A zatem postanowione. Nie wolno jej nawet mrugnąć okiem na widok nieprzystojnego zachowania Amerykanina. I z pewnością nie powinna okazywać zaskoczenia. I tak wiedziała, że to nie džentelmen!

Odwrociła się, walcząc z rumieńcem, który w równym stopniu wynikał z zawstydzenia, jak i gniewu, i zajęła się wyjmowaniem talerzy z kredensu.

Kiedy Jamie zakończył toaletę, zastał dziewczynę zupełnie pochłoniętą nakrywaniem do stołu. Odsunął jedno z krzeseł nie od kompletu i usiadł na nim okrakiem naprzeciw Christmas.

- Będziemy musieli znaleźć jeszcze dwa siedzenia - zauważył.

Christmas podniosła głowę. Amerykanin przebrał się w świeżą koszulę. Miał świeżo zaczesane wilgotne włosy i przyglądał się jej z rękami złożonymi na drewnianym oparciu. Ulotny, drzewny zapach mydła popłynął ku niej i zginął w aromacie świeżego chleba.

- Kiedy przyjechaliśmy, stało tu tylko to jedno krzesło. - Skinął głową. - Drugie kupiłem następnego dnia w wiosce, żebyśmy mogli razem siedzieć przy stole.

Christmas z wysiłkiem odwróciła od niego wzrok i rozej-

rzała się po izbie. Dlaczego miała wrażenie, że rozmowa wcale nie dotyczy krzesła, tylko, powiedzmy, kształtu jej bioder?

Zganiła się w myślach. Jak mogła pozwolić, żeby taki nieokrzesany gbur wytrącił ją z równowagi? Wskazała na ciężką drewnianą ławę stojącą przy kominku.

- Mary i ja zadowolimy się tym oto meblem, panie.

Powróciła do ustawiania talerzy.

- Rzeczywiście - rzucił Amerykanin, rozprostowawszy długie nogi. Wstał i przyniósł ławę do stołu.

Był wcieleniem wdzięku... i siły, dodała w myślach, kiedy podniósł solidne dębowe siedzisko, jakby ważyło tyle co piórko.

- Ale - ciągnął - musisz zapomnieć o tym „panie”. Wystarczy Jamie. Nie lubimy tu formalności, a to „panie” zanadto przypomina mi o latach spędzonych w wojsku.

Dlaczego jej o tym powiedział? Nie miał najmniejszego zamiaru zaprzyjaźniać się z tymi kobietami. I co właściwie Beaumonde robi przez tyle czasu? Ale, prawda. Dobrze wiedział, co to takiego.

- Byłeś w wojsku, pa... hm, Jamie? - Christmas z wysiłkiem wymówiła znajome imię. Teraz, zrozumiała, nie pozostało jej nic innego, jak tylko pozwolić, by on także zwracał się do niej w ten poufały sposób.

Westchnęła w duchu. W końcu to i tak tylko maskarada.

- Przez pewien czas - rzucił, siadając znowu na krześle. - A co do ciebie, Christmas MacKen... Och, chyba powinienem mówić ci: Christmas?

Ciekawe, co by zrobił, gdybym odmówiła, pomyślała. Skinęła głową.

- Znakomicie. A teraz z innej beczki. Czy MacKenzie nie jest nazwiskiem klanu, który mieszka w okolicy? Dziedziców?

Na to pytanie była przygotowana już od dawna.

- Ano, ale w tym przypadku to nie dziedzic, a dziedziczka.

- Słucham?

Postawiła ostatnie naczynie i spojrzała w jego niewiarygodnie przepastne, błękitne oczy; ich zdumiewający kolor był jeszcze podkreślony przez gęste, połyskujące złotem brwi i długie rzęsy.

- Zgodnie ze starym prawem, dziedziczką rodu jest najstarsza córka... Jamie. W tym przypadku jest to moja daleka krewna, lady Christina MacKenzie St. John, co to niedawno przybyła z Londynu. To angielskie prawo, narzucone nom siłą... kaprys historii, pojmujecie.

Jamie otworzył szeroko oczy. „Kaprys historii”? Czy tak wyraża się szkocka wieśniaczka? Powściągnął uśmiech i postanowił dowiedzieć się czegoś więcej.

- Ach, tak - mruknął. Dziewczyna poszła po maselniczkę, którą Mary odkryła w letnim domku. - A czy ta daleka krewna odziedziczyła ową rezydencję?

Christmas postawiła maselniczkę na stole.

- Tego nie wiem na pewno. W wiosce powiadajom, co pewnikiem zostanie na lato.

- A więc jej nie spotkałaś?

Christina uniosła lekko brwi. Co mają znaczyć te pytania? Czyżby zaczął coś podejrzewać? Potem w oczach zapaliły się jej złośliwe iskierki. Ach tak, chciałby się czegoś dowiedzieć? Ależ proszę, może zdoła spełnić jego życzenie, a przy okazji uprawdopodobni swoje przebranie.

- Ano pewnie, zem ją spotkała. - Podparła się pod boki i rzuciła mu gniewne spojrzenie. - Prawdziwa angielska suka, o tak! W jej żyłach płynie zimna woda, a nie dobra szkocka krew, co to się do niej przyznaje! A nosi się tak sztywno, jakby ktoś jej wetknął kij od szczotki w... hm, w plecy.

Było to dokładnie to, co mówiły o niej dziewczęta ze wsi. Powtórzyła wszystko, słowo po słowie, wyjąwszy ostatnie, którego po prostu nie mogła wykrztusić. Nawet bez niego czuła, że twarz jej płonie.

Wybuch śmiechu Jamiego nagroził jej wysiłki.

- Ach, więc to tak?

Christmas pochyliła się nad stołem, ostentacyjnie poprawiając kwiaty.

Jak się okazało, był to błąd.

Jamie niespodziewanie zbliżył się do niej i wziął ją pod brodę; w drugą rękę ujął serwetkę z samodziału.

- Spokojnie - szepnął, nie zwracając uwagi na przerażone spojrzenie jej szarych oczu. - Pora wytrzeć tę smugę.

Poparł słowa czynem, przeciągając serwetką po jej brodzie. Zrobił to o wiele delikatniej, niż się spodziewała. Ale kiedy odłożył gałgan, jego ogorzałe palce nie oderwały się od jej twarzy.

- Czy wiesz - powiedział, przypatrując się jej uważnie - że twoje oczy czasami zmieniają kolor?

Christmas poczuła, że robi się jej zimno i gorąco. Mocna, zmysłowa bliskość jego ciała wydawała się promieniować ciepłem.

- W tej chwili - ciągnął cichym głosem, w którym

pobrzmiwało zdumienie - mają najbardziej niewiarygodny odcień fiołków.

Polano na palenisku pękło z głośnym trzaskiem, tryskając fontanną iskier. Czar prysł. Jamie cofnął gwałtownie rękę, Christmas obróciła się ku stołowi, rozpaczliwie szukając jakiegoś zajęcia.

Nagle pojawienie się Jacques'a i Mary przyniosło jej wybawienie. W ich głosach dźwięczał śmiech.

- Cuchnę rybą jak handlarze portowi w Marsylii! - wykrzyknął Francuz z fałszywym obrzydzeniem.

- Dobrze ci tak - odparła Mary z uśmiechem. - Nie trzeba było łapać się za moje zajęcia. Tyś już spełnił swoje zadanie, trza było pozwolić, cobym i ja spełniła swoje.

- Ach! - Jacques postawił na stole półmisek z oprawionymi rybami. - Ale wtedy nie mógłbym przebywać w twym słodkim towarzystwie, *ma belle* Mary!

- Iiii! - pisnęła cienko Mary, odskakując do tyłu, gdyż Jacques udał, iż chce ująć jej twarz w cuchnące rybą dłońe.

Francuz zaśmiał się cicho i zwrócił się bezradnie do Jamiego i Christmas.

- Wyśmiewa wszystko, co dla niej robię! - pożalił się obrażonym tonem.

- Mógłbyś przynajmniej dobrze umyć te ręce!

Jacques dobrodusznie wzruszył ramionami i podszedł do miednicy, podczas gdy Mary zaczęła przygotowywać patelnię. Christmas, pouczana półgłosem, pomagała jej dzielnie. Nikt nie zauważył milczenia Jamiego, który podszedł do otwartych drzwi i wyjrzał na mroczne podwórko.

Po chwili razem zjadali kolację wśród zachwyconych pomruków i pochwał. Uzgodniono, mimo protestów obu



kobiet, że Jacques odprowadzi je do ścieżki prowadzącej do wsi, ponieważ zanosilo się na to, iż nie zdązą wrócić przed nocą. Jacques wolał towarzyszyć im aż do domu, na co się nie zgodziły. W końcu skapitulował, lecz dopiero wtedy, gdy obiecały zabrać latarnię.

Jamie obserwował odejście całej trójki. Żółte światło latarni oddalało się, aż wreszcie zniknęło między drzewami.

Obraz Christmas MacKenzie uparcie tańczył mu przed oczami, choć starał się go usunąć. Widział jej nagle rozkwitający uśmiech, kiedy Jacques powiedział przy stole jakiś dowcip, widział lśnienie jej włosów w promieniach słońca albo później, kiedy przy świecach i ogniu na kominku miedziana strzecha nabrała łagodniejszego blasku. Widział smukłą postać poruszającą się z tanecznym wdziękiem pomiędzy prostymi sprzętami w chacie, sylwetkę pełną gracji, tak nie pasującej do tej biednej izby...

Nagle poderwał głowę; znowu nawiedziło go przeczucie, że dziewczyna nie jest tą osobą, za którą się podaje. Tak, im dłużej się nad tym zastanawiał, tym silniej był o tym przekonany. Przypomnił sobie jej inne gesty, a zwłaszcza ostatnią scenę, kiedy spożywała wraz z nimi kolację.

Ta dziewczyna ma zbyt dobre maniery jak na kogoś ze szkockiej wioski.

Na jego ustach pojawił się leniwy uśmiech. Jamie z wolna wycofał się do izby i zamknął za sobą drzwi. Pokiwał głową i zatrzymał się przed kominkiem. Spojrzał w płomienie, przywodzące mu na myśl grzywę rudowłosej.

Oczywiście jutro tu wróca. A wtedy Christmas MacKenzie, czy jak też się nazywa, będzie musiała odpowiedzieć na parę trudnych pytań. Miał przed sobą całą noc, żeby je obmyślić.

## 9

Następnego ranka Maire podśpiewywała przez całą drogę do zagrody. Christina - lub Christmas, jak zaczęła o sobie myśleć nawet wtedy, gdy była sama - zносиła te objawy dobrego nastroju swej towarzyszki, lecz przychodziło jej to z najwyższym trudem.

Jej samopoczucie było bowiem jak najdalsze od dobrego. Była przestraszona, a może nawet... cóż, „przeżona” to zdecydowanie zbyt mocne określenie. Jednak niepewność, uczucie całkowicie niezgodne z jej naturą, podkopywało jej nerwy.

Przyczyna tej niepewności była jedna: Jamie MacIver. Ten Amerykanin nawiedzał jej myśli na jawie i we śnie od chwili, kiedy opuściła jego domostwo. W nocy budziła się kilka razy, nie mogąc przypomnieć sobie, co się jej śniło, choć w każdym przypadku miała dziwną pewność, że tematem snu był Jamie MacIver.

Nawet teraz prześladowały ją wspomnienia włosów w kolorze ciemnego miodu, lśniących w blasku ognia na kominku, oraz błękitnych oczu, które stały się niemal fioletowe, kiedy mówił o kolorze jej oczu... niech to!

- Musisz śpiewać?

Irlandka zamrugała, zatrzymała się i spojrzała na nią niepewnie.

- Nie muszę, dziecko, ale może wyznasz, co cię gnębi?

Strapione spojrzenie jej ciemnych oczu sprawiło, że Christmas natychmiast poczuła zawstydenie.

- Och... Wybacz, Maire, ale... zdaje się, że dziś nie jestem sobą. Dość... dość niespokojnie spałam...

- Zalażł ci za skórę, co?

- Kto? - wymamrotała niespokojnie Christmas, choć doskonale wiedziała, o kim mowa.

Maire zachichotała.

- A któż by inny, jak nie nasz diabelnie przystojny Amerykanin! Prawo powinno zakazywać, żeby tak przystojny mężczyzna mógł rozmawiać z młodymi pannami!

Christmas zarumieniła się i uśmiechnęła z zakłopotaniem.

- Właściwie... nie jest przystojny... tak naprawdę.

Maire uniosła brew.

- Ach, tak naprawdę, co? Ano, może, skoro go porównujesz z panami z towarzystwa, takimi jak milord Aaron Crenshawe albo...

- Maire, proszę! Czy muszę ci przypominać, że jestem zaręczona z lordem Crenshawe?

Irlandka parsknęła pogardliwie i ruszyła dziarsko przed siebie.

- Ano jesteś - przyznała, kiedy Christmas ją dogoniła. - Ale jeszcze za niego nie wyszłaś!

Christmas powstrzymała cisnącą się jej na usta cierpką odpowiedź. Znała opinię swej towarzyszki o lordzie Aaronie. Odkąd sama potwierdziła jej podejrzenia, przyznając iż

będzie to związek oparty bardziej na rozsądku niż uczuciu, Irlandka bez skępowania wypominała jej bezustannie, że zamierza popełnić błąd. I choć dziewczyna często korzystała z rozsądnych rad Maire, tym razem postanowiła, że nie będzie zwracać uwagi na jej ponure proroctwa. Małżeństwo z Aaronem Crenshawem - jeśli w ogóle do niego dojdzie - miało być jej przepustką do bezpiecznej przyszłości i nie zamierzała z niej rezygnować. Banały o małżeństwie z miłości i temu podobne są piękne i godne podziwu, lecz nie przydają się do niczego, kiedy wilk podchodzi pod same drzwi. Oczywiście, Christina zamierzała przepędzić go gdzie pieprz rośnie i żadna irlandzka - ani amerykańska! - przeszkoda nie mogła stanąć jej na drodze.

W zagrodzie nie zastały nikogo, lecz na stole znalazły liścik nagryzmołony ręką Jacques'a. Wyjaśniał on, iż obaj wcześniej rano wyruszyli do wioski i niedługo wrócą; jeden z koni miał spuchniętą nogę i Jamie chciał, żeby mu się przyjrzał jakiś znający się na rzeczy kowal. Natomiast Jacques zamierzał kupić coś na obiad.

Christmas uznała, że oto nadarza się wymarzona okazja do poszukiwania skarbów. Zostawiła Maire samą (zresztą Irlandka oznajmiła, że najlepiej jej pomoże, jeśli *nie* będzie jej wchodzić w drogę) i zabrała się do starannego przetrząsania obejścia. Niestety, po skrupulatnym przeszukaniu podwórza i stajni musiała przyznać, że nie dowiedziała się nic nowego. Letni domek znów natchnął ją nadzieją; był tak dobrze ukryty w gęstym listowiu, że wczoraj go nie zauważyły. Ale znalazła w nim jedynie niemal opróżniony garnek na masło i parę butelek wina, chłodzących się w lodowatej wodzie. Nie przypominało to piwniczki na wino.

Jeszcze raz przyjrzała się materiałom rzeźbiarskim i zdała sobie sprawę, że coś się tu zmieniło. Wśród pyłków kurzu, wirujących w promieniach słońca, leżały odłamki tego, co jeszcze wczoraj było jeleniem.

Czy rzeźba została zniszczona w wyniku nieszczęśliwego wypadku? Christmas pochyliła się nad nią i doszła do wniosku, że to niemożliwe. Na zakurzonej podłodze leżało kilka roztartych na proch odłamków gliny, co wskazywało na fakt, iż rzeźba nie tylko się przewróciła, lecz została rozbita czyjąś ręką. Ale dlaczego?

Była skłonna zawierzyć Maire, która uznała, że to Jamie jest rzeźbiarzem. Christmas instynkt podpowiadał, że zniszczenie nie jest dziełem Jacques'a. Ale co spowodowało, że Jamie zniszczył własne dzieło?

- Znalazłaś coś interesującego?

Dziewczyna krzyknęła i odwróciła się gwałtownie. W drzwiach stał Jamie. Jego niedbała poza dziwnie kontrastowała ze skupionym wyrazem świetlistych oczu.

- Ja... alem się przestraszyła!

W tej chwili tylko tyle przyszło jej do głowy tytułem wyjaśnienia swojej obecności. Ale nie kłamała. Jego spojrzenie, postawa... wszystko to, nie wiedzieć czemu, nasunęło jej skojarzenie z czającym się do skoku drapieżnikiem. Nie mogła nic na to poradzić, ale czuła się lekko zbita z tropu.

Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się z trudem.

- Nie powinniście się tak skradać i straszyć ludzi, panie.

- Jamie - przypomniał. Jego oczy powędrowały ku jej ustom, kiedy zwilżyła je językiem.

- A... ano tak, Jamie. - Spojrzała na rozbitą bryłę.. - Nie wiedziałam, że jesteś artystą... ta... rzeźba jest...

- Niepotrzebną stratą czasu - przerwał jej. Miał wrażenie, że dziewczyna mu nie uwierzyła. - Pomaga zabić czas, zwłaszcza kiedy jestem z dala od domu i nie mogę się zająć doglądaniem plantacji.

- Plantacji? Ale powiedziałaś, że byłeś w...

- Byłem, ale zeszłej zimy. Kiedy wojna się skończyła, zrezygnowałem ze służby.

Jego ton wyraźnie wskazywał, że nie powie nic więcej na ten temat.

- Rozumiem. - Zrobiła krok naprzód, jakby zamierzała wyjść.

- A ty, Christmas?

- Ja?

- Co porabiasz, kiedy nie wynajmujesz się do pracy u dwóch nieznajomych, mieszkających w dzikich ostępach? - Nie usunął się jej z drogi. Nadal stał w drzwiach, opierając się ramieniem o pełną drzazg futrynę. Intensywnie niebieskie oczy były pełne najwyższego zainteresowania.

- Przeważnie... pomagam w domu.

- W domu. W wiosce?

- A... ano.

- Mieszkasz z rodzicami?

Ostre ukłucie bólu nagle odebrało jej mowę. Spojrzała na niego z niekłamany bólem.

- Moi rodzice... nie żyją, panie. Oboje... zginęli zeszłej zimy w... w wypadku. Mieszkam z... Mary.

- Przepraszam, że spytałem - powiedział cicho, z prawdziwym współczuciem. - Musi ci być niełatwo. Ale chyba dobrze ci się mieszka z kuzynką. To pocziwa dusza.

- Och, tak! Mary jest dla mnie jak... jak druga matka. Zawsze byliśmy sobie bliskie, pojmujecie.

Jamie skinął głową. Nie odwracał od dziewczyny przenikliwego spojrzenia.

- Zawsze mieszkałaś w tych górach? Spędziłaś tu całe życie?

- A...ano... - Zaczęła wycofywać się do drzwi. Powinien się odsunąć i pozwolić jej wyjść. Nie zrobił tego.

- Jak wygląda dzieciństwo w górach?

Christmas uśmiechnęła się do siebie. Spodziewała się pytań, choć może nie aż tak natarczywych. Przygotowała wygrzebane z pamięci szczegóły rozmów z matką. Nauczyła ich nawet Maire, więc czuła się spokojna i pewna siebie.

- Cudownie. Można by powiedzieć, że było proste... dostosowane do rytmu pór roku... bicia serca tych gór. Pamiętam długie letnie dni, pełne ptaszęcych szczebiotów, gdyśmy pływali łódką po jeziorze lub zbierali jagody dla... dla mojej mamy, która dodawała je do placków. - Niech to diabli, zbeształa się w duchu. O mało co nie powiedziałam: dla kucharki! Gotowa jestem odmalować obraz arystokratycznego życia w szkockiej wsi! - A w zimie - ciągnęła, już ostrożniej - dokazywaliśmy na zamrzniętych strugach, w długie wieczory zaś siadywaliśmy przy ogniu i rozłupywaliśmy orzechy, a mój... ojciec opowiadał nam historie o klanie MacKenziech.

Jamie skinął głową.

- A święta? Boże Narodzenie musiało być dla ciebie szczególnie ważne.

- Nie aż tak, jak by można się spodziewać - odparła

natychmiast. Dobrze pamiętała odmienne zwyczaje matki i ojca, który urodził się w Anglii. Została wychowana w obu tradycjach, więc odpowiedź nie sprawiła jej najmniejszego kłopotu.

- Widzisz, Jamie, my Szkoci nie świętujemy Bożego Narodzenia tak jak Anglicy i inni. Właściwie gdyby w tym dniu nie przypadały moje urodziny, pewnie w ogóle byśmy go nie zauważali. Tutaj, w Szkocji, to na Nowy Rok przypadają zrękowiny i śluby.

- Ach, prawda. *Auld Lang Syne* i tak dalej. I *haggis*! Hm... właściwie co to jest?

Teraz czuła się już tak swobodnie, że nie dostrzegła przebiegłego błysku w jego oczach, zdradzającego, iż Jamie dobrze wie, czym jest *haggis*. Wspominając, przysunęła się bliżej drzwi i teraz stała o wyciągnięcie ręki od niego, lecz tego także najwyraźniej nie dostrzegła. Nie zauważyła nawet, że Jamie gwałtownie wciąga powietrze, wdychając zapach kwiatów w jej włosach, nagrzanym promieniami słońca.

- *Haggis*? - Roześmiała się. - Naprawdę chcesz to wiedzieć?

Jamie miał wrażenie, że skinął głową, może nawet się uśmiechnął, choć nie miał co do tego pewności. Słyszał tylko melodyjny tryl jej śmiechu, widział płomienny blask jej lśniących w słońcu włosów, czuł narkotyczny zapach kwiatów, oszałamiający jego zmysły.

- A zatem słuchaj - zaczęła z powagą, której zadawały kłam dwa dołeczki w policzkach. Do tej pory ich nie zauważył... - To baranie serce i wątroba zmieszane z łożem, przyprawione i gotowane w baranym żołądku. Bardzo smacz-



na potrawa, lecz obawiam się, że ty nie oddasz jej sprawiedliwości, gdyż nie jesteś Szkotem!

Jamie mruknął coś niewyraźnie, ale zanim Christmas zdążyła go poprosić o powtórzenie, spojrzała mu w oczy. Pytanie zamarło jej na wargach. Poczowała, że te błękitne przepastne oczy przyciągają ją i nie pozwalają odejść. Serce zaczęło trzepotać jej w piersi jak dziki ptak, a całe ciało ogarnęła jakby gorączka.

- Może - usłyszała jego głos, stłumiony i dziwny - to tylko jedna z rzeczy, które straciłem, nie będąc Szkotem...

Stała jak zaklęta, z trudem łapiąc powietrze. Powoli uniósł rękę i ujął jeden jej lok.

- ... tysiące radości... - Delikatnie pociągnął ją za włosy; Christmas poczuła przyjemne mrowienie skóry. Jamie przeciągnął jedwabistym końcem loka po jej policzku i wardze. - Fascynujących...

Jej oczy stały się dwoma przejrzystymi klejnotami o najczystszej barwie fiołków. Musiał przytrzymać się jedną ręką framugi, żeby nie stracić równowagi. Pochylił się i przesunął ustami tam, gdzie przed chwilą dotknął pasmem włosów.

Christina poczuła jego rozpalone wargi; w uszach zaczęło jej szumieć. Mimo woli, wbrew sobie, pochyliła się w stronę źródła tego ciepła, tego dziwnego oszołomienia, które nagle na nią opadło i sprawiło, że nogi ugięły się pod nią. Odgłosy świata zewnętrznego odpłynęły gdzieś daleko i...

- Jamie! - Głos Jacques'a wdarł się pomiędzy nich jak lodowaty podmuch wiatru. Odskoczyli od siebie i gwałtownie zaczerpnęli oddechu.

- Jamie! - zawołał Francuz. - Chodź szybko! Ten sak-

ramencki worek z mąką pękł, pomóż mi! Cholera, człowieku, gdzie jesteś?

Jamie mruknął coś niezrozumiałego, odwrócił się gwałtownie i wypadł na podwórko.

Christmas, pozostawiona samej sobie, dotknęła warg drżącymi palcami. Zastanawiała się, dlaczego pocałunki Aarona nigdy nie obudziły w niej takich emocji.

## 10

Słoneczna pogoda nadal trwała. Codzienne wędrowki do zagrody stały się dzięki niej przyjemne, zwłaszcza kiedy kobiety lepiej poznały teren; poza tym przyjazna aura stanowiła dla nich doskonały pretekst do opuszczania dworu na długie godziny. Wyposażone w szkicowniki i węgiel (które z czasem zaczęły ukrywać pod głazem w pewnej odległości od zagrody, by umknąć pytań Jamiego lub Jacques'a), radośnie żegnały się z panią MacLeod. Jeśli gospodyni sądziła, że ich zachowanie jest dziwne, nigdy nie uczyniła na ten temat żadnej uwagi.

Co do rezultatów ich pobytu w zagrodzie, miały mieszane odczucia. W miarę upływu dni Christmas coraz lepiej wykonywała obowiązki gospodarskie, których istnienia dotychczas nie dostrzegała. Wszystko to należało do zadań służby; teraz, kiedy poznała je tak dobrze, poczuła ogromny szacunek do tych, którzy musieli zarabiać na życie fizyczną pracą. Co więcej, nowe umiejętności zaczęły sprawiać jej radość; omal nie pękła z dumy, kiedy Maire pochwaliła upieczony przez nią chleb lub gdy uśmiechała się szeroko na widok schludnie pościelonego łóżka.

Natomiast właściwy cel ich wyprawy, jak dotąd, nie został osiągnięty. Kilka razy przeszukały chatę i podwórze, gdyż od czasu do czasu zostawały same, lecz nie odnalazły najmniejszego śladu istnienia starej piwnicy Angusa Mac-Ivera. Po tygodniu bezowocnych wysiłków Maire utwierdziła się w przekonaniu, iż stary Szkot był „niespełna rozumu, a przynajmniej słaby na umyśle”, jak to ujęła, lecz Christmas nie chciała się poddać. A ponieważ jej towarzyszka mimo pesymistycznych prognoz co do znalezienia skarbu nie protestowała przeciwko dalszej maskaradzie, Christmas zdecydowała się kontynuować poszukiwania.

Oczywiście, miała powody, by podejrzewać, iż brak protestów jej przyjaciółki ma związek nie tyle z perspektywą znalezienia skarbu, ile z pewnym Francuzem, lecz nie czyniła na ten temat żadnych uwag. Maire mogła sama decydować o sobie, a jeśli los podarował jej drugą szansę znalezienia szczęścia, Christmas popierała ją z całej duszy. Poza tym Jacques Beaumonde wydawał się czarującym łotrzykiem, w głębi serca znacznie lepszym, niż to okazywał. Trudno było go nie polubić.

Co do drugiego lokatora zagrody, to zaczął czynić uwagi dotyczące sprawy znacznie bardziej skomplikowanej niż poszukiwanie Skarbu Wilka Morskiego. Na zmianę stawał się gadatliwy i milczący. Christina nie potrafiła określić, co właściwie powoduje ten stan.

Był to jeden z tych nielicznych dni, kiedy w górach zapanowało prawdziwe lato. Fakt, iż ta najbardziej ulubiona przez Christmas pora roku tak długo pozostawała na terenach znanych z burzowych chmur i zimnych wiatrów, pojawiających się nawet w lipcu i sierpniu, był wyjątkowy. Ale

tego dnia owa najbardziej przyjazna pogoda prześcignęła samą siebie i zaprezentowała coś, czego dawno tu nie widziano. Wydawało się, że natura ukazała swoją najpiękniejszą twarz.

Błękitnego przestworu nie kalała ani jedna chmurka, słońce promieniowało ciepłem, ani zbyt mocnym, ani zbyt słabym. Najdelikatniejszy wietrzyk poruszał się nad dolinami niczym lekki oddech, a polne kwiaty skłaniały swe barwne główki jakby w doskonałej zgodzie z ziemią i dniem.

W rzeczy samej, pomyślała Christmas, zmierzając w stronę górskiej łąki, na której rosły setki kwiatów, Bóg chyba nigdy nie stworzył piękniejszego dnia. Kiedy wyszła z zadrzewionej ścieżki, obrzeżonej pnącymi azaliami i karłowatymi wierzbami, musiała się zatrzymać na długą chwilę, by do woli nacieszyć oczy widokiem.

Znała nazwy niektórych kwiatów, gdyż widywała je na rycinach, z których uczyła się rysować. Inne ujrzała po raz pierwszy w życiu, lecz to nie miało żadnego znaczenia. Liczyła się tylko oszałamiająca feeria barw, bijąca aż pod niebiosy.

W jaskrawym zgiełku widniały wszelkie możliwe odcienie żółceni, od pospolitych radosnych kaczeńców po okazałe dębiki i ciemnozłote kwiaty podobne do maków, chylące się na cienkich, wdzięcznych łodygach. Christmas rozpoznała fioletowe i różowe skalnice, o wiele bardziej bujne niż podobne w kolorze wrzosi. Te ostatnie ze względu na wilgotny północno-zachodni klimat nie rosły tu tak gęsto, jak w pozostałych rejonach Szkocji - tak przynajmniej twierdziła pani MacLeod. A jednak i tutaj można było je spotkać, podobnie jak maleńkie purpurowe kwiatuszki,

które Christina widziała po raz pierwszy, oraz blade górskie goździki.

Biel, czerwień, żółcień, błękit, fiolet, róż - tęcza kolorów stała przed oczami zachwyconej dziewczyny. Łąka wyglądała jak paleta samego Boga. Christina poczuła, że rozpiera ją czysta, niezmacona radość. Uczucie było tak silne, z taką mocą wypełniło jej ciało, tak szybko płynęło w żyłach, że musiała zareagować tak, jak nie zdarzyło się jej od czasów dzieciństwa.

Uniosła spódnicę, roześmiała się na głos i puściła się pędem przed siebie, aż wbiegła po kolana w burzę kolorów. Zaczęła wirować wokół własnej osi, zanosząc się szczęśliwym śmiechem. Och, czyż to nie najwspanialsze miejsce na całej ziemi? Czyż nie jest najszczęśliwszą z żyjących kobiet?

Taką właśnie ujrzał ją Jamie, kiedy podniósł głowę na dźwięk jej śmiechu.

Zjawił się na tej łące o świcie, słusznie spodziewając się pięknej pogody i pragnąc skorzystać z zachwycającego krajobrazu oraz spokoju odosobnienia. Przed nim, na prowizorycznym warsztacie z dwóch skrzyń, znajdowała się bryła gliny oraz naczynie z wodą, którą zwilżał materiał.

Ale w tej chwili dłuto upadło na warsztat, zapomniane. Jamie opuścił umazane czerwoną gliną dłonie. Chryste, jakaż ta dziewczyna jest piękna! Jej śmiech przejął go dreszczem do szpiku kości. Widział jej miedzianą grzywę, fruującą w powietrzu, miotającą oślepiające błyski; widział czyste rysy zwróconej ku niebu twarzy. Była wcieleniem kobiecego wdzięku, a jednocześnie przypominała szczęśliwe dziecko.

Jamie przyglądał się jej z dziwnym dławieniem w piersi, niebezpiecznie przypominającym uczucie, którego tak długo sobie odmawiał. Od lat nie pozwolił sobie na podziwianie tak doskonałej kobiecości, emanującej równie wielką niewinnością. Niemal zapomniał, że istnieją takie kobiety, jak Christmas MacKenzie... piękne... czyste... nie zepsute.

I niebezpieczne, dodał w myślach. Trzeba przerwać ten czar.

- Nie wiedziałem, panno MacKenzie, że płacę ci za bieganie po łące! - zawołał. - Może zechcesz mi wytłumaczyć, jaki to rodzaj domowych prac?

Christmas potknęła się i zamarła w połowie piruetu. Surowy głos zmroził ją niczym podmuch zimnego wiatru. Przytrzymała zsuwającą się chustę, a drugą ręką osłoniła oczy przed promieniami słońca i spojrzała na skraj kwietnego dywanu.

- Jamie.. .Pan MacIver? - poprawiła się, przypomniawszy sobie mętnie, że i on zwracał się do niej bardziej oficjalnie.

- We własnej osobie - usłyszała.

Ruszyła ku niemu. Jamie musiał przyznać, że porusza się z wrodzoną gracją, która przychodziła jej równie naturalnie, jak oddychanie. Zauważył wijące się pasma jej włosów, płonące barbarzyńskim ogniem. Spojrzał w przejrzyste szare oczy.

- Bardzo przepraszam, że przeszkodziła - powiedziała Christmas. Uznała, iż dzień jest nazbyt piękny, by zaprzętać sobie głowę nasrożoną miną MacIvera. Albo surowym tonem jego głosu. Będzie musiała go namówić, by cieszył się razem z nią. - Cóż to mówiliście przed chwilą, panie? - Obdarzyła go najbardziej promiennym uśmiechem.

Jamie udał, że go nie zauważa - podobnie jak dołeczków w policzkach i wesołego błysku oczu.

- Pytałem, w jaki sposób bieganie po łące kwalifikuje się jako praca, za którą mam płacić.

Christmas pozostała niewzruszona.

- Och, jej! Więceście nie słyszeli, jak Jacques wyznał, że chciałby, coby i dzisiaj na stole stół bukiet kwiatów? Przyszłam ich nazbierać.

Kolejny oszałamiający uśmiech. Jamie poczuł dziwne ściskanie w piersi.

- Ach, tak - mruknął, ze wszystkich sił starając się zachować surowość, wskazaną podczas rozmów ze służbą. Niestety, czuł nadchodzącą klęskę.

Christmas przyjrzała się glinianej bryle na warsztacie.

- O! Jaki śmieszny bałwan! To jest... cóż też rzeźbicie? Jamie westchnął.

- Właściwie, panno MacKenzie...

- Myślałam, że miało być: Christmas?

Jamie skinął głową z rezygnacją.

- Właściwie, Christmas, w tej chwili nic. Do niedawna były to kolejno: pustułka, daniel, makolągwa i głuszec.

- Głuszec?

- Z pewnością spotykacie je tu dość często? - Błysk w oku Jamiego wskazywał, iż doskonale zna odpowiedź.

Zarumieniona Christmas (która nigdy w życiu nie słyszała o tym paskudnym stworzeniu!) rozpaczliwie zaczęła zastanawiać się nad odpowiedzią.

- Można rzec, że szukasz natchnienia w naturze naszych gór. - Spojrzała na łąkę i rozciągające się za nią dzikie szczyty, wyglądające zza wierzchołków drzew. - Ale nie mogę cię za to winić. Są bajeczne, prawda?

- Bajeczne - przyznał Jamie, idąc za jej wzrokiem.



- Ano tak. - Westchnęła i zaczęła zbierać kwiaty, jednocześnie zwracając się do niego. - W takim miejscu ręce pewnie aż rwą się do rzeźbienia.

Ledwie wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo są trafne. Istotnie, w górach Szkocji jest coś, co niesie ze sobą natchnienie, chęć działania, nawet jeśli miałyby być tak nieskomplikowane, jak zbieranie kwiatów. Ma się rozumieć, kiedy mieszkała w Anglii, także zdarzało się jej wykonać coś własnymi rękami, ale zawsze były to rzeczy starannie określone przez reguły, rządzące życiem towarzystwa. Rysowanie, powożenie modnym faetonem w parku - to wszystko należało do rozrywek godnych dobrze urodzonej panny.

Tutaj, w tym dalekim kraju, wszystko wydawało się dzikie, wolne i bez granic! Tutaj czuła, że wolno jej robić niemal wszystko! Pomyślała o prostej czynności, jaką było upieczenie chleba czy czyszczenie miedzianej patelni za pomocą soli, octu i piasku. Dlaczego nie wiedziała, że to taka radość, taka satysfakcja?

- Nie można nikogo ganić, jeśli zagubi się w tej wspa-  
niałości - powiedział Jamie.

Roześmiała się.

- Ano pewnie!

Jamie podniósł się z kamienia, na którym siedział, i otarł mokrym gałganem ubrudzone gliną ręce.

Christmas uniosła brwi; MacIver zbliżył się i zaczął zbierać kwiaty razem z nią. Do tej pory nieprzerwanie pracował nad bryłą gliny, ale teraz, odkąd na łące rozległ się wybuch radosnego śmiechu, zmienił zdanie i...

- Nie chciałam przeszkadzać - rzuciła pospiesznie Christmas. - Gdybym wiedziała, że cię tu zastanę, nigdy bym...

- Proszę - przerwał jej i podał piękny kwiat, małeńki i karminowy. - Przyda się jeszcze parę takich.

Skinęła głową.

- Widzisz, Christmas - ciągnął Jamie, kiedy szli pomiędzy chwiejącymi się barwnymi kielichami - zazdroścę ci.

- Mnie?

Skinął głową i powiódł wzrokiem wokoło.

- Tak... tego wszystkiego. Ty się tu urodziłaś, a ja... ja jestem tylko intruzem. Ty codziennie budzisz się, by oglądać tę wspaniałość, prawda?

Christmas zagryzła mocno wargę, by powstrzymać wypełzającą na policzki zdradliwy rumieniec.

- Jak to jest? - zagadnął Jamie, przyglądając się jej uporczywie. - Jak to jest, urodzić się w takiej wolności? Chłonać zmienne oblicze dzikiej przyrody, nieskrępowanego piękna, czuć, jak płynie w twoich żyłach?

Christmas nie odpowiedziała. Nie mogła. Musiałaby przyznać, że żyje w kłamstwie. Była tu intruzem tak samo jak on. Zdawała sobie z tego sprawę jeszcze dobitniej niż wtedy, gdy schodziła do wioski i spotykała prawdziwych Szkotów, mówiących szorstkim językiem i należących do tych gór tak, jakby stanowili z nimi jedną całość. To oni urodzili się na wolności i żaden Anglik nie był w stanie tego zmienić. Mieli wrodzoną dumę i poczucie własnej godności, które budziło w niej tęsknotę... za czym? Nie wiedziała. Istotnie, jak to jest?

Jamie ciągle patrzył na nią wyczekująco.

- Szkoccy górale - odezwała się z trudem - zawsze ponad wszystko miłowali wolność. Nie... nie wątpię, że czerpią tę siłę z ziemi. Nawet intruz może to poczuć.

Skan i przerobienie pona

- Och, czuję to, tylko sędzę, że ludzie, którzy się tu urodzili, doznają tego inaczej.

Uniosła brew.

- Ano, a co powiesz o swojej Ameryce? Powiadaj om, co i tam można poczuć wolność. Walczyliście z angielskim królem i wygraliście, czy nie?

Jamie roześmiał się, lecz bez wesołości.

- Walczyliśmy z nim dwa razy i wygraliśmy, moja droga. I tak, tam również można poczuć wolność, drogo okupioną. Lecz w pewnym sensie mój naród nadal przypomina ludzi ze Starego Świata. Przynajmniej tam, skąd pochodzę. W Nowym Orleanie można znaleźć domy, których mieszkańcy bardziej przypominają Francuzów niż sami Francuzi, bardziej są podobni do Hiszpanów niż rdzenni Hiszpanie, a także do Anglików, z którymi walczyliśmy. Mamy tam prawdziwą arystokrację, choć brak jej tytułów szlacheckich. A także zasady, hierarchię, snobizm i niesprawiedliwość, której pełno w Starym Świecie. Nie znasz nieprzekraczalnych granic, jeśli nie spotkałaś się z arystokratami z Nowego Orleanu.

Christmas usłyszała gorycz w jego głosie. Czyż Jamie nie pochodził z jednej z takich rodzin? Ale przecież był właścicielem posiadłości ziemskiej - plantacji, jak ją nazywał - a zatem musiał być bogaty. W Anglii to zawsze decydowało o wszystkim. Wielcy posiadacze ziemscy, lordowie obdarzeni prawem wieczystego zachowania majątków, byli ludźmi bogatymi i potężnymi. A jeśli bogactwo i władza nie dają wolności, to chyba już nic nie zdoła jej zapewnić.

Prawda?

Rozejrzała się; spojrzała na przestwór nieba nad górskimi

szczytami, na nieograniczone połacie dzikich terenów - doliny, łąki, turnie i piargi - i zrozumiała, że to tutaj jest ojczyzna wolności. Tutaj każdy jest królem... lub królową, dodała w myślach, czując dziwną tęsknotę.

- A... a twoja rodzina? - spytała znienacka. - Czy szkockie korzenie dały ci celtycką duszę, dziedzictwo najzagorzalszej niezależności? A może pozwoliłeś się uwieść bogactwu i władzy?

Twarz Jamiego natychmiast przybrała odpychający, niedostępny wyraz.

- Moja rodzina - zaczął ostrym, rwącym się głosem - nie istnieje. Jestem tylko ja. Moi... rodzice nie żyją, a nie miałem rodzeństwa.

Znowu usłyszała gorycz, mimo iż Jamie starał się zachować spokój. Ach tak, rzeczywiście dręczyły go demony, tak jak twierdziła Maire. To one nagle otoczyły go lodowym pancerzem.

Zadrzała, jakby i ona znalazła się w zimnym Więzieniu. Zrozumiała, że ten człowiek - mimo całego czaru, któremu nie potrafiła się oprzeć - mógł wyrządzić jej wielką krzywdę. Oddalił się od niej; wolał zamieszkujące go demony od ciepła i prawdziwego związku. Jamie MacIver był niebezpieczny dla tego czegoś, co domagało się w niej bliskości, radości, szczęścia i co nigdy wcześniej nie ujawniło się z taką siłą, jak w tym cudownym dniu. Gdyby była mądrzejsza, uciekłaby. Uciekłaby od niego i nigdy więcej nie stanęła mu na drodze, bez względu na skarb.

Gdyby była mądrzejsza...

- Drżysz. - Głos Jamiego, teraz łagodniejszy i cichszy, napłynął ku niej jakby z wielkiej odległości... z drugiego

brzegu dzielącej ich przepaści. Czuła zapach tego mężczyzny, zmieszany z wonią skóry, tytoniu i mydła. Jamie podniósł chustę, która ześlizgnęła się jej z ramion, i troskliwie otulił nią dziewczynę.

Jego dłonie - silne i wrażliwe, dłonie rzeźbiarza - przesunęły się po jej ramionach i wymiotły z mózgu wszelki rozsądek. Nagle zorientowała się, że dotyka nosem czystego płótna jego koszuli; przywarła do twardych i szczupłych ud, które czuła nawet przez halkę i spódnicę. Ogarnęła ją dziwna słabość. Nogi znowu się pod nią ugięły i zabrakło jej tchu.

Jamie wziął ją za rękę i uniosł jej brodę, zmuszając, by na niego spojrzała. Utonęła w mrocznej głębi jego oczu o barwie najciemniejszego indygo.

- Lepiej? - szepnął, ale jego głos znowu brzmiał inaczej. Niski i ochryply, przejął ją dreszczem i obudził jakiegoś nieznanego uczucie w głębi jej trzewi.

- A... ano - wykrztusiła.

Jamie spojrzał na zarumienioną twarzyczkę o niezrównanych rysach i fiołkowych oczach. Przyciągała go niczym magnes. Taka śliczna... tak niebywale śliczna i pełna niewinności, o której zdążył już zapomnieć...

Christmas bardziej poczuła, niż zobaczyła jego dłonie, ujmujące jej twarz. Pochylił głowę i dotknął wargami jej ust, przejmując ją dreszczem, który obezwładnił Christmas jeszcze bardziej.

Oparła dłoń o jego pierś, żeby nie upaść; pod palcami miała ogrzaną słońcem skórę, przykrytą jedynie cienkim płótnem koszuli, szorstkie włosy, pokrywające twarde mięśnie... i zanim pojęła, co się dzieje, jej ramiona same uniosły się ku szyi Jamiego.

Przywarła do niego, a jego wargi, twarde i ciepłe, poruszały się leniwie, namiętnie, ucząc się jej dotyku, tak jak i ona się uczyła.

Mocniej otoczył ją ramionami, przytulił do siebie. Nie wiedząc, co robi, rozwarła usta i poczuła pierwszy pytający ruch jego języka.

Jej ciało odpowiedziało ostrym elektrycznym wstrząsem i pulsowaniem gdzieś w dole brzucha.

Wydała cichy okrzyk, rozwarła usta szerzej i doznała pełnej, słodkiej inwazji jego języka.

Ogarnęło ją nieznane oszołomienie; mocniej objęła go za szyję i stanęła na palcach, by choć w części dorównać mu wzrostem.

Wydawało się jej, że Jamie jęknął głucho, i zanim się zorientowała, co się dzieje, poczuła na piersi jego ciepłą rękę.

- Jamie... nie... - wydarł się jej zdumiony protest.

- Cśś... - szepnął jej do ucha.

Znowu przejął ją dreszcz. Dotknął kciukiem jej sutka; jęknęła, wstrząśnięta nagłym spazmem czystej rozkoszy, który przepłynął przez jej ciało i skoncentrował się pomiędzy udami.

- Tak ciepła... tak wrażliwa... - mruknął Jamie, czując pod palcem twarde, pulsujące sutki. - Nie, skarbie, nie walcz z tym. Przysięgam, jesteś do tego stworzona.

- D... do czego...? - wymamrotała nieprzytomnie, poddając się dotykowi warg, błędzących po jej szyi.

Co robisz! - krzyknęła na siebie w duchu. Jesteś zaręczona, masz misję do spełnienia! Ale dotyk jego warg... i rąk... odbierał jej zdolność myślenia. Dobry Boże, jeśli on nie przestanie, kto wie, co...

W tej samej chwili, całkiem jakby w odpowiedzi, Jamie wypuścił ją z ramion i roześmiał się cicho.

- Do wszystkich tych rzeczy, których domaga się twoje ciało.

Christmas poszła za jego spojrzeniem; przez bawełniany stanik, w miejscu, gdzie spoczywała jego ręka, widać było sterczący wzgórek sutka. Zarumieniła się aż po czubki uszu, gdyż jego śmiech, niski i wibrujący, potwierdzał, iż Jamie także to zauważył.

- Nie ma się czego wstydzić, skarbie - powiedział. - To naturalna, szczerza reakcja na dotyk męczyzny

- Ja... nie pojmuję... ja nigdy...

Jamie parsknął cichym śmiechem, schylił się i podniósł bukiet kwiatów, który wysunął się jej z dłoni.

- Więc lepiej nadal zajmuj się tym, co znasz, dziewczyno. Na przykład zbieraniem kwiatków.

- A... ano - wyjąkała i zarumieniła się okropnie, napotkawszy jego rozbawione spojrzenie.

Jamie uśmiechnął się i delikatnie pocałował ją w usta. Potem ujął ją za ramiona i lekko obrócił.

- Tędy, moja droga, albo zapomnę o galanterii i dokończę to, co zaczęliśmy.

To alarmujące ostrzeżenie zostało poparte klapsem w pupę. Christina spurpurowiała i w popłochu umknęła.

Biegła i mówiła sobie, że miała szczęście, zdoławszy uciec. Czyż nie wiedziała od samego początku, że ten człowiek nie jest dżentelmenem? Powinna posłuchać głosu rozsądku, zanim jej nie opuścił.

Ale kiedy dotarła do ścieżki, oznaczonej plamami cienia i światła, kiedy wreszcie mogła zwolnić kroku, pamiętała

już tylko ciepło jego ust i słodki, grzeszny ból, jaki obudził w jej ciele.

Jamie patrzył za nią, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Westchnął i wydało mu się, że słyszy żal we własnym głosie. Żal odbijał się w jego wzroku i ruchach, które nagle straciły energię. Wrócił do czekającej na niego pracy.

Ale po chwili w jego oczach odzwierciedliło się zdumienie. Spojrzał na bryłę gliny, którą kształtował w zamyśleniu. Z czerwonej masy wyłaniała się kobieca postać o różowej twarzy Christmas MacKenzie.

Była doskonała.

Dni, które minęły od czasu incydentu na łące, były trudne dla Christmas. Bez przerwy czuła obecność Jamiego, a niezaprzeczalny magnetyzm, jaki się między nimi wytwarzał, jeszcze bardziej komplikował sytuację. Ze wszystkich sił starała się o tym zapomnieć. Wmawiała sobie, że poddała się zwykłemu zauroczeniu - ten mężczyzna naprawdę był nieodparcie przystojny, nawet jeśli nie przypominał klasycznego ideału urody - w nadziei, iż wyperswaduje sobie to uczucie. Zdawała sobie sprawę, że zauroczenie może minąć, jeśli przyzwyczai się do obecności Jamiego. W jej planach nie było miejsca na komplikacje, jakie niósł ze sobą nawet niewinny flirt; przecież miała narzeczonego. Ale kiedy przestawała się oszukiwać - najczęściej zdarzało się to w nocy, gdy wspomnienie o Amerykaninie odbierało jej sen - w głębi serca wiedziała, że to, co się między nimi zaczyna, zanoszi się na coś więcej niż niewinny flirt.

Mijały dni, a jej próby ignorowania Jamiego napotykały



niezliczone trudności. Podczas kolacji nieraz podnosiła wzrok i napotykała wlepione w siebie oczy Amerykanina. Szybko odwracał głowę i spoglądał w innym kierunku, ale zanim zdążył to zrobić, puls jej przyspieszał, a krew uderzała do głowy. Albo ten wypadek na podwórzu, kiedy chciała nabrać deszczówki i potknęła się na kamieniu. Zanim upadła, Jamie już był u jej boku. Pojawił się nie wiadomo skąd i podtrzymał ją silnymi dłońmi, których dotyk wywołał w niej mocny wstrząs. A kiedy indziej niby przypadkiem musnął jej rękaw, gdy razem sięgali po coś na stole, ona zaś poczuła, że przechodzi ją dreszcz od czubka głowy aż po koniuszki palców u nóg.

Ale najgorszy z tych incydentów miał miejsce wtedy, gdy zraniła się w palec nożem do skrobania warzyw. Było to na początku drugiego tygodnia pracy w zagrodzie, kiedy Maire poleciła jej obrać warzywa na potrawkę, podczas gdy sama poszła nazbierać ziół, które miały uszlachetnić jej smak.

Christmas sądziła, iż została sama. Mężczyźni zniknęli - Jacques wybrał się nad jezioro, by sprawdzić, czy mogliby wynająć łódź, Jamie poszedł w niewiadomym kierunku. Christmas wiedziała, że przy dobrej pogodzie rzeźbił na dworze, uznała więc, że tym właśnie się zajął. Zachwycona, iż Maire zaufała jej na tyle, by obarczyć ją zadaniem obrania ziemniaków, bez reszty pochłonięta i szczęśliwa, miała właśnie zaatakować ostatni, kiedy nóż się ześliznął i przeciął jej palec.

Wrzasnęła głośno, bardziej ze strachu niż bólu, gdyż skaleczenie okazało się powierzchowne. Głośno zganiła się za nieostrożność.

- Ty niezgrabko! Patrz, co zrobiłaś!

- Skaleczyłaś się! - dobiegło ją z otwartych drzwi. Odwróciła się gwałtownie i ujrzała Jamiego, biegnącego ku niej ze zmarszczonym czołem.

- Och! - zawołała. - Co robicie, nie trzeba...

- Pokaż - zażądał, ucinając dalsze protesty.

Usłuchała; w duchu uznała, iż takim tonem z pewnością wydawał w wojsku rozkazy.

- Musisz bardziej uważać - mruknął niemal z roztargnieniem, oglądając ranę.

Po wskazującym palcu ciekła strużka krwi. Zanim Christmas zdążyła się zorientować, Jamie uniósł go do ust i delikatnie - o, jakże delikatnie - wyssał ranę.

W ułamku chwili opadło na nią odrętwienie. Przez jej ciało przepłynęła gorąca fala. Ciepłe usta i język przesuwają się po jej palcu, silne dłonie Jamiego trzymały jej ramię. Tylko tyle, a jednak czuła jego ciepło i dotyk każdą częścią ciała, mrowiącego i pulsującego, jakby pieściła je najdelikatniejszą ręką.

I nagle puścił ją, bez uprzedzenia. Na chwilę. Przyciągnął ją ku sobie, a drugą ręką wy dobył z kieszeni kawałek białego płótna.

Usiłowała mu się wywinąć; czuła już tylko bliskość jego muskularnej postaci, mocnych ud, dotykających jej bioder.

- Nie ruszaj się - rozkazał i strzepnął chusteczkę, żeby ją rozprostować.

Pamiętała, że skinęła głową, nie ufając swemu głosowi. Co się ze mną dzieje, pomyślała gorączkowo. Ten człowiek tylko opatruje mi ranę, nic więcej!

Ale wstrzymała oddech, a serce biło jej tak mocno, że Jamie powinien je usłyszeć.

- Gotowe - oznajmił wreszcie, owinąwszy zraniony palec. Christmas mimo woli podniosła na niego oczy...

I utonęła w błękitnej głębi jego spojrzenia.

Gdzieś daleko śpiewał ptak, ale jej umysł niemal nie rejestrował tych słodkich tryli. Wydawało jej się, że stoją w zupełnej ciszy, że się zapadają, że pokój i dom znikają w dali...

- Jesteś piękna - szepnął wreszcie Jamie z trudem.

Pamiętała, że sama także coś powiedziała, ale nie mogła sobie przypomnieć, co to było. Być może coś o tym, iż mogłaby rozpostrzeć skrzydła i odlecieć.

Wtedy westchnął z ogromnym znużeniem.

- Chciałbym...

Ale nie usłyszała reszty zdania. Rubaszny śmiech Jacques' a wdarł się pomiędzy nich i zniszczył cały czar. Kiedy po chwili Francuz i Maire weszli do chaty, śmiejąc się serdecznie, Christmas pochyliła się pracowicie nad warzywami, a Jamie zmierzał ku drzwiom.

## 11

Przez całą kolację Jamie pozostawał cichy i zamyślony. Mijała już połowa drugiego tygodnia służby kobiet. Jamie przysłuchiwał się rozmowie i rozpamiętywał scenę, która miała miejsce parę dni temu, kiedy Christmas skaleczyła się w palec.

Wieczorem leżał bezsennie przez kilka godzin. Także następną noc strawił na rozmyślaniach, rozpamiętując uczucia, jakie obudziła w nim bliskość tej dziewczyny. Jego zmysły reagowały na nią tak, jak na ukochaną melodię reagują pałce wirtuoza, które z każdej nuty stwarzają dzieło sztuki. Ta muzyka zawróciła mu w głowie, odebrała spokój i oddech, lecz nie życie.

Po pierwsze, jej wygląd... te ogromne szare oczy, dominujące nad resztą delikatnych rysów, ich niewinny wyraz, stojący w jaskrawej sprzeczności z płomienną wspaniałością bujnych włosów... giętka i wdzięczna sylwetka... nieświadoma zmysłowość każdego ruchu, na przykład zwyczaj wilżania językiem warg, kiedy nie wiedziała, co odpowiedzieć. O tak, przede wszystkim pociągał go jej wygląd.

Ale na tym się nie kończyło. O, nie. Jej głos, liryczny i miękki, zawsze miły uchu, choć kiedy byli blisko siebie, zyskiwał bardziej ochryple brzmienie. Jamie zawsze się zastanawiał, jak brzmiałyby, gdyby znalazła się pod nim w łóżku, schwyтана w sidła potężnej namiętności, którą wyczuwał pod tą śliczną powierzchownością.

A także nadzwyczajna miękkość jej skóry. Jej atłasowe ciepło, które sprawiło, iż pragnął je smakować, nie tylko dotykać. Nawet teraz dziwił się gwałtownej żądzy, która kazała mu włożyć do ust jej delikatny palec i rozkoszować się smakiem, co tylko rozbudziło w nim jeszcze bardziej dokuczliwy apetyt. Ten gest był zdecydowanie zbyt śmiały. Jamie uważał, że miał szczęście, iż dziewczyna nie uciekła albo, co gorsza, nie nagrodziła go siarczystem policzkiem.

Niech to diabli! Przez tę Christmas MacKenzie cała jego powściągliwość rozpływała się bez śladu. Jeśli nie zacznie uważać, znajdzie się na drodze, której przysiągł unikać do końca życia. O wiele lepiej - i bezpieczniej - jest wyładować żądzę z prostytutkami. Szybka kotłowanina w ciemnym pokoju i znów byłby wolny. Jedyнным śladem pozostałyby zapach tanich perfum.

Ale takich perfum trudno się pozbyć. Zawsze potem kapał się, by usunąć ich woń, tak jak usuwał wspomnienia o anonimowym stosunku. Nie rozkoszował się nimi, jak mógłby się rozkoszować pewnym aromatem, który znał.

Nawet teraz go czuł, jej zapach, subtelne kwiatowe pachnidło, być może mydło, i coś jeszcze, zapach, który pochodził wyłącznie od niej. Zawsze jej towarzyszył, zawsze go oszałamiał. Nie dawał o sobie zapomnieć.

Usiłował sobie tłumaczyć, że to tylko zmysły. Znajdowali

się z dala od miast, z dala od dostępnych kobiecych ciał. Jednak kiedy zerknął na ożywioną twarz dziewczyny siedzącej obok niego i gawędzącej przyjaźnie z kuzynką i Jacques'em, zdał sobie sprawę także z innych pragnień, które w nim obudziła. Pragnień tłumionych od czasu, gdy tak głupio chwycił się czegoś, za czym tęskniła nie tylko dusza, ale i ciało.

Chryste, nie było to łatwe! Ale musiał się pozbyć tego uczucia. Poza wszystkim, nie miał do niego prawa. Żadnego. Gdyby nie...

Beaumonde zadał mu jakieś pytanie. Jamie skinął głową i przyjrzał się nieprzytomnie, jak przyjaciel dolewa mu wina. Po chwili znowu odpłynął myślami do wydarzeń sprzed dwóch dni. Ale tym razem jego rozważania przybrały bardziej praktyczny obrót.

Odtworzył chwilę, gdy wszedł do chaty i usłyszał stłumiony okrzyk dziewczyny. Potem powiedziała do siebie, sądząc, iż jest sama: „Ty niezgrabo! Patrz, co zrobiłaś!”

Czysta, pozbawiona akcentu angielszczyzna! Bez twardego szkockiego „r”, bez zaokrąglonych samogłosek i skracania spółgłosek!

Czysty arystokratyczny język z wymową charakterystyczną dla londyńskiego towarzystwa, niech to piorun spali!

A więc nie pochodziła stąd, choć starała się robić takie wrażenie. Cóż, tak podejrzewał. Zbyt wiele szczegółów nie pasowało do siebie. Pytanie tylko: dlaczego? Musi znaleźć odpowiedź, i to szybko, na Boga! Podniósł głowę i przyjrzał się siedzącej obok niego kobiecie. Dziwne, ale przysięgłby, że Mary jest tym, na kogo wygląda. A jednak i ona pozostawała częścią tej łamigłówki.

Zatem jeśli nie są to szkockie wieśniaczki, skąd się tu wzięły? Miał uczucie, że wkrótce dowie się prawdy. Już dziś wieczorem, kiedy pójdzie za nimi.

Jamie stał ukryty w cieniu sosen na podjeździe prowadzącym do georgiańskiej posiadłości. Przed chwilą jego służące weszły do domu przez główne drzwi z imponującym portykiem. A zanim zniknęły za nimi, dostrzegł starszego mężczyznę, najwyraźniej służącego, który kłaniał się z szacunkiem rudowłosej Nemezis jego bezsennych nocy!

A więc to jest dwór MacKenziech, jeśli się nie mylił. Tylko arystokrata mógł posiadać tak okazałe domostwo. Angielka, arystokratka! Taka sama z niej szkocka wieśniaczka, jak z niego noworoczny *haggis*! A więc Christmas MacKenzie to lady Christina St. John!

Nagle przypomniał sobie coś, co przywołało na jego usta nie chciany uśmiech. Jego „służąca” określiła nową dziedziczkę jako „prawdziwą angielską sukę”! O żyłach wypełnionych lodowatą wodą! Czy tak się zachowywała, kiedy nie bawiła się w maskarady? Poczuł się zaintrygowany.

Ale to było najmniej ważne z jego pytań. Co, u licha, robiły w jego zagrodzie? Ona właśnie musiała być ich celem; wątpił, żeby przy tak licznych zajęciach miały czas gdzie indziej odgrywać tę samą komedię. Czy chodziło o Jacques'a i jakiś fakt z jego przeszłości? On sam nie przypominał sobie, żeby coś go z nimi łączyło.

Ale to wszystko nie miało sensu! Dlaczego narażały się na tyle kłopotów, dlaczego marnowały całe tygodnie -

w dodatku na pracy, która kobiecie pokroju lady Christiny musiała się wydawać wstrętna - by wtargnąć w życie ludzi zupełnie im obcych? Czy Beaumonde coś przed nim ukrywał? Czy miał jakiś niebezpieczny sekret, być może z czasów służby u Laffite'a, przez który stał się łupem dwóch kobiet szpiegów?

Do kaduka, to mu się nie podobało! Zdążył uznać Jacques'a za bliskiego przyjaciela i myśl o jakichś tajemnicach wydała mu się nie do przyjęcia. Oczywiście, obaj mieli własne sprawy. Ale, niech to piorun spali, czy nie ma ich każdy?

Czy dobrze zrobił, nie zwierając się Beaumonde'owi ze swej historii - historii zdrady, która zraniła go tak głęboko, że nadal nie mógł jej wspominać, nawet przyjacielowi. A jednak nawet ona nie mogła się wiązać z tą dziwną misją szpiegowską, jeśli z tym właśnie mieli do czynienia. Bo jak inaczej to sobie tłumaczyć? Nie wiedział dlaczego, ale nie sądził, żeby jego towarzysz mógł mieć z nią jakikolwiek związek. Mimo swej przeszłości Beaumonde był zbyt szczerzy i otwarty.

Ale i tak go o to zapyta. A jeśli nie otrzyma odpowiedzi, na Boga, wkrótce usłyszy ją od tej rudowłosej!

Uspokojony, zawrócił do chaty.

Ale kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że nie zdoła zadać żadnych pytań Jacques'owi. Na podwórku stał wyjątkowo duży, nieznanemu mu górski kucyk, świadczący o wizycie nie zapowiedzianego gościa. Któż to mógł być, zwłaszcza o tak późnej porze? Jamie podszedł do drzwi, zaintrygowany dochodzącym zza nich skomleniem.

- Witaj, Jamie! - zawołał Jacques. Trzy ciemne, kudłate kulki rzuciły się do wyjścia.



- Ki diabeł... - Jamie przytrzymał się framugi drzwi, żeby nie upaść; trzy wyrosnięte szczeniaki skoczyły na niego, popiskując z podnieceniem i co sił machając ogonkami.

- Leżeć, zwierzaki!

Pieski natychmiast spełniły rozkaz. Jamie spojrział w kierunku, z którego dobiegła komenda.

Na ławie przed kominkiem, naprzeciwko Beaumonde'a, siedział najwyższy człowiek, jakiego w życiu widział. Nieznajomy - Szkot, sądząc po stroju, w skład którego wchodził kilt i sporran - miał dziko rozwichrzoną, rudą brodę, przetykana nitkami siwizny, i przyjazny wyraz twarzy, mimo groźnych, krzaczastych rudych brwi.

Jacques wstał i przystawił krzesło do kominka, gestem zachęcając Jamiego, by do nich dołączył. Olbrzym także wstał; Jamie ocenił jego wzrost na dużo ponad dwa metry.

- Jamie, to jest Robbie MacTavish - oznajmił Jacques. - Oto mój przyjaciel, James MacIver, *monsieur* Mac...

- Wystarczy Robbie. - MacTavish wyciągnął ogromną, stwardniałą rękę, bardziej przypominającą niedźwiedzią łapę.

Jamie przyjął ją, starając się nie zawyć, kiedy Szkot zmiażdżył ją w entuzjastycznym uścisku.

- Miło mi, Robbie. Mów mi po imieniu.

- Dobrze, dobrze - zagrzemiał Szkot, sadowiąc się na ławie. - Nigdy nie lubił formalności. Dobrze one dla tych sakramenckich Sassenachów!

- Anglików - przetłumaczył Jacques.

Jamie skinał głową i zajął swoje miejsce. Jacques nalał wina do cynowego kubka i podał mu naczynie.

- Pewnikiem dziwujesz się, skądem się tu wziął - zaczął MacTavish. W jego ogromnych łapskach kubek wyglądał jak miniaturka.

Jamie uśmiechnął się, spoglądając w życzliwe orzechowe oczy Szkota.

- Na początek dobre i to.

W chacie rozległ się wybuch gargantuicznego śmiechu.

- Dobrześ to rzekł, chłopcze, dobrze! Więc na początek trza rzec, żem dziś rano spotkał tego oto twojego przyjaciela.

Jamie zerknął na Jacques'a.

- Dziś rano? Nie przypominam sobie, żebyś mówił...

Jacques parsknął śmiechem.

- Ależ wspominałem, przy kolacji! Gdybyś nie śnił na jawie o *mademoiselle* Christmas, z pewnością byś mnie usłyszał, *mon ami!*

Jamie łypnął na niego spode łba, ale nie zaprotestował. Beaumonde natrząsał się z niego dobrotliwie już od kilku dni, ale on nie zamierzał dać się sprowokować.

MacTavish powiedział coś gwarą; szczeniaki wstały i podbiegły do niego, wywijając ogonkami.

- Zdaje się, że twój przyjaciel zaciekał się mymi psami. Zobaczył sforę nad jeziorem i poznał, że to dobre szkockie ogary.

- *Oui*, a Robbie obiecał pokazać mi szczeniaka z ostatniego miotu.

- Najwyraźniej nie ograniczył się do jednego. - Jamie przyjrzał się zwierzakom, wygodnie rozłożonym na stopach MacTavisha. Dwa najbliższe były całkiem rosłe, ważyły pewnie po dwanaście kilo, lecz trzeci je przerastał. Trudno było uwierzyć, że pochodzą z tego samego miotu.

- Więc wybiorę któregoś z nich.

Szkot pokręcił kudłatą głową, a w jego oczach zapaliło się chytre światełko.

- Jeden nie da ci radości, a i on nie będzie szczęśliwy. Psy lubią być w sforach, więc jeśli mamy dobić targu, wyłożysz grosz na wszystkie trzy.

- Trzy? *Mon Dieu*, ależ mnie trzeba tylko jednego, dla towarzystwa, prawda? - Jacques pogładził najbliższy ciemny, podłużny łebek, a szczeniak zamerdał z uczuciem ogonkiem. Odwrócił się na grzbiet i podstawił brzuszek do podrapania.

Szkot znowu rzucił coś w gardłowej szkockiej gwarze i dwa pozostałe pieski przydreptały do Jacques'a. Polizały go po twarzy różowymi językami. Francuz, najwyraźniej zachwycony, roześmiał się i pogłaskał je serdecznie.

Kolejny gardłowy rozkaz i szczeniaki cofnęły się, popisując ze skruchą. Posłusznie usiadły na podłodze.

- Dobrze wytresowane - zauważył Jacques.

- Znają podstawy - oznajmił Szkot - lecz trza ździebko popracować nad ułożeniem do polowania. Dlatego wezmę za nie jedynie pięćdziesiąt funtów.

- Pięćdziesiąt! - wykrzyknął Jacques ze zgrozą. Słyszał, że dobrze ułożonego szczeniaka można dostać za piętnaście funtów, a i to wydawało się słońą ceną. MacTavish dał mu jednak do zrozumienia, iż będzie skłonny ją opuścić. Tylko dlatego pozwolił mu przyprowadzić szczeniaka. A teraz nagle kazano mu kupić aż trzy psy, w dodatku znacznie drożej!

- Ano - potwierdził Szkot. - Za trzy.

- Ależ, *monsieur...* Robbie... trzeba mi tylko jednego, a ta cena...

Olbrzym potrząsnął rozwichrzoną brodą.

- Powiadam ci, człeku, te zwierzaki najlepiej żyją w sfo-rze. Te trzy są jak jeden pies. Bierzesz czy nie?

Jacques spojrział na niego podejrzliwie. Szkot wydał mu się odrobinę zbyt przebiegły. Zaczął się zastanawiać, czy aby nie padł ofiarą własnej naiwności.

Jamie odniósł identyczne wrażenie. Zauważył już chytre ogniki w oczach Szkota; a teraz, kiedy słuchał protestów Beaumonde'a, przypominającego o umówionej cenie piętnastu funtów za szczeniaka, z zaciekawieniem czekał na odpowiedź rudego olbrzyma.

- Ale tam! - huknął MacTavish, szarpiąc się za brodę. - To cena za zwykłego psa, a tych przyprowadziłem parkę. - Wskazał na dwa mniejsze szczeniaki. - Ale spójrz no na tego zucha, na te potężne kości. Ten tutaj to prawdziwe чудо!

Jamie powściągnął uśmiech, widząc burzę uczuć, malującą się na twarzy Jacques'a. Po powątpiewaniu nastąpił podejrzliwy grymas; zastąpił go wyraz niewzruszonego uporu, jakby Francuz postanowił odrzucić ofertę. Ale kiedy jeden ze szceniaków zaskomlił cicho i zaczął lizać jego buty, nastąpiło błyskawiczne roz pogodzenie i zaczątki rozanielonego uśmiechu.

Jacques opanował się, przybrał nieprzeniknioną minę i spojrział Szkotowi prosto w oczy.

- Czterdzieści - oznajmił - i ani pensa więcej.

MacTavish wyszczerzył zęby; jego orzechowe oczy błysnęły wesoło w ogorzałej twarzy.

- Czterdzieści pięć.

- Zgoda! - zawołał Francuz i wyciągnął rękę, by przy-pieczetować transakcję.

Uścisnęli sobie dłonie. Jamie sięgnął po butelkę wina, kryjąc twarz. Beaumonde nie byłby zachwycony na widok jego roześmianych oczu. Biedak najwyraźniej sądził, że ubił doskonały interes.

Natomiast Jamie miał dziwne wrażenie, że to Szkot odniósł zwycięstwo nad byłym piratem.

Kiedy MacTavish odszedł, bogatszy o czterdzieści pięć funtów, Jamie opowiedział przyjacielowi, czego się dowiedział na temat miejsca zamieszkania ich służących. Potem spytał otwarcie, czy w jego przeszłości jest coś, co tłumaczyłoby taki podstęp.

Beaumonde przysiągł, że nie wie o niczym. Jamie mu uwierzył. Byli sobie tak bliscy, że czytali w sobie nawzajem jak w otwartej książce. Jamie wiedział, że szczere spojrzenie Francuza niczego nie ukrywa, i przyznał to na głos.

- No, dobrze. - Jacques skinął głową. - Ale co teraz, *mon ami? Nom de Dieu!* Nie mogę uwierzyć, że *la belle Mary* jest zdolna do takiego podstępu.

- Mogła nie mieć nic do gadania - mruknął Jamie. - Cała ta intryga jest dziełem kogoś przyzwyczajonego do rozkazywania, a w wiosce powiadają, że lady Christina St. John to hrabiowskie dziecko. Być może Mary jest jej służącą i robi tylko to, co jej kazano.

Jamie rozlał resztkę wina do obu kubków.

- Wypijmy, przyjacielu, gdyż jutro poznamy prawdę!

Ale następnego ranka pierwsze odkrycie nie miało nic wspólnego z fałszywą tożsamością obu kobiet, lecz z psami.

- Och! - wykrzyknęła Maire, kiedy dostrzegły dowodzące

na podwórku szczeniaki. - Co robi dobry irlandzki pies pomiędzy tymi szkockimi chudzielcami?

Jacques, który głaskał jednego ze swoich ogarów, podniósł głowę.

- Irlandzki pies?

Maire ze zdumieniem wpatrywała się w największego szczeniaka.

- Legendarny wielki irlandzki wilczur, nie ma wątpliwości! A słyszałam, że wyginęły!

Jamie, który wyszedł z chaty w samą porę, by to usłyszeć, rzucił Jacques'owi spojrzenie pełne wstrzymywanego rozbawienia. Mina Francuza świadczyła wyraźnie, iż w końcu zrozumiał, że został oszukany.

- Jesteś absolutnie pewna, *cherie*? - spytał załośnie.

- Najpewniejsza na świecie. Spójrz tylko na niego! Jak na obrazkach w tych starych księgach! Będzie ważył dobre sześćdziesiąt kilo, jak dorośnie!

- Sześćdziesiąt... *Mon Dieu!* - powtórzył Jacques ze zgrozą.

- Ciągłe nie mogę uwierzyć! - mówiła rozradowana Maire. - Prawdziwy irlandzki...

Ukradkowy kopniak w łydkę zdławił jej głos w pół słowa. Christmas spiorunowała ją wzrokiem. Ktoś udający Szkotkę nie powinien rozpląwać się w zachwytach nad irlandzkim psem.

Maire zagryzła wargę, gdyż na widok szczeniaka o tak wspaniałych zaletach radosne okrzyki same pchały się jej na usta.

Jamie stłumił śmiech. Zauważył całą scenę i doskonale zdawał sobie sprawę z jej znaczenia.

## 12

Idąc za sugestią Maire, Jacques nazwał szczeniaki MacDuff, MacRae i O'Kelly. Następnie postanowił zabrać je na lekcję tresury. Obie kobiety odprowadziły go wzrokiem. Francuz, mamroczący coś w swoim języku i rzucający nieprzychylnie spojrzenia na O'Kelly'ego, wkrótce zniknął za drzewami.

Wyglądało na to, że Jamie także wyniósł się na cały dzień. Widziały, że zawiązał w szmatkę chleb i ser i poszedł w stronę stajni. Po chwili usłyszały tętent kopyt.

- Wspaniale - oznajmiła Christina, przekonawszy się, iż naprawdę odjechał. - Wreszcie mamy trochę czasu na poszukiwania.

- Ach! - wykrzyknęła Maire. - Sama nie wiem, gdzie jeszcze można szukać. Już mnie to zmęczyło. Nigdy nie zrezygnujesz?

Christmas zagryzła wargę z konsternacją. Prawdę mówiąc, ona także miała już dość. To, co w pierwszej chwili wydawało się zabawą - choć do jej rozpoczęcia skłoniła ją paląca potrzeba - teraz stało się męczące. Naśladowanie akcentu

i odgrywanie roli przez jeden dzień to zupełnie coś innego niż ciągła obawa, by nie popełnić błędu, nie zdradzić się przez nieostrożność.

Do tego dochodziły jeszcze problemy z Jamiem MacIverem. Mimo wszystkich wysiłków, które czyniła, by przyzwyczać się do jego obecności, nadal miał na nią przemożny wpływ. Na jego widok nieodmiennie traciła dech. Tak jak tego ranka, kiedy podchwyciła jego enigmatyczne, zadumane spojrzenie. Gdyby nie incydent z psami, pewnie podeszłaby do niego i wyznała wszystko, tylko po to, by oczyścić atmosferę i położyć kres tej maskaradzie.

Ale, oczywiście, nie zrobiła tego. I dobrze! Nie miała wątpliwości, co ten człowiek - zbyt skryty, według niej - zrobiłby z informacją o ukrytym skarbie. Przecież jako właściciel zagrody miał wszelkie prawo zachować dla siebie wszystko, co znajdowało się na jej terenie, czyż nie? Z punktu widzenia prawa, ma się rozumieć. Moralność nakazywała mu oddać skarb jego właścicielce, dziedzicze MacKenziech. Jednak ktoś, kto nie jest dżentelmenem, z pewnością nie zdobędzie się na takie zachowanie. I tyle!

Nie, musi ciągnąć to dalej, co wyjaśniła Maire.

- Ale jeśli to cię pocieszy - zwróciła się do Irlandki, która z koszykiem na ramieniu szykowała się do wyjścia po zioła i korzonki - dziś zamierzam gwałtowniej zabrać się do poszukiwań.

- Gwałtowniej? - zagadnęła Maire z łagodnym sarkazmem. - Na litość, cóż też zamierzasz, dziecko? - Zerknęła na wiszącą nad kominkiem starą gwintówkę Angusa. - Powystrzelać wszystkie sekrety ze ścian?

- Bardzo śmieszne! - warknęła Christmas i natychmiast



się zawstydziała. Musi być zawiedziona, skoro odgrywa się na swojej towarzyszcze. - Wybacz - dodała pospiesznie. - Chciałam tylko powiedzieć, że zamierzam zabrać się do poszukiwań z łopata, i miałam nadzieję, że się zgodzisz.

Maire uśmiechnęła się ciepło.

- Nie przepraszaj, dziecko. Żyjesz w wielkim napięciu, a ja o tym czasem zapominam.

Pocałowała ją w policzek i ruszyła do wyjścia.

— Tylko oszczędzaj te swoje biedne słabe rączka. Nie są zwyczajne tak ciężkiej pracy.

Christmas wyciągnęła zza pasa spódnicy rękawiczki do konnej jazdy. Włożyła je i z buntowniczo wysuniętą brodą ruszyła ku szopie.

Po chwili wyszła z niej uzbrojona w łopatę. Za letnim domkiem znajdowało się podejrzone wzniesienie. Zauważyła je wczoraj i z początku minęła bez chwili zastanowienia. Ale w nocy, kiedy jak zwykle leżała bezsennie w łóżku, uznała, że tak niespodziewany pagórek może w sobie coś kryć. Właśnie wtedy postanowiła go rozkopać.

Jednak znacznie łatwiej było wpaść na pomysł niż go zrealizować. Kiedy znalazła się na miejscu, zrozumiała, iż nie może ot tak, zabrać się do kopania. Jak miałyby to wytłumaczyć Jamiemu? Po chwili zastanowienia znalazła na to radę: trzeba ostrożnie unieść na łopacie płyty darni, by później przykryć nimi poruszoną ziemię. Widziała, jak robią to ogrodnicy w posiadłościach zaprzyjaźnionych rodzin. Jednak nie spodziewała się, że to takie trudne.

Mimo to nie pozostawało nic innego, jak zabrać się do wytężonej pracy.

Tak wytężonej, że nie usłyszała nadejścia Jamiego MacIvera.

Poprzedniego dnia obaj mężczyźni uznali, iż rano muszą oddalić się z zagrody w taki sposób, jakby zamierzali pozostawać poza nią przez cały dzień. Potem Jamie miał niespodziewanie wrócić, udając, iż coś zapomniał, jeśli kobiety będą zajęte jakimiś zwykłymi czynnościami. Ale jeśli zaskoczy je na czymś podejrzanym...

Mimo to ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, był widok, który ukazał się jego zdumionym oczom.

- Co, do diabła... - Odgłos kopania zaprowadził go na miejsce wysiłków dziewczyny. Jamie spojrzał i znieruchomiał, nie wierząc własnym oczom.

Christmas, o twarzy zasłoniętej opadającą grzywą ognistych włosów, postawiła łopatę na ziemi i skoczyła na nią obiema nogami! Ciężar jej ciała i siła rozpędu okazały się niewystarczające, by ostrze wbiło się w grunt. A zatem odsunęła się o krok i jeszcze raz wykonała ten idiotyczny skok.

Kąciki ust Jamiego zadrgały; potem przypomniał sobie o powadze sytuacji i przybrał poważny wyraz twarzy. Co ona wyprawia z tą łopatą, na litość?

Christmas wyciągnęła łopatę i starannie ustawiła ją pod właściwym kątem. Była tak pochłonięta zadaniem, że nie od razu zauważyła wydłużony cień, padający na poruszoną ziemię.

Podniosła gwałtownie głowę i spojrzała w lodowaty błękit oczu Jamiego.

- I kto by przypuszczał - odezwał się głosem o wiele zbyt łagodnym, by oddał groźbę zawartą w jego słowach - że wynajęta służąca będzie się interesować zakopanymi śmieciami?

- Śmieciami? - Christmas cofnęła się o krok i upuściła łopatę na ziemię.

Jamie uśmiechnął się z wyższością, kpiąco.

- Śmieci - powtórzył. - Wszystko, od zapleśniałych kurzych kości po zjedzone przez mole szmaty. Kiedy przyjechaliśmy, znaleźliśmy tego tak wiele, że Jacques proponował, by je zakopać. Co uczyniliśmy. - Obrzucił efekty jej precyzyjnych działań spojrzeniem pełnym rozbawionej pogardy.

Christmas zatoczyła się do tyłu, jakby uderzył w nią mocny podmuch wiatru. Poczuła, że twarz krzywi się jej w płaczliwym grymasie.

- Śmieci - powtórzyła ze zduszonym łkaniem i ukryła twarz w dłoniach.

Na widok jej trzęsących się ramion i szczupłej postaci, skulonej niczym symbol rozpacz, z twarzy Jamiego zniknęła pogardliwa mina. Zamiar, by igrać z nią jak kot z myszą, dopóki się nie załamie i nie wyzna prawdy, przeistoczył się w gwałtowną potrzebę, by ją pocieszyć i obronić. Ale przed kim? Przed sobą samym?

Zaklął pod nosem i wyciągnął ku niej rękę.

Christina wydała zduszony okrzyk i odskoczyła. Jej twarz była zalana łzami i nieufna.

Chryste! Czy ona się mnie boi? Jamie zaklął jeszcze okropniej i urzął, że dziewczyna znowu się cofa. Potknęła się o trzonek łopaty, zachwiała się...

- Niech to diabli! - Jamie chwycił ją, zanim upadła.

- Nnie! - zaprotestowała słabo. Wziął ją na ręce i skierował się ku chacie. - Nie ma potrzeby...

- Owszem, istnieje wielka potrzeba - przerwał jej szorstko -

by cię uspokoić. Dzięki temu zdołasz odpowiedzieć na parę setek pytań. Czy to jasne?

Christmas poczuła, że robi się jej słabo. Czy to dlatego, że jej podstęp został odkryty, czy też z powodu jego bliskości? Nie wiedziała.. Miała jedynie świadomość, iż to niezwykle dla niej uczucie ma związek z ciągłym napięciem, w jakim żyła od chwili przybycia do chaty starego Angusa. Oddałaby wszystko za powrót dawnych sił.

Ta ostatnia myśl podziałała na nią trzeźwico.

- Zapewniam was, panie - odezwała się rezolutnie (przynajmniej miała taką nadzieję) - co nie ma...

- Daj spokój, Christmas - przerwał jej Jamie. Zamknął drzwi chaty i podszedł z nią do podwójnego łóżka w rogu izby. - A może powinienem powiedzieć: lady Christino?

Złożył ją na materacu. Podniosła na niego zdumione spojrzenie.

- Więc wiesz!

- Tyle na pewno. - Podszedł do kredensu i wyjął karafkę ze szkocką whisky. - Ale dowiedziałem się tego dopiero wczoraj, kiedy poszedłem za wami.

Wlał bursztynowy płyn do szklanki i powrócił do Christmas.

- Wypij - rozkazał. - Potem porozmawiamy.

Nieufnie przyjrzała się zawartości szklanki. Potem z determinacją pociągnęła duży łyk.

I zaniósła się paroksyzmem kaszlu, gdy palący płyn spłynął do jej żołądka.

- Za... zapewniam - wykrztusiła - że mimo wszystkiego, co zro... zrobiłam... nie zasłużyłam na to... byś próbował mnie zabić!

Wargi Jamiego drgnęły w najsłabszym z uśmiechów.

- Dobrze - mruknął i wyjął szklankę z jej omdlałych palców. Odstawił ją na bok. - Przynajmniej zachowałeś poczucie humoru.

Poprawił poduszki za jej plecami i wskazał gestem, by się na nich oparła. Przysiadł na skraju materaca.

- Zacznijmy od początku, moja panno - nakazał. -I proszę, żebyś nie pomijała żadnych istotnych szczegółów. Jestem ogromnie cierpliwy, jeśli zachodzi taka potrzeba... zwłaszcza, kiedy chcę się dowiedzieć, co się tu, do pioruna, dzieje!

Zauważył, że jej policzki znowu bledną, i natychmiast pożałował swoich słów. Ale, na Boga, przecież to ona go oszukiwała, a kiedy dochodziło do zdrady i podstępu, potrafił zdobyć się na bardzo niewiele cierpliwości i jeszcze mniej wyrozumiałości. Był zdumiony, że tak długo zachował spokój.

- Wybacz, Christmas - szepnął i przeczesał palcami włosy. - To jest... lady Christino. Chce...

- Och, proszę, nazywaj mnie Christmas - rzuciła pośpiesznie. - To nie jest kłamstwo. Naprawdę wolę, kiedy się tak do mnie zwracasz.

Jamie skinął głową i zachęcił ją gestem do mówienia.

Zacząła od historii listu Angusa, pomijając sposób, w jaki dostał się w jej posiadanie. Jeszcze nie czuła się na siłach, by mówić o śmierci rodziców. Ale opowiedziała szczegółowo o Skarbie Wilka Morskiego, nie ukrywając niczego. Żywiła rozpaczliwą nadzieję, iż może zaufać temu człowiekowi, nawet jeśli wydawało się to szaleństwem. Podkreśliła także rezerwę, z jaką Maire odniosła się do całego projektu.

Opisała długoletnią znajomość z Irlandką, obarczając odpowiedzialnością za całą intrygę siebie oraz dramatyczną sytuację finansową. Pominęła jedynie osobę swego narzeczonego. Nie wspomniała o nim ani słowem, choć sama się sobie dziwiła.

Jamie słuchał z fascynacją, lecz wnikliwie, wypytyując ją o każdy szczegół. Jednak na długo przed końcem tej skomplikowanej historii uznał, że w nią wierzy. Ból w oczach dziewczyny, kiedy opowiadała o finansowych kłopotach ojca, robił wrażenie całkowicie autentycznego. Najwyraźniej trudno było jej mówić o nieodpowiedzialności człowieka, którego darzyła miłością. Jamie czuł, że rodzi się w nim coś niezwykłego, na co nie miał jeszcze nazwy.

- Bardzo kochałaś rodziców - odezwał się cicho. - Prawda?

Christmas skinęła głową bez słowa, spuszczać oczy.

Jego głos stał się dziwnie niepewny.

- Dobry Boże, jakież szok musiałaś przeżyć, kiedy dowiedziałaś się po tak wielkiej tragedii, iż ojciec, którego darzyłaś miłością i zaufaniem, nagle stał się przyczyną...

- Nie! Ach, Jamie, nie mów tak! To zupełnie coś innego! Zupełnie! Papa był najdroższym, najcudowniejszym ojcem na świecie. Mama i ja...

Nagle wszystkie tamy pękły. Rozpacz, którą tłumiła przez wiele dni i tygodni, nagle zalała ją niczym powódź, przygniotła potwornym ciężarem. Christina krzyknęła dziko i podniosła do ust zaciśniętą dłoń, mętnie zdając sobie sprawę, że powinna zdławić ten dźwięk. Zupełnie, jakby mógł zburzyć jej starannie wypracowany spokój i opanowanie.

Ale było już za późno. Wybuchnęła straszliwym, roz-

dzierającym płaczem, niemiłosiernie szarpiącym jej kruchym ciałem. Jamie przeklął się za głupotę i nieczułość. A Christina nawet nie wiedziała, że wzięła ją w ramiona i zaczął delikatnie kołysać niczym dziecko.

- Niech mnie piekło pochłonie - mruknął znowu. Ta dziewczyna najwyraźniej kochała rodziców ponad wszelką miarę, miłością równie dla niego niezrozumiałą, jak ten gwałtowny szloch. Kochać kogoś bez względu na to, kim jest, co zrobił... jakie to uczucie?

Ale w następnej chwili zapomniał o wszystkim. Rozpacz Christiny była zatrwazająca. Zrozumiał, iż dusiła w sobie uczucia, a z doświadczenia wyniesionego z pola bitwy wiedział, iż nie jest to dobra metoda. Lepiej jest rozpaczać, rozpaczać bez ograniczeń, a potem pójść dalej. Ci, którzy przeżyli, mogą zrobić tylko to jedno: iść dalej.

Stracił poczucie czasu; siedział, trzymając w ramionach łkającą młodą kobietę. Wiedział tylko, że powinien ją tulić bez słowa i przysłuchiwać się jej wypłakiwanemu bólowi. Wreszcie ostatni słaby szloch ucichł, a płacz ustąpił miejsca żałosnym westchnieniom.

- Lepiej? - spytał łagodnie.

Poczuł, że dziewczyna kiwa głową.

- Musiałaś go wyzwolić. Ból. Jak długo trzymałaś go w sobie?

Odpowiedziała głosem, w którym nadal dźwięczał smutek, lecz już znacznie pewniej.

Jamie odsunął się lekko, by się jej przyjrzeć. Jej policzki były mokre od łez; wytarł je delikatnie. Jezu, jaka ona śliczna, pomyślał, spojrzawszy w szare ogromne oczy o rzęsach, na których zawisły łzy.

Odsunął od siebie tę myśl. W tych przezroczywych otchłaniach widział potrzebę czegoś więcej niż tylko ramienia, na którym można się wypłakać.

- Opowiedz mi o nich - poprosił. W wojsku był świadkiem zbyt wielu zgonów i wiedział, że najlepszym sposobem pocieszenia jest wspomnianie tych, którzy odeszli.

Powoli, coraz silniejszym głosem zaczęła mówić o swoim dotychczasowym życiu. Niektóre ze wspomnień były mu już znane, gdyż posłużyły jej do zbudowania opowieści o szkockim dzieciństwie. Teraz kłamstwa zniknęły; Christina roztaczała przed nim wizję szczęśliwego świata, życia z uwielbianymi rodzicami.

Mówiła o delikatnej, serdecznej matce, obecnej w jej życiu każdego dnia. Chciała mieć swój udział w wychowywaniu córki, mimo iż większość kobiet z jej sfery zlecała to zadanie służącym. Opowiadała o szczerzej twarzy ojca, jego promiennym uśmiechu, kiedy widział jej postępy w sportach dozwolonych tylko dla chłopców. Wspominała o spacerach na wsi i spokojnych wieczorach przy kominku, kiedy siedzieli we trójkę... i śmiechu, jakim nieustannie rozbrzmiewał ich dom. Nie zataiła nawet słabości rodziców oraz tych cech, które inni mogliby uznać za wady, lecz w jej wspomnieniach nie było ani krzty goryczy, żalu czy urazy. Jamie zrozumiał, iż oboje pozostali w jej pamięci jako ludzie z krwi i kości. Christina ani nie dodawała im zalet, ani nie tuszowała niedoskonałości, właściwych wszystkim śmiertelnikom.

Zdumiewała go ta mądrość u tak młodziutkiej dziewczyny. Jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy, ale powoli rodził się w nim szacunek do tej czułej, kruchej istoty, którą dopiero teraz zaczynał poznawać.



- ...sam rozumiesz, że nie byli dla mnie tylko rodzicami. Choć nie mogłabym sobie wymarzyć nikogo lepszego. Tak jak Maire, stali się moimi... przyjaciółmi... bliskimi przyjaciółmi, zaufanymi i szczerymi.

Christina wysunęła się z objęć Jamiego, żeby mu się przyjrzeć.

- Czy... czy to cię dziwi, czy sądzisz, że to... niestosowne? - spytała.

Bliscy przyjaciele, zaufani i szczerzy,.. Dobry Boże, jakże chciałbym... Błyskawiczna myśl przeszła go okrutnym bólem; zacisnął powieki i odpowiedział z wysiłkiem:

- Nie, kochanie, nie sądzę. To może nieco... niezwykle... i rzadko spotykane, lecz nie jest niestosowne.

Christmas odetchnęła i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Cieszę się z tego. Moje guwernantki uważały, że to nie wypada, choć, oczywiście, nigdy nie powiedziały tego wprost. Ale Maire to rozumiała. A teraz ty.

Ostatnie słowa zostały podkreślone promiennym uśmiechem - szczerym, niewinnym i oszałamiającym. Jamie poczuł jakiś przenikliwy wewnętrzny ból, jakby ktoś wbił mu nóż w pierś... słodko-gorzki i rozdzierający, ale...

Wzdrygnął się i odsunął dziewczynę od siebie, z zacisniętymi zębami znosząc nagły atak pożądania. Zamknął oczy i wciągnął głęboki haust powietrza.

- Jamie, co się stało? Co ja powiedziałam? - Przestraszony głos Christiny wtargnął w sam środek walki, którą toczył z własnym ciałem. Jamie otworzył oczy i zobaczył jej twarz. W szarych oczach malowało się pytanie, nawet ból.

Jęknął głucho i chwycił ją w ramiona. Jego głos zabrzmiał jak zdyszany, ochryply szept.

- Nie, kochanie, nic się nie stało! Nie powie... o, Boże!

Poruszył się gwałtownie, a jego spojrzenie zdradziło tę nagłą, przerażającą żądzę, która go ogarnęła.

Christina spojrzała mu w oczy i zrozumiała jego łaknienie. Było takie same, jak to, które ją nękało. Pogodziła się już ze śmiercią, nieodwracalną stratą, bólem, koniecznością wyzdrowienia - i w tej nagiej chwili, która legła, pulsując, pomiędzy nimi, poczuła ślepa, rozdygotaną namiętność.

Bez zastanowienia objęła go za szyję i pociągnęła za sobą na łóżko. W uszach Jamiego rozległ się ogłuszający ryk, w którym zniknęły wszystkie odgłosy. Dał jej to, czego pragnęła, przygniół jej delikatną sylwetkę swoim muskularnym ciałem. Poddali się sile, która kazała im zapomnieć o wszystkim.

Ubrania nie tamowały już ognia, który w nich płonął. Przywarli do siebie otwartymi ustami, jeszcze raz smakując swoją wzajemną gorączkę. Jamie zanurzył obie dłonie w płataninie rudych włosów. Uwolnił je z krępujących szpilek i rozpuścił, aż spłynęły na pościel niczym ognista, jedwabna przędza.

- Twoje włosy - wyszeptał ochryple, mnąc je w palcach, a potem przesuwając po nich otwartą dłonią. - Boże, jakże chciałem ich dotknąć w ten sposób!

Zanurzył w nich twarz; jego ręce odnalazły ciało Christiny i rozpoczęły powolną wędrówkę, przygotowując je na przyjęcie rozkoszy.

Poczuła gorące wargi, przesuwające się po jej twarzy, muskające wrażliwe miejsce u nasady szyi. Wyprężyła się,

wparła się w niego, sięgnęła ku gęstym jasnym kędziworom na jego karku.

Jamie mruknął coś niewyraźnie, uspokajając ją dotykiem rąk. Otworzyła usta, by zadać mu pytanie, lecz zamknął je oszałamiającym pocałunkiem. Kiedy przestał ją całować, zdała sobie sprawę, że w jakiś sposób zdołał ją oswobodzić z ubrania. Leżała pod nim, mając na sobie jedynie koszulę.

Ale nagle zapomniała o wszystkim, gdyż przykrył dłońmi jej piersi i zaczął dotykać ich powolnymi, krążącymi ruchami. Wstrzymała oddech, czując usta muskające jej sutki, a potem szorstkie palce sięgające ku ich nabrzmiętym pączkom. Przeszył ją rozpalony do białości spazm rozkoszy, pędzący od miejsca, które dotykał, do samego rdzenia jej kobiecości. Krzyknęła cicho, z zaskoczeniem.

Jamie pochylił się i delikatnie ujął zębami pulsujący sutek, nakryty jedynie cieniutkim batystem. Jęknęła; rozkosz rosła z każdym jego ruchem, a pomiędzy udami Christiny pojawiła się dziwna wilgoć. Jamie zsunął jej z ramion koszulę i zaczął drażnić i ssać rozpalony aż do bólu sutek; wydawało się jej, że za chwilę to słodkie, rozpierające uczucie doprowadzi ją do szaleństwa. Wygięła się w łuk. W ułamku sekundy jej koszula uniosła się i oplątała wokół talii, a szorstki materiał spodni przylgnał do jej nagiej skóry.

Potem nagle Jamie uniósł się i odsunął. Krzyknęła, protestując przeciwko utracie jego ciepła. Wydawało się jej, że słyszy przekleństwo, potem ujrzała, jak Jamie niecierpliwie zdiera z siebie ubranie. Dlaczego to trwa tak długo? Tak bardzo chciała znowu poczuć jego skórę.

Po chwili wziął ją w ramiona i jeszcze raz ogarnęło ją szaleństwo.

- Jamie! - krzyknęła. - Nie mogę... chcę...

- Wiem, kochanie - szepnął urywanym głosem, gładząc jej brzuch. - Ja też.

Mądre palce odnalazły to słodkie, wilgotne miejsce pomiędzy udami. Christina wahała się przez ułamek sekundy. Tam jeszcze nikt jej nie dotykał! Otworzyła gwałtownie oczy i napotkała lazuruwe, intensywne spojrzenie Jamiego.

- Nie, nie odwracaj głowy, kochanie - powiedział rozkazująco. - Tam też jesteś piękna i chcę widzieć twoją twarz, kiedy dotknę tej cudowności... kiedy dam ci rozkosz.

Jego palce odnalazły wilgotne wejście w płataninie kasztanowatych kędziorów. Uśmiechnął się do niej.

- Taka gotowa... - szepnął gardłowo. - Tak cholernie wilgotna i gotowa...

Raptem dotknął kciukiem maleńkiego pączka, stwardniałego i obrzmiałego, i znowu...

Christina wydała ostry krzyk niepojętej rozkoszy. Jego umiejętne palce jeszcze raz dokonały czarów i znowu krzyknęła, przęcąc ciało w konwulsjach obezwładniającej ekstazy.

Nagle, zanim zdołała pojąć cud tego, co się w niej działo, jego ciało opadło na nią i poczuła muskularny twardy kształt, wpierający się w jej drżące wnętrze.

- Otwórz się dla mnie, kochanie - wykrztusił, zdyszany z wysiłku. Musiał przecież kontrolować to, co powinno się dokonać powoli i ostrożnie.

Ale ona nie rozumiała jego intencji, nie docierało do niej, dlaczego się powstrzymywał i ile go to kosztowało. Czuła jedynie ogniste piękno tego, co jej dawał, słodkie, uderzające do głowy promieniowanie, które nadal wirowało w jej ciele

kręgami rozkoszy. Ciało Christiny pragnęło czegoś więcej; umierało szarpane dzikim głodem.

Krzyknęła z absolutnym poddaniem i poczuła, że obrzmiały twardy kształt wciska się w śliskie wejście, które otwarło się pod jego magicznym dotykiem. Przywarła do niego z całej siły.

- Nie! - jęknął.

Krzyknęła głośno, boleśnie. Jamie wszystkimi siłami zmusił się do bezruchu; na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Za późno. Poczuł, że Christina się porusza, poczuł, że jej dziewicza bariera pęka i rozdziera się pod naporem. Chciał, by wszystko odbyło się łagodniej, ale ona nie rozumiała, a teraz jej atłasowe wnętrze otoczyło go ze wszystkich stron i odebrało zdolność myślenia. Musiał uciszyć jej bolesne łkanie.

- Cśś, kochanie - szepnął, odsuwając jej z twarzy mokre macki włosów. - To tylko chwila.

Christina podniosła na niego wielkie, wypełnione łzami oczy.

- Dla... dlaczego?

Zdołał się uśmiechnąć.

- Ponieważ to twój pierwszy raz, maleńka. Już nigdy nie będzie cię bolało... obiecuję.

Uspokoiła się nieco. Z jej twarzy zniknęło napięcie, oczy się rozpogodziły.

- Grzeczna dziewczynka - mruknął łamiącym się głosem i zamknął jej usta pocałunkiem tak słodkim i oszałamiającym, że wszelkie wspomnienie bólu zniknęło bez śladu. Po chwili, kiedy zaczęła poruszać się delikatnie, zamknął oczy i dał upust żądzy, łomoczącej w jego lędźwiach.

Pchnął raz, potem drugi, i znowu, aż razem oddali się pulsowaniu odwiecznego rytmu. Pchnięcie za pchnięciem, napięte ciała, rosnąca rozkosz... pierwotna fala uniosła ich aż do ostatecznej kadencji, kiedy namiętność wybuchła ponad wszystkie ograniczenia... a oni pograżyli się razem w spazmie bezrozumnego szczęścia, które uniosło ich aż do nieba.

- Milady, pani mruczy.

Były to pierwsze słowa, jakie padły pomiędzy nimi od chwili, gdy skończyli się kochać. Christina podniosła głowę, opartą na piersi Jamiego, i ujrzała jego uśmiech.

Zarumieniła się, lecz zdołała się uśmiechnąć.

- Chyba tak - wyznała. Potem dodała nieśmiało. - Nie... nie wiedziałam...

- Najwyraźniej. - Wyszczrzył zęby i pocałował ją w czubek nosa. - W przeciwnym razie z pewnością nie opisałaś siebie jako osoby z kijem od szczotki umieszczonym w dość nieodpowiednim fragmencie anatomii!

Jęknęła i zarumieniła się jeszcze bardziej. Schowała twarz na jego ramieniu.

Kiedy roześmiał się cicho, połaskotało ją w delikatną skórę skroni. Jamie przytulił ją do siebie.

- O, milady - szepnął. - Rumienisz się równie pięknie, jak mruyczysz! Jakże jestem zachwycony, iż to ja jestem sprawcą... - dotknął jej włosów na skroni - tych i innych słodkich i niespodziewanych reakcji!

- Jamie! -jęknęła.

Ujął jej małą bródkę mocnymi, lecz delikatnymi palcami i zmusił ją, by na niego spojrzała.

- Co: Jamie?

Ujrzała rozbawienie w jego oczach i poczuła, że wzdłuż jej kręgosłupa pełźnie nowy, rozdygotany spazm rozkoszy. Serce zatrzepotało jej dziko. Nie mogła przestać myśleć o tym, co przed chwilą między nimi zaszło. Musiała coś powiedzieć, by odwrócić swoją uwagę od palącego, narastającego podniecenia.

- Zna... znałam cię już wcześniej, wiesz?

Jamie uniósł brew.

- W... w Londynie. Byłam w kancelarii mojego prawnika, zawołowana... w żałobnym stroju...

Spojrzała na niego wyczekująco. Jamie zamarł na chwilę, a potem odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

- Ty? To ty byłaś tą rozkoszną małą żałobnicą w...

- Nie pojmuję, co cię tak bawi - rzuciła z rozdrażnieniem. - Nawet Amerykanie muszą rozpoznawać oznaki żałoby, a ty... nie zachowałeś się jak džentelmen!

W odpowiedzi usłyszała kolejny wybuch śmiechu, który tylko utwierdził ją w niepochlebnej opinii, jaką sobie o nim wyrobiła. Jej myśli natychmiast wróciły do misji, z jaką tu przybyła, oraz tajemnicy, której stał się powiernikiem.

- Skoro już wiesz, dlaczego przyjechałam do Szkocji, co zamierzasz z tym zrobić? - spytała. - Co ze skarbem, Jamie?

- Nie rozumiem. - Jej ton natychmiast go otrzeźwił. Z oczu zniknęło mu rozbawienie, na twarzy pojawiła się maska, starannie kryjąca jego myśli.

Christina przypomniała sobie, że mimo tego, co się między nimi wydarzyło, prawie go nie znała. Zaczęła, ostrożnie dobierając słowa:

- Masz... masz wszelkie prawo, by odesłać nas z kwitkiem. Zagroda jest obecnie twoją własnością, a...

Z jękiem rozdrażnienia przygniótł ją własnym ciałem do łóżka. Jego oczy zmieniły się w dwa błękitne odłamki lodu. Poczowała przenikliwie zimno.

- I sądzisz, że mógłbym cię stąd wyrzucić i sam dobrać się do skarbu, tak? Niech to diabli, Christmas, za kogo ty mnie uważasz? Za krzywdziciela kobiet i sierot?

Christmas przełamała odrętwienie, w jakie popadła na widok wrogości, palącej się w jego spojrzeniu. Zmusiła się do odpowiedzi.

- Chciałam... jedynie podkreślić, że... zdaję sobie sprawę, iż w świetle prawa nie musisz tolerować mojej obecności tutaj...

- W świetle prawa! - Niemal wypluł te słowa. - A cała reszta? Bierzesz mnie za nikczemnego drania, który cię zdradzi, gdyż prawo stoi po jego stronie?

Nie mogła znieść przeszywającego ją wściekłego wzroku. Spuściła oczy. Kiedy się znów odezwała, jej głos brzmiał cicho i niepewnie.

- Doprawdy... nie rozumiem, Jamie. Skąd miałam wiedzieć, co zrobić, gdybym cię nie zapytała?

Przez chwilę się zastanawiał. Potem, skinąwszy głową, jakby podjął jakąś decyzję, puścił ją i sięgnął po ubranie.

- Zatem potrzebujesz gwarancji? - rzucił, zaczynając się ubierać. - Bardzo dobrze, milady. Niech i tak będzie. Po pierwsze: nie interesuje mnie ten wyimaginowany skarb, którego poszukujesz, nawet jeśli się okaże, że istnieje naprawdę... w co wątpię. - Wciągnął spodnie. - Po drugie: mam dość bogactw, w postaci posiadłości ziemskich i innych,



i nie chcę ich pomnażać, uczciwie czy poprzez oszustwo! - Włożył buty. - Po trzecie: przyjechałem w tę zapomnianą przez Boga dzicz, żeby przywrócić do życia talent, jaki niegdyś miałem - wbił rękę w rękaw koszuli - i to jedyna rzecz, jedyna, którą zamierzam się tu zajmować. - Wepchnął poły koszuli w spodnie. - I wreszcie, spodziewam się, że ty i twoja przyjaciółka będziecie zjawiać się tu codziennie, tak jak się umówiliśmy, by zajmować się domem, podczas gdy ja będę rzeźbił. To, w jaki sposób wykorzystasz resztę czasu, jest wyłącznie twoją sprawą. Kiedy skończysz gotować i sprzątać, możesz przekopać całą tę przeklętą parcelę, jeśli to ci sprawi przyjemność. Nie obchodzi mnie to, dopóki moje ubrania będą czyste, a posiłki podane na czas!

Podszedł do drzwi, nie oglądając się w jej stronę. Otworzył je, odwrócił i zadał jej ostateczny cios.

- Życzę ci szczęścia w poszukiwaniach skarbów, Christino... ale jeśli jeszcze raz zakwestionujesz moją prawość, skrucę ci ten śliczny karczek!

## 13

- Rozbił następną - powiedziała Maire.

Jacques odstawił siekiere i ze *znużonym* skinieniem głowy przyjął kubek wody.

- *Oui*. To druga w tym tygodniu. - Otarł rękawem czoło i pociągnął łapczywie łyk.

- A to dopiero wtorek. W zeszłym tygodniu zniszczył pięć ślicznych rzeźb, jeśli policzyć tę, co to rozbił o ścianę chałupy, ledwie zaczął ją robić.

Jacques przytaknął i westchnął z rozdrażnieniem.

- Mój biedny przyjaciel... chciałbym mu pomóc. - Oddał jej kubek i uśmiechnął się łagodnie. - *Merci, ma belle*.

Maire odpowiedziała ciepłym uśmiechem, ale po chwili znów zmarszczyła czoło.

- Więc nie mówią, jakie to diabły go nękają?

Jacques potrząsnął głową.

- *Non*, i boję się, że nie można tego od niego wymagać. Jamie jest bardzo... jak to mówicie? *Oui*, bardzo skryty. Nie ma zwyczaju dzielenia się swymi uczuciami, nawet z przyjacielem.

- Hmmf! Aż dziw, że go ma! Z takim nastawieniem!

- Ma mnie, *cherie*, i być może ceni mnie za to, że przyjmuję go takim, jakim jest. Nie zamęczam go natrętnymi pytaniami, na które nie chce odpowiadać.

- Ha! Coś mi się zdaje, że ździebko natręctwa by nie zaszkodziło, zwłaszcza że najwyraźniej cierpi! Czy zachowywał się tak już wcześniej?

Jacques wzruszył ramionami.

- Nasza znajomość jest dość krótka, mimo iż staliśmy się sobie bliscy. Ale powiadam ci, *cherie*, Jamie miał swe prywatne demony, jeszcze zanim się spotkaliśmy. Nauczył się z nimi żyć. Ale teraz... Coś się musiało stać, i to niedawno.

- Pewnie dziesięć dni temu, co?

- *Oui...*

- Wtedy, co to przejrzał plan panienki?

Jacques zamilkł, zamyślony. Przypomniał sobie noc, poprzedzającą dzień, kiedy to Jamie poszedł za obiema kobietami i opowiedział mu o swoim odkryciu. Przejawiał wtedy niecierpliwość, nawet zadowolenie z siebie. Ale nic nie zdradzało nastroju, w jaki potem popadł. To stało się później, po tym, jak...

- Co Christmas mówi o rozmowie z Jamiem...?

- Hmmf! Bardzo niewiele, daję głowę! Jest tak milcząca, jak jeszcze nigdy. Poza najważniejszym... że powiedziała Jamiemu, kim jesteśmy i czego szukamy... nie odezwała się ani słowem! Musiałam z niej wyciągnąć siłą, iż dał nam gwarancję, że nie stanie nam na drodze! Powiadam ci, ona nie jest sobą. Z początku sądziłam, że to pewnie przez to udawanie, nie wspominając już o presji, pod jaką...

Urwała, widząc szeroki uśmiech, rozlewający się na twarzy Jacques'a.

- Uwielbiam, kiedy wchodzisz w rolę kwoki, *cherie!*

- Kwoki!

Francuz zachichotał, chwycił ją za rękę i przyciągnął ku sobie.

- Naprawdę! Ale to jeszcze nie wszystko, *ma petite*, i dobrze o tym wiesz. Uwielbiam w tobie o wiele więcej rzeczy. Czy mam je wszystkie wymienić?

Maire zarumieniła się i wymamrotała słaby protest, lecz kiedy dłoń Jacques'a musnęła jej piersi, kiedy przyciągnął ją do siebie, zapomniała o wszystkim. Potem jego usta odnalazły jej wargi...

Christina wyłoniła się zza rogu chaty i stanęła jak wryta. Imię Maire zamarło jej na ustach. Zarumieniła się, obróciła wokół własnej osi i wycofała, zadowolona, że nie została dostrzeżona.

Maire i Jacques... Jakże do siebie pasowali! Ach, przynajmniej ktoś wydzie zadowolony z tej żałosnej przygody. Wszystko wskazywało na to, że oboje są w sobie zakochani. Świadczyło o tym zachwycone spojrzenie Francuza, którego nie odwracał od krzątającej się Maire, ciepły uśmiech Irlandki, kiedy się do niego zwracała.

Do oczu napłynęły Christinie gwałtowne, palące łzy. Wymamrotała przekleństwo. Co się z tobą dzieje, pomyślała gniewnie.

Chwyciła miotłę, stojącą przed drzwiami chaty, uniosła hardo głowę i weszła do środka. Dwa szczeniaki uniosły łebki i pomachały przyjaźnie ogonkami, nie podnosząc się sprzed kominka, ale O'Kelly wstał i podbiegł ochoczo.

Mały wilczurek obdarzał ją szczególną sympatią. Pogłaskała go; jego kojąca obecność sprawiała jej niezwykle ulgę.

Po chwili odesłała szczeniaka na miejsce przed kominkiem i zaczęła zamiatać podłogę. Jej ruchy były powolne i opanowane, tak jak nauczyła ją Maire. Przedziwnie kontrastowały z tym, co działo się w jej rozgorączkowanym wnętrzu.

Jak śmiał ignorować ją po tym, co pomiędzy nimi zaszło! Przez niego czuła się jak... jak... nierządnicą! Ktoś, kogo można wyrzucić, kiedy się go wykorzystano!

Niech go piekło pochłonie! Nie jestem dziewczką! Jestem...

Zaręczona. Zaręczona z mężczyzną, któremu nie będę mogła oddać ręki.

Aaron zamierzał przybyć za parę dni. Wczoraj wieczorem dostała od niego list; pani MacLeod otrzymała go od prywatnego posłańca, który przyjechał wprost z Londynu.

„Moja droga Christino”, brzmiały jego pierwsze słowa. „Jakże niesforna z ciebie panna! Zmusiłaś mnie do wielu niewygod, które musiałem znieść, by cię wytropić”.

Wytropić! Jakby był na polowaniu! Jakby była jego ofiarą!

Ale musiała przyznać, że tak naprawdę jedyną ofiarą był tu on, nie ona. Lord Aaron Crenshawe, przyszły markiz Beckwith, był tłustym kaskiem, który musiała zdobyć, wykorzystując w tym celu cały spryt, zanim milord zda sobie sprawę z jej położenia i uzna, że w tych okolicznościach nie może jej poślubić.

Poszukiwania nie posunęły się dalej niż pierwszego dnia. Mimo iż teraz nie musiały ukrywać swych zamiarów.

Jamie MacIver nie odezwał się do niej ani słowem, jeśli nie liczyć zdań w rodzaju „poproszę o sól”. A przecież połączyła ich namiętność tak wielka, że Christina jeszcze

teraz drżała na jej wspomnienie. A wspomnienia te nadchodziły ją zbyt często...

Nie, lepiej o tym zapomnieć. Wystarczy, że musi znosić jego obecność po tym, co się stało. Wystarczy, że widzi jego twarz we śnie. Jeśli sen w ogóle nadchodził.

Czym go sprowokowała? Czy to nienaturalne, że chciała się dowiedzieć, jak sprawy stoją, zważywszy skomplikowane okoliczności towarzyszące owemu skarbowi? Znalezienie go należy do jej obowiązków, niech to piorun spali! Jest ostatnią z rodu MacKenziech, a przynajmniej ostatnią z St. Johnów. Musi zawrzeć małżeństwo, które zabezpieczy ją finansowo! Jest to winna rodzicom.

Pod miotłą zachrobotały suche grudki gliny. Zatrzymała się i spojrzała. Były to szpony i dolna część korpusu czegoś, co niegdyś było uderzająco wierną podobizną orła, zrywającego się do lotu ze skalistej turni. W zeszłym tygodniu rzeźba była już niemal ukończona, co dostrzegła mimo woli, niosąc koniom marchew.

Następnego dnia Maire powiedziała jej, że rzeźba została zniszczona przez jej twórcę. Irlandka przyniosła ją i parę innych w fartuchu, jakby chciała, by Christina przekonała się o tym na własne oczy.

- Taka śliczna rzecz - szepnęła Maire. - Taka prawdziwa! Zdałoby się, że lada chwila pofrunie. Czy ten człowiek oszalał? Niszczy piękno, które sam stworzył!

Christina pochyliła się powoli i podniosła fragment rzeźby. Obróciła ją w dłoni, podziwiając doskonałe proporcje, fakturę do złudzenia naśladowaną naturę: chropowatą skórę i lekkie pióra - śmiercionośne szpony, wbite z okrutną siłą w skałę...

Zza otwartych drzwi dobiegł ptasi krzyk, potem drugi. Christina odwróciła się, przekonana, iż usłyszała własne imię... wyszeptane w chwili namiętności...

Potem przypomniała sobie, że od tamtego dnia Jamie nie zwracał się do niej inaczej, niż „milady” lub „lady Christino”. Nigdy więcej nie nazwał jej Christmas.

Krzyknęła i rzuciła fragmentem rzeźby o podłogę, gdzie rozpadł się na czerwony pył.

## 14

Mijały dni. Jacques zgodził się pomagać w poszukiwaniach skarbu, mimo iż poważnie wątpił w jego istnienie. W czasie służby pod Laffite'em poznał wiele opowieści o zakopanych skarbach. Niestety, utwierdziły go w przekonaniu, iż w przypadku każdego z nich istniało tysiące fałszywych tropów.

Mimo to z radością zgłosił się do pomocy, zwłaszcza kiedy ujrzał rozczarowanie Christiny. Co więcej, uważał że powinien to zrobić, by zatrzeć złe wrażenie po odmowie Jamiego. Nie rozumiał przyjaciela i miał ogromną ochotę zażądać wyjaśnień. Jednak Christina poprosiła *go -z takim* wyrazem oczu, jakby i ona miała jakieś tajemnice - by nie mieszał w to Jamiego. „Zostawimy pana MacIvera samego ze sztuką”, powiedziała tonem, który świadczył o daremności wszelkich dalszych dyskusji.

Maire, która znała ją lepiej, pod maską fałszywej obojętności rozpoznała ból. W trakcie spędzonych razem lat zdarzało się jej już widywać coś takiego i wiedziała, o co chodzi: duma jej podopiecznej, a może i coś więcej, została



zraniona. Jednak zdawała sobie sprawę, że w takich wypadkach Christina nie przyzna tego za żadne skarby. Musiała sama się uporać z problemem. Maire zacisnęła zęby i razem z Jacques'em przystąpiła do poszukiwań.

A Jamie MacIver tworzył kolejne rzeźby i niszczył je, jedną po drugiej.

Pewnego dnia, kiedy Christina natrafiła łopatą na coś w stercie nawozu za stajnią, Maire wpadła na podwórko na grzbiecie jednego z górskich koników. Drugiego prowadziła za sobą. Irlandka zgodziła się pojechać razem z Jacques'em nad jezioro, by tresować psy. Christina sama namawiała ją na to, gdyż obie uporały się już z porannymi obowiązkami, a ona chciała dla odmiany szukać skarbu sama (Jamie już od rana tkwił w szopie).

Christina kopała w furze nawozu, marszcząc nos. Słyszac odgłos kopyt, w ulgą odrzuciła łopatę. Jednak, kiedy spostrzegła niepokój Maire i nieobecność Jacques'a, uniosła brwi.

- Co się stało? Gdzie...

- To te psy! - krzyknęła Maire, zsiadając z konia. - Uciekły i zniknęły gdzieś... zgubiliśmy je! Gdzie Jamie?

- Powinien być w... zgubiliście psy? Maire, jak to możliwe, skoro były nauczone...

- Ach, dziecko, to przez tę straszną burzę! Przestraszyły się piorunów. No, gdzież ten Jamie? Jacques chce, żeby pomógł mu znaleźć szczeniaki.

Christina wskazała szopę. Po raz pierwszy od długiego czasu spojrzała w niebo i drgnęła. Stało się niemal czarne, a z zachodu dał silny wiatr. Kopanie tak ją pochłonęło, że nie zauważyła zmiany pogody, tak częściej w górach.

Maire przywiązała koniki do słupa na podwórku i wpadła do szopy. Z oddali dobiegł grzmot.

Christina podniosła łopatę; w drzwiach szopy pojawił się Jamie. Otarł glinę z rąk mokrym ręcznikiem; Maire mówiła do niego, gwałtownie gestykulując. Krzyczała, lecz jej głos nikł w wyjąłym wietrze.

Nagle przed oczami dziewczyny stanęła wizja przerażonych szczeniaków, biegnących w porywistym wichrze. Pokochała je, zwłaszcza O'Kelly'ego, który wyjątkowo się do niej przywiązał. Czy mogła pozostać w suchej, bezpiecznej chacie, pozostawiając innym poszukiwanie psów?

- Masz - rzuciła zaskoczonej Maire, wciskając jej szpadel w dłoń. Nie czekając na jej odpowiedź, pobiegła za Jamiem. Zauważył ją dopiero, kiedy zaczął odwiązywać konia.

- Co ro...

- Jadę z tobą! - krzyknęła. Ruszyła ku drugiemu konikowi.

- Akurat!

Jakby go nie usłyszała.

- Niech to diabli, Christino! Powiedziałem...

- Wiem, co powiedziałeś! - Odwiązała wierzchowca. - I wiem, co należy zrobić. Tylko ja umiem...

- Zachowujesz się jak idiotka! - Jamie podjechał do niej. Jego twarz skrzywiła się w gniewnym grymasie. - Kobieto, Jacques będzie ze mną wracał! Jak ma to zrobić, skoro siedzisz na jego koniu?

Christina spokojnie poprawiła popręg. Zmarszczyła czoło i uniosła dumnie głowę.

- A zatem w drodze powrotnej na jednym koniu będą

siedziały dwie osoby - oznajmiła. Jej włosy i spódnice trzepotały na wietrze.

Jamie spojrział na nią takim wzrokiem, jakby zamierzał ją udusić.

- Proszę oddać wodze, lady Christino! - ryknął. - Może przywykłaś do wydawania rozkazów w swoim dworze, lecz tutaj...

Nie dokończył. Rozgniewana ciągłym powtarzaniem jej oficjalnego imienia, spojrzała mu prosto w oczy, uniosła do ust dwa palce i gwizdnęła przeraźliwie.

- Oto przyczyna - powiedziała, zakasując trzepoczące spódnice, by dosiąść konia - dla której muszę z tobą pojechać. Gwiżdżę głośniej niż wy, a psy przybiegną, kiedy mnie usłyszą, ponieważ to ja je tego nauczyłam!

Jamie otworzył usta, żeby odpowiedzieć. Odwróciła się do niego plecami i wsiadła na konia. Popędziła w stronę jeziora.

Jamie zaklął siarczyście i poszedł w jej ślady. Zatrzymał się na chwilę, kiedy Maire przybiegła z chaty, niosąc w objęciach jakieś zawiniątko.

- Szkoda, żeś jej nie kazał zostać ze mną! - zawołała, wciskając mu dwa płaszcze.

Jamie rzucił jej mordercze spojrzenie, zdławił odpowiedź, cisnącą się mu na usta, i skinął głową. Ruszył galopem przed siebie, zaciskając zęby.

Przybyli nad brzeg jeziora wśród grzmotów i błysków potężnych piorunów. Mimo iż Jamie doprowadził ich dokładnie do miejsca, w którym miał czekać Jacques, nie ujrzeli tam ani jego, ani psów.

- No i co, gwizdząca damo? - krzyknął Jamie. - Do dzieła!

Christina spojrzała na niego z dezaprobatą, ale uniosła palce do ust i gwizdnęła. W tej samej chwili o ziemię uderzyły wielkie krople deszczu.

Jedyną odpowiedzią był potężny huk pioruna i gęstszy deszcz.

- Jeszcze raz! - rozkazał Jamie, z trudem panując nad przerażonym koniem.

Christina uspokoiła swojego wierzchowca i spełniła żądanie Jamiego. Deszcz zmienił się w ulewę. Dziewczyna zobaczyła, że Jamie daje jej jakieś znaki, ale prawie go nie widziała przez gęstą ścianę deszczu. Ociekał wodą; włosy przykleiły mu się do głowy. Także Christina czuła, że jej przesiąknięta na wylot czupryna przywiera ciężko do ramion i karku.

Wreszcie pojęła, że Jamie wskazuje w kierunku zagrody. Jak mieli dostrzec kogokolwiek w takiej ulewie? Współczucie dla Jacques'a i psów kłóciło się w niej z praktyczną stroną natury, podpowiadającą, iż ze stania na deszczu dla nikogo nie wyniknie nic dobrego. Z każdym biało-niebieskim wybuchem błyskawicy groziło im większe niebezpieczeństwo.

Ale musiała spróbować jeszcze raz, po prostu musiała. Zignorowała wściekłe ponaglenia Jamiego, uniosła się w strzemionach i gwizdnęła ze wszystkich sił.

Niezadowolenie jej towarzysza było widoczne nawet przez grubą ścianę deszczu. Chwycił wodze jej konia, najwyraźniej zamierzając siłą poprowadzić ją za sobą. Christina miała mu właśnie powiedzieć, żeby odstąpił, kiedy Jamie znieruchomiał...

Przez szum deszczu dobiegło ich szczekanie psów.

Oboje spojrzeli na siebie ze zdumieniem i jednocześnie się uśmiechnęli. Christina gwizdnęła jeszcze raz. Odpowiedziało jej głośniejsze ujadanie. Zwrócili konie w tym kierunku, z którego dochodziło szczekanie.

- Tam! - krzyknął Jamie. - Widzę je!

Z naprzeciwka pędziły ku nim trzy niewyraźne kształty. O'Kelly sadził przed dwoma ogarami, szczekając radośnie.

Ale potem wydarzyła się niezmiernie dziwna rzecz. Kiedy nakazali im wrócić do domu i zawrócili wierzchowce w stronę zagrody, psy najwyraźniej nie chciały za nimi pójść. Zaczęły krążyć wokół koni i szczekać zapamiętale.

- Czego one chcą? - krzyknął Jamie, kiedy O'Kelly po raz trzeci skoczył pod kopyta konia.

- Nie wiem! Wyglądają... - odpowiedź Christiny zginęła w huku pioruna. Dziewczyna poświęciła wszystkie siły i uwagę na powściągnięcie wierzchowca. Mały konik płaszał nerwowo w miejscu, zaniepokojony obecnością dwóch ogarów, kręcących się mu pod nogami.

- Wydaje mi się, że chcą, żebyśmy za nimi pojechali! - zawołała.

Jamie spojrział na wilczurka, który puścił się biegiem na prawo i zaraz zawrócił, szczekając gorączkowo.

- Może prowadzą nas do Jacques'a! - wrzasnął. Postrzępiony zygzak błyskawicy oświetlił na niebiesko wzburzone wody jeziora. - Jazda!

Ale nie chodziło o Jacques'a, co zrozumieli, kiedy znaleźli się na miejscu, do którego prowadziły ich psy. Było to schronienie przed deszczem. Szczeniaki wpadły pomiędzy wielkie sterty kamieni i głazów, a kiedy Christmas i Jamie poszli za nimi, znaleźli ogromną grotę.

Była na tyle duża, że pomieściła ich wszystkich, łącznie z końmi. Co więcej, wkrótce się okazało, że psy były tu wcześniej. W świetle piorunów ujrzeli ślady po ogniskach i pryczę, przykrytą tartanem MacTavisha. Najwyraźniej Szkot korzystał z jaskini, jeśli pogoda tego wymagała. Kiedy tylko weszli, trzy psy podbiegły do wiązki czystej słomy w głębi i położyły się na niej. Wyglądały na zupełnie zadomowione.

Jamie znalazł przy wejściu hubkę z krzesiwem oraz lampę naftową. Zawierała zapas nafty i dawała wystarczająco jasne światło. Jamie rozpałił ognisko z polan, które znalazł pod ścianą grotu. Christmas zajęła się końmi. Rozsiodłała je i wytarła garścią słomy. Wreszcie, kiedy ogień zapłonął, a zwierzęta były suche i spokojne, zajęli się własnym przemoczoną odzieniem.

Jamie zabrał się do rzeczy z wyraźną znajomością przedmiotu; z polan zbudował prymitywny stojak i rozłożył na nim ubranie.

Dopiero kiedy zdjął z siebie wszystko prócz spodni, zdał sobie sprawę z obecności Christiny, w milczeniu stojącej obok ogniska. Miała na sobie kompletne ubranie i kuliła się z zimna.

- Proszę zdjąć tę przemoczoną odzież, milady. Nie wyschnie, jeśli będzie ją pani miała na sobie, chyba że zależy pani na...

Przerwał mu huk pioruna i błyskawica, która oświetliła twarz dziewczyny mocniej niż ognisko. Jamie zaklął pod nosem i podbiegł do niej; miała sine wargi i dygotała pod przemoczonymi fałdami płaszcza.

Chyba go nie słyszała. Wpatrywała się przed siebie pustymi oczami i szczękała zębami.

- Ty idiotko! - ryknął, przekrzykując grzmot. - Chcesz złapać zapalenie płuc?

Ocknęła się, choć może bardziej pod wpływem ruchu jego rąk, kiedy rozpiął jej opończę i upuścił ją na ziemię.

- Nie! - krzyknęła i cofnęła się o krok, by mu się wymknąć. - Nie mam zamiaru roz...

Urwała, gdyż stopa zaplątała się jej w fałdy mokrej spódnicy, rozpiętej przez Jamiego. Christina krzyknęła i straciła równowagę.

Jamie pochwycił ją w ramiona, zanim zdołała upaść. Zaniósł ją na pryczę, mamrocząc pod nosem przekleństwa, posadził i niemilosiernie sprawnie zaczął zdierać z niej przemoczone ubranie.

Odpychała jego ręce, lecz wkrótce dała za wygraną. Dygotała coraz bardziej i nie mogła się oprzeć jego sile.

Po chwili została owinięta tartanem od stóp po brodę, a jej odzież zawisła na stojaku przy ognisku. Christina spojrzała nieufnie na Jamiego, lecz nie odezwała się ani słowem, kiedy wrócił z niemal suchą koszulą i uklęknął przy niej. Zauważyła z wdzięcznością, że nie zdjął spodni, choć one także były mokre. Zaczął wycierać jej włosy.

- Ja... sama to zrobię! - zaprotestowała. Jego dotyk nie sprawiał jej przykrości, lecz czuła, że powinna coś powiedzieć, by odpędzić od siebie wspomnienia jego rąk na swoim nagim ciele. Teraz jego dotyk nie miał w sobie nic seksualnego, ale obudził pamięć o tamtym zajściu... a także wątpliwości.

- Nie bądź idiotką! Usta nadal masz sine i... niech to! Ciągle drżysz!

Parsknął niecierpliwie, odrzucił koszulę, położył się obok niej i wziął ją w ramiona.

- J... już drugi raz mnie tak naz... zwałś - wyjąkała Christina. Jego dłonie rozcierały jej ciało, owinięte niczym mumia. - Zaczynam wierzyć, że masz rację.

Jamie znieruchomiał, a potem westchnął przeciągle.

- Zasłużyłem na to.

Christina pokręciła głową i zagryzła wargę, by powstrzymać drżenie, które nie miało nic wspólnego z zimnem.

- My... mylisz się. Powie... działałam, że to ja jestem...

Jamie jęknął, wziął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała,

- Niech to diabli, Christino, słuchaj...

W jej oczach załśniły łzy.

- O, Christmas... - szepnęła Jamie. - Proszę, nie...

- Dlaczego? - spytała urywanym głosem. Podniosła się z wysiłkiem na łokciu i wyplątała ręce z tartanu. - Dlaczego, Jamie?

Spojrzał na jej twarz, oświetloną blaskiem bijącym z ogniska. Złote isierki zapalały się w mokrych mackach włosów, wijących się wokół twarzy o doskonałych rysach. Migotały we łzach, wypełniających ogromne, smutne oczy. Jeszcze nigdy nie widział kobiety tak pięknej... i zagubionej. Nagle przeszył go gwałtowny atak poczucia winy. Wiedział, że to on jest przyczyną tego wszystkiego. Wiedział także, że jest jej winien przynajmniej wyjaśnienie, lecz słowa zamarły mu na ustach. Jak miał przemówić, kiedy dawne poczucie winy i wściekłość zacisnęły się w nim niczym stalowy węzeł?



Milczenie przeciągało się; Christina zrozumiała wreszcie, że nie usłyszy odpowiedzi. Ale nie mogła dłużej znieść wątpliwości. Nie знаła dotąd tego uczucia. Poza tym nie mogła dać za wygraną teraz, gdy wreszcie zdołała przerwać milczenie, które między nimi zapadło.

- Zdajesz sobie sprawę, co czuję? - spytała. - Przez cały czas się zastanawiam, jak to się stało, że czuję się jak nierządnicą, jak... dziewczką, którą można wykorzystać i wyrzucić, choć sam wiesz, że byłam dziewicą, kiedy...

- Przestań! - krzyknął. W jego głosie brzmiał prawdziwy ból. Chwycił ją w ramiona, drżące z desperacji.

- Ach, Christmas... kochanie, na miłość boską, przestań! Nie zniosę tego, nie możesz się obwiniać! - Spojrzał w jej błądą jak opłatek twarz. - Nigdy więcej nie używaj tych słów w odniesieniu do siebie - szepnął ochryple. - Słodki Jezus! To przez twoją niewinność trzymałem się z dala...

- Przez...? - powtórzyła ze zdumieniem. - Nie rozumiem.

- Kochanie, to przecież ja...

- Albo ja - przerwała z goryczą. - Czy byłam tak niezręczna... tak beznadziejna... w łóżku... że nie chciałeś...

Jęknął z rozpaczą i ujął jej głowę w obie dłonie. Spojrzała na niego rozszerzonymi oczami.

- Nigdy dotąd nie przeżyłem takiej rozkoszy - powiedział z naciskiem. - Nigdy!

Christina odetchnęła głęboko. Spuściła oczy; na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Ja... też to czułam. Rozkosz... Nawet... wtedy, kiedy na mnie patrzyłeś... To dlatego...

Z gardła Jamiego wydarł się ochryply jęk. Jego złaknione

usta przywarły do jej warg, natarczywe, rozkazujące. Na zewnątrz burza ryczała niczym echo jego żądy, ale do Christiny nie docierał już żaden dźwięk. Objęła go gorliwie za szyję i oddała pocałunek. Znow znalazła się w jego ramionach, a on jej pragnął! I nie mogła myśleć o niczym innym oprócz tego, że i ona go pragnie, że szaleje w niej siła równie pierwotna, jak ta burza.

Smakowali się zachłannie, usta na ustach, gorące, otwarte i słodkie. Przewrócili się na pryczę, spleceni ze sobą. Tartan oplątał im nogi. Ich wargi spotykały się nieustannie, przywierały do siebie, jakby nie mogły znaleźć ukojenia.

Na zewnątrz rozległo się uderzenie pioruna; odsunęli się od siebie, łapiąc powietrze. Jamie znajdował się nad nią, a na jego surowo rzeźbionej twarzy malowało się pożądanie. Spojrzał jej w oczy.

- Christmas... - szepnął. - O litościwe niebiosa, jakaś ty piękna! O, kobieto...

Odrzucił spleątany tartan. Przesunął czubkami palców wzdłuż jej twarzy, a potem w dół ciała. Rozkoszował się każdą jego linią, każdą krzywizną. Śledził ścieżkę, znaczoną przez pałce, poił się doskonałością, która nawiedzała jego sny od wielu nocy.

- Piękna... - wymruczał. - Taka... piękna...

Christina dygotała pod jego dotykiem, delikatnym niczym muśnięcie łabędziego pióra. Jego usta podążyły w ślad za palcami, zatrzymując się nad wrażliwymi miejscami - jak to pod uchem lub u nasady szyi - a ona natychmiast poczuła narastające podniecenie. Lekko pieścił i kąsał wargami i zębami sutki, a kiedy dotknął puchu w spojeniu ud, jęknęła

behradnie. Rozkosz przeszyla ją cała, wybuchła w jej ko-  
biecości. Pod doświadczonymi ruchami jego rąk zaczęła się  
poruszać i prężyć, wydając ostre, ekstatyczne krzyki przy  
każdej pieszczocie i muśnięciu.

- Och, Jamie... Jamie! - jęknęła, kiedy jego palce od-  
nalazły śliską, pulsującą wilgoć. - Proszę! Chcę...

- Wiem, najdroższa, wiem... - wymruczał z ustami przy  
jej ustach. - Ale nie spiesz się. Chcę tylko, żeby było lepiej...  
ach, Christmas!

Jej imię zmieniło się w ochrypły krzyk, gdy poczuł jej  
dłoń, gładzącą twardą wypukłość, która napinała mokry  
materiał spodni.

Odsunął się od niej z cichym jękiem i pozbył się tej  
ostatniej przeszkody.

Christina patrzyła na niego bez tchu. Ogień złocił jego  
mięśnie, drgające na szerokiej klatce piersiowej i twardych  
jak stal udach. Odwrócił się do dziewczyny, a jej spojrzenie  
powędrowało po złotych kędziarach na jego piersi, płaskim  
i twardym brzuchu zwężającym się do...

- Och! - krzyknęła cicho i szybko odwróciła oczy od  
tego ostatniego, pełnego dumy widoku.

Jamie roześmiał się cicho i zbliżył do niej. Wziął w palce  
jej brodę i odwrócił ku sobie.

- Widzisz, co ze mną robisz, malutka? Nie, nie wstydz  
się. Kocham tę twoją niecierpliwość... - Pocałował wnętrze  
jej dłoni. - Dotknij mnie - poprosił. Christmas poczuła  
długi, twardy kształt promieniujący gorącem i zaczęła go  
gładzić tak, jak nauczył ją Jamie.

- Tak, kochanie, właśnie tak... - szepnął. Jego oddech  
był coraz szybszy, wreszcie przeszedł w ostre spazmatyczne

westchnienia. Nagle Jamie cofnął się z jękiem i przygniótł ją swoim ciałem.

- Ty bestyjko! - zawołał z przerywanym śmiechem. - Jeszcze chwila, i byłoby po wszystkim.

Christina spojrzała na niego pytająco. Otworzyła usta, by zadać pytanie, ale zamknął je pocałunkiem, po którym wszystko utonęło w zapomnieniu. Jego dłonie przemierzały całe jej ciało, co chwila zatrzymując się w tym samym miejscu; pieściły i obejmowały zaokrąglenia i drażniły wystające miejsca. Gładziły, rozwierały, zanurzały się i wchodziły. Odnajdowały ją, uczyły się, doprowadzały na sam skraj, aż wreszcie zaczęła się miotać i wić w bezrozumnej ekstazie.

- Dobrze, maleńka, dobrze - wymamrotał, gdy wbiła mu paznokcie w ramiona i wyłkała jego imię. On także zdawał sobie sprawę, że nie może czekać dłużej. Słodycz jej ciała rozpalala mu krew, jej naglące okrzyki doprowadzały go do utraty zmysłów.

Mrucząc ciche prośby, rozchylił jej uda i opadł pomiędzy nie, szukając wejścia. Na zewnątrz pioruny rozrywały niebo, a ich oczy spotkały się... znieruchomiały...

- Teraz - szepnął ochryple i wypełnił ją swą słodką, obrzmiałą obecnością. Usłyszała własny jęk.

Ich ekstatyczne krzyki ginęły w huku piorunów, odgradzającym ich od reszty świata. Pręcąc się, poruszając w gorączkowym, radosnym rytmie ciał, zmierzali ku szczytowi...

I dotarli do niego jednocześnie. Christina krzyknęła z rozkoszy w tej samej chwili, w której Jamie zadrżał w spazmie i chlusnął gorącym nasieniem w jej oczekujące ciało.

Burza na zewnątrz zaczęła ustawać, a we wnętrzu grotы szemrały ledwie słyszalne szepty. Mijały minuty...

- Zimno ci, ukochana? - spytał Jamie sennie, tuląc ją w ramionach.

Christina pomyślała, że już nigdy nie będzie jej zimno, jeśli to wspomnienie przy niej pozostanie. Mruknęła przecząco i przytuliła się bardziej. Pomruk przeszedł w zadowolone mruczenie, wibrujące nisko w jej gardle.

Jamie roześmiał się cicho i pocałował ją w czubek głowy.

- Naprawdę mruczysz jak kociątko, milady. - Odsunął się na tyle, by widzieć jej twarz. - Ale pamiętam, że ten kotek ma pazurki - dodał przekornie - i trudno mi zdecydować, co bardziej mnie zachwyca.

Christina oblała się rumieńcem na wspomnienie własnych paznokci, wbijających się w ramiona Jamiego.

- Nie pojmuję, jak... jak...

Jamie pocałował ją w czubek nosa, a potem, bardziej namiętnie, w usta.

- Kochanie, nigdy nie usprawiedliwiał się za rozkosz... którą właśnie mnie obdarzyłaś. Jest rzadkim i bezcennym skarbem, wierz mi. - Znowu się uśmiechnął. - Muszę pamiętać, żeby się z tobą nie droczyć, dopóki nie nauczę cię czegoś więcej o... - uśmiech stał się szerszy - wielu ciekawych rzeczach.

Christina poczuła, że znowu się rumieni, ale nie wiedziała, czemu to przypisać, tym „rzeczom” czy aluzji do wspólnej przyszłości?

Przyszłość... Słowo odezwało się w niej głośnym echem. Poczowała ukłucie poczucia winy. Aaron... Przyszłość oznaczała małżeństwo dla stabilizacji finansowej. Oznaczała ratunek dla niej i rodziny ...

- *Alooo!* Jamie! Christmas! *Alooo!*

Oboje zerwali się z pośłania.

- Dobry Boże, to Jacques! - Głos Christiny załamał się niemal do pisku. - Jamie, jeśli on zobaczy...

Ale Jamie już się ubierał, pospiesznie i bez słowa. Rzucił jej ubranie, niemal suche.

Nie musiał jej ponaglać. Wkładała na siebie odzież trzęsącymi się rękami. Wołanie Jacques'a zbliżało się coraz bardziej. Modliła się, żeby nie znalazł ich groty.

Niestety, psy także go usłyszały i zanim zdążyli je powstrzymać, wyskoczyły z jaskini.

- Och, nieeee! - załkała. - Przyprawdzą go do nas! - Zdążyła włożyć dopiero koszulę i pończochy.

Jamie stanął obok niej i objął ją w ciepłym uścisku. Zdała sobie sprawę ze zdumieniem, iż jest całkowicie ubrany.

- Wyjdę i go zatrzymam - oznajmił. - A ty uporządkuj garderobę. Nie martw się. Jacques się nie dowie, na czym zszedł nam czas. - Pocałował ją lekko w ucho i dodał: - Choć nie uważam, żebyśmy mieli się czego wstydzić.

Ostatnie, co zapamiętała, to obietnicę zawartą w jego uśmiechu.

## 15

Upuściwszy grootę, dowiedzieli się, że Jacques wrócił do zagrody i po drodze spotkał Robbiego MacTavisha. Szkot najwyraźniej był w jaskini, kiedy wpadły do niej szukające schronienia psy. Robbie nakazał im w niej pozostać i ruszył konno na pomoc Jacques'owi, którego nawoływania niosły się po całej okolicy. Zapewnił, iż zwierzętom nic nie grozi, i zawiózł go do zagrody.

- A gdzie jest teraz? - spytała Christina, przyglądając się konikowi Szkota, na którym siedział Francuz.

- Ach, co za typ! - pożalił się Jacques, kiedy cała trójka ruszyła w drogę powrotną. - Powiadam wam, nie poznałem się na nim. Ledwie zacząłem uważać go za *canaille*, zachował się godnie i z najwyższą uprzejmością.

- Szkoci mają swój kodeks honorowy - odezwał się Jamie. - I przestrzegają go skrupulatnie.

Jacques parsknął pogardliwie. Jamie wyszczerzył zęby.

- Ale zdaje się, że nie dotyczy on osób spoza klanu.

Kolejne parsknięcie Francuz poparł niezrozumiałym przekleństwem.

- I nie trzeba dodawać - ciągnął Jamie - że mają reputację nieco, powiedzmy, przebiegłych, nawet...

- Przebiegłych! - wrzasnął Beaumonde. - Ten oszust... Jamie wybuchnął grzmiącym śmiechem.

- Dajże spokój, przyjacielu - powiedział i mrugnął do Christiny, która jechała pomiędzy nimi. - Nie możesz zaprzeczyć, że towarzystwo oszustów nie jest ci obce. Przyznaj, że nawet znajdowałeś w nim pewną przyjemność.

- Ha! - prychnął Jacques, lecz jego ciemne oczy zamigotały szelmowsko.

- Ciągle nie powiedziałaś nam, w jaki sposób wszedłeś w posiadanie konia pana MacTavisha - odezwała się Christina.

- Ach, to zupełnie niesłychana historia. Kiedy dotarliśmy do zagrody, zastaliśmy w niej tylko Mary i dowiedzieliśmy się, że oboje wyruszyliście na poszukiwanie mnie i psów. Więc ten szalony Szkot zostawił mi konia i powiedział, że wróci do wioski piechotą. W taką burzę! - Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, iż nigdy nie pojmie tak dziwnego zachowania.

- Hmm... - mruknął Jamie z namysłem. - Więc zostawił cię samego z Maire, w ciepłym spokojnym domu, żebyście razem przeczekali burzę?

Mimo opalenizny widać było, że Jacques się zarumienił.

- *Oui*, ale...

Jamie uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A może to nie oszust, tylko celtycki Kupidyn, co, Beaumonde?

Tym razem Francuz z całą pewnością oblał się purpurowym rumieńcem. Zatuszował go ostentacyjnym napa-



dem kaszlu. Christina rzuciła Jamiemu potępiające spojrzenie. Jak można wypytywać kogoś o intymne sprawy, skoro sami usiłowali je ukryć!

Starając się uratować niezręczną sytuację, zignorowała Jamiego i zwróciła się do Francuza:

- Dlaczego nie widzieliśmy was, jadąc w stronę jeziora? Musieliście minąć dokładnie...

- Nie, *cherie* - przerwał jej Jacques. - Ten szaleniak pojechał inną trasą, mimo mych rozpaczliwych nalegań. Chciał...

- Inną trasą? - wpadł mu w słowo Jamie. - O ile mi wiadomo, jedyna ścieżka prowadzi przez...

- Otóż to! - jęknął Jacques. - Ale ten idiota nie jechał ścieżką! Kiedy znajdziemy się w zagrodzie, pokażę wam, co ta koszmarna podróż uczyniła z moim przydzwkiem. *Sacre bleu!* Nigdy w życiu nie widziałem tak dzikich chaszczy! Jałowce! Jeżyny! Powiadam wam, *mes amis*, dziwię się, że to przeżyłem!

Roztoczył przed nimi wstrząsający opis swych udrek. Urażony, pełen niedowierzania, oburzony i rozgniewany, nie szczędził im szczegółów tortury zadanej mu przez Szkota. A że natura obdarzyła go znakomitym wyczuciem dramatyzmu i absolutnym geniuszem komicznym, zaśmiewająca się do łez Christina uznała, iż rozminął się z powołaniem. Powiedziała mu, iż powinien rozpocząć karierę sceniczną. Dzięki rozrywce, jaką im zapewnił, droga do zagrody minęła im nadspodziewanie szybko.

Jacques mrugnął do Christiny, gdy zsiadali z koni. Potem, kiedy Mary wybiegła na ich spotkanie, rzucił wodze Jamiemu i ruszył ku niej.

Irlandka roześmiała się beztrąsko jak mała dziewczynka. Jacques chwycił ją w ramiona i piszczącą z radości unioś w powietrze.

Christina i Jamie przyglądali się im z nieskrywanym zaskoczeniem. Christmas otworzyła usta na widok szaleństw swej zwykle tak zrównoważonej towarzyski. Zerknęła na Jamiego, by się upewnić, czy i on to widzi.

Na jego ustach powoli pojawił się uśmiech, lecz zanim któreś z nich zdążyło się odezwać, radosna para podbiegła do nich, trzymając się za ręce, i wyjaśniła wszystko.

- Przyjęła mnie, *mes amis!* - oznajmił Jacques, śmiejąc się jak dziecko. - Ta piękna istota zgodziła się zostać moją żoną!

Christina spojrzała na zarumienioną Maire. Jej rozświetlone ciemne oczy potwierdzały słowa Jacques'a.

- Och, tak się cieszę! - zawołała dziewczyna i podbiegła, by ją objąć. - Tak bardzo się cieszę!

Jamie pospieszył z gratulacjami i przez parę minut wszyscy się ściskali, klepali po plecach i śmiali. Później ruszyli do stajni wśród żartów i przekomarzań, a Christina zdała sobie sprawę, że wesoły monolog eks-pirata został im zaprezentowany dla odwrócenia uwagi od niego i Maire.

Jamie podzielał jej opinię.

- Chytry z siebie szelma - oznajmił z uśmiechem.

Jacques roześmiał się głośno i uściskał Maire, ponownie mrugając do Christiny ponad ramieniem Irlandki.

Maire poinformowała ich, że MacTavish dał im znać przez posłańca, że wieczorem zjawi się po konia. Jej narzeczony zauważył natychmiast, że pora odwiedzin w zadziwiający sposób splotła się z porą kolacji. Wszyscy się

roześmiali, lecz Maire nagle zaczęła niecierpliwie gestykulować, dając im znak, by zamilkli.

- Prawie zapomniałam! - wykrzyknęła. - Kiedyście wszyscy pojechali, deszcz przestał padać i wyjrzało słońko, chciałam żdziebko ogarnąć podwórze i... - Urwała, a w jej oczach zamigotały isierki.

- I...? - rzuciła Christmas z napięciem.

- I okazało się, że burza zmyła spory kawał tej stery gnoju, w której kopałaś. Zgadnijcie, com w niej spostrzegła?

Trzy twarze zwróciły się do niej wyczekująco.

- Coś, co wygląda jak początek kamiennych schodków, *macushla*. Daję głowę, wygląda to tak, jakby prowadziły do starej piwnicy!

Kiedy z łopatami i szpadlami w dłoni zjawili się na miejscu, przekonali się, iż Maire nie przesadzała. Rzeczywiście, pomiędzy cuchnącymi zwałami nawozu, rozrzuconymi przez ulewę, widniały zarysy starych kamiennych schodów. Jamie pospiesznie zaczął rozkopywać resztki sterty, Jacques rzucił Christinie ostre spojrzenie, lecz żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Jamie zakończył zadanie i wszyscy zaatakowali ubitą ziemię, w której ginęły stopnie. Przeważnie pracowali na zmianę, lecz trudno było im pohamować ciekawość. Niestety, nie zdołali zakończyć kopania przed końcem dnia. Szło im zbyt powoli ze względu na śmieci i odpadki, które utkwiły w uklepanej glinie. Okazało się także, że schody są znacznie dłuższe, niż oczekiwali. Doszli do wniosku, że jest ich co najmniej dwanaście. Potem ciemności i głód zmusiły ich do zaprzestania wysiłków.

Mimo to wiedzieli, że rano osiągną cel. Wyczerpani, lecz radośni, powrócili do chaty, by się umyć i pochłonać wspaniałą kolację, przygotowaną przez Maire.

Postanowili, że następnego dnia złączą z samego rana, i w doskonałych humorach zaczęli się przygotowywać do powrotu do dworu. Mężczyźni zamierzali odprowadzić swoje towarzyski, ale zaledwie podeszli do drzwi i je otworzyli, na progu ukazała się potężna postać Robbiego MacTavisha.

- *Merde* - mruknął Jacques pod nosem. Zupełnie zapomniał o tym przekętym Szkocie. Podobnie jak Jamie, co było słyhać w jego wymamrotanym niechętnie powitaniu. Christina przyglądała się ciekawie niespodziewanemu gościowi. Jedynie Maire zdołała się uśmiechnąć i zaprosić go do środka. Psy przywitały go ożywionym skomleniem i klepaniem ogonków w podłogę.

Fakt, iż było już po kolacji, nie zniechęcił MacTavisha. Szkot przyjął chętnie zaproszenie do posilenia się tym, co zostało w żelaznym garnku nad paleniskiem.

- Ano, dziewczę - powiedział, przysunawszy krzesło do stołu. - Mom wściekły apetyt po tym chodzeniu. Parę smacznych kęsów nie zawadzi, a przydałaby się i kropelka piwa, jeśli wolno. Przejść tyle kilometrów po tych górach, ha! Od razu człek dostaje pragnienia!

Maire włożyła fartuch, zerkając niespokojnie na zegar na kominku, i zajęła się przygotowaniem poczęstunku. Wyglądało na to, że stary Szkot poczuł się jak u siebie i zamierza pozostać w gościnie przez jakiś czas. Obie musiały wkrótce wrócić do domu, co Christina wyjaśniła szeptem Jamiemu i Jacques'owi. W przeciwnym razie służba zacznie się

niepokoić, to zaś pociągnęłyby za sobą pytania, na które nie chciała odpowiadać.

Jednak ktoś musiał dotrzymać gościowi towarzystwa. Pozostawienie go samego byłoby oznaką niegościnnosci; co więcej, zagroda oraz ślady wykopalisk zostałyby bez dozoru, dostępne wścibskim oczom MacTavisha.

Christina i obaj mężczyźni przedyskutowali szeptem tę sprawę, podczas gdy Szkot zadowalał się uwagą Maire. Zdecydowano pospiesznie, że wątpliwa przyjemność zabawiania gościa przypadnie Jacques'owi, a Jamie odprowadzi obie panie do domu. Jamie zgłosił wprawdzie chęć pozostania z MacTavishem, lecz Francuz się nie zgodził, tłumacząc, iż musi zadać mu parę pytań na temat irlandzkiego wilczura. Oszukano go, ale nie zamierza cierpieć w milczeniu i pozwolić, żeby tej *canaille* uszło to na sucho!

Jamie i obie kobiety wymamrotali przeprosiny i wymknęli się, biorąc konie, by skrócić drogę. MacTavish radośnie zaproponował im swojego wierzchowca, wyraziwszy stosowny smutek na wieść o utracie towarzystwa „ślicznotek”.

Po drodze Maire i Jamie snuli domysły na temat tego, co przyniesie im ranek. Christina jechała w milczeniu, pogrążona w myślach. Po raz pierwszy tego dnia miała okazję zastanowić się nad ostatnimi wypadkami, zwłaszcza tym, który miał miejsce w grocie.

Przerwanie milczenia pomiędzy nią i Jamiem przyniosło jej ulgę. Nie, więcej niż ulgę... była pijana szczęściem!

Ale nadal nie rozumiała, dlaczego się od niej odsunął. Przypomniała sobie, że uniósł się gniewem, kiedy spytała o swoje prawa do skarbu... powiedział coś o honorze... a w jaskini ze wszystkich sił zapewniał ją o szacunku, jaki

do niej żywi... To przez twoją niewinność, tak właśnie powiedział... ale co to mogło znaczyć? Co wspólnego z jego przekonaniem o honorze miało to, co zrodziło się między nimi? Pojęcie honoru mogło się jakoś wiązać z latami spędzonymi w wojsku, ale on z pewnością miał na myśli ich dwoje. Wydawało się jasne, iż Jamie ma jakieś głęboko ukryte tajemnice, które mają wpływ na ich związek, ale co to może być?

O, dlaczego jest taki skryty! Skąd miała wiedzieć, co sądzić o ich znajomości, skoro...

Przez chwilę skupiła się na ruchach wierzchowca. Jamie mruknął coś w odpowiedzi na słowa Maire, a Christina słyszała tylko własne gorączkowe myśli.

Ich związek... co to oznacza?

Co zamierzasz, Christino MacKenzie? - spytała sama siebie. Myśl! Przybyłaś tu jako zaręczona kobieta, by wypełnić poważną misję. A potem jakoś zapomniałaś o obu tych faktach i wpadłaś w ramiona przystojnego nieznanego. Nie myślałaś ani o swoim położeniu, ani o przyszłości, nie wspominając już o reputacji! Pomyśl o narzeczonym! Pomyśl o odzyskaniu tego, co stracił biedny papa! W twoich planach nie ma miejsca dla Jamiego MacIvera!

Usłyszała jego śmiech w ciemnościach; jej ciało odpowiedziało dreszczem podniecenia. Znow znalazła się z nim w jaskini, znow usłyszała jego głos, zobaczyła oczy, poczuła dłonie...

Niemal jęknęła, czując skurcz rozkoszy, słodki wstrząs...

Tyle o miejscu Jamiego MacIvera w jej życiu!

Ale co miała zrobić? Zapomnieć o wszystkim w nadziei, że jakoś się to ułoży? A jakie były jego zamiary? Czy w jego

planach było miejsce dla niej? Czy w ogóle zaprzętał sobie nią głowę?

Musiała dowiedzieć się czegoś więcej o tym zagadkowym człowieku, który swoim magicznym dotykiem sprawił, że jej życie wywróciło się do góry nogami. Ale podejrzewała, że do tego trzeba czasu, a tego właśnie jej brakowało. Jutro poszukiwania skarbu mogą się zakończyć - Boże, miała nadzieję, że powodzeniem! A jeśli znajdzie Skarb Wilka Morskiego, będzie musiała wrócić do Aarona i...

Tym razem naprawdę jęknęła. Rozmyślania tak ją pochłoneły, że nie zauważyła, iż znaleźli się na podjeździe prowadzącym do posiadłości. A tam, obok pani MacLeod i paru służących z latarniami, zauważyła wysoką, wytworną postać narzeczonego, lorda Aarona Crenshawe!

- Ach! - usłyszała trwożny okrzyk Maire.

Jamie nie odezwał się, ale Christina widziała, że mierzy spojrzeniem sylwetkę Anglika.

- O! Więc jesteście! - Pani MacLeod odebrała latarnię służącemu i podbiegła do nich. - A jużemy mieli was szukać! Nic się nie stało, milady?

- Nic, pani MacLeod. - Christina gorączkowo szukała jakiegoś usprawiedliwienia dla późnego powrotu, a także obecności Jamiego i koni. Maire rzuciła jej niespokojne spojrzenie. Aaron! Dlaczego o nim nie pomyślała? Mogła odgadnąć, że pojawi się w najbardziej niedogodnym momencie!

- Moja droga, ależ nas wystraszyłaś - odezwał się jej narzeczoney. - Przybyłem niemal o zmroku, a twoja gospodyni była już u kresu wytrzymałości. Nie potrafiliśmy

odgadnąć, dokąd też mogłaś się wybrać na tak długo... ze szkicownikiem.

Ujął jej dłoń i podniósł ją do ust. Robił tak zawsze, ale tym razem ten gest wydał się jej manifestacją praw posiadacza.

- Do... dobry wieczór, milordzie - wykrztusiła. Kątem oka widziała, że Jamie, nadal siedzący w siodle, przygląda się Aaronowi w zupełnym milczeniu. - Gdybym... gdybym wiedziała, że zamierzasz przybyć, zachowywałabym się mniej... beztrosko - dodała.

Maire spokojnie stanęła obok niej i podała szkicownik. Dzięki Ci, Boże, za Maire! Nie pomyślała o tym szkicowniku od chwili, kiedy zjawiły się w zagrodzie!

- Zupełnie zapomnieliśmy o upływie czasu. - ciągnęła Christina. - A potem zabłądziłyśmy i zaczęłyśmy podejrzewać, że znalazłyśmy się na terenie cudzej posiadłości. Istotnie, tak właśnie było, gdyż spotkałyśmy obecnego tu pana MacIvera. - Skinęła lekko głową, wskazując Jamiego.

Aaron obrzucił jednym pogardliwym spojrzeniem niepozorne górskie koniki oraz jej odzienie. Było jasne, co sądzi o jej upodobaniach.

Wreszcie zwrócił się do wysokiej postaci na koniu.

- Zdaje się, iż staliśmy się pańskimi dłużnikami - oznajmił chłodno, władczo. - Mam nadzieję, iż uratowanie mojej narzeczonej nie sprawiło panu zbyt wielkiego kłopotu.

Christina poczuła raczej, niż zobaczyła, iż Jamie zeszywniał.

- Doprawdy, to dla mnie wielka przyjemność, lordzie... ach, obawiam się, że...



- Crenshawe - rzucił Aaron, po czym spojrzał na narzeczoną. - Christino, lękam się, że za długo pozostawałaś na tym odludziu. Zapominasz o manierach!

Dziewczyna spurpurowiała.

- Proszę o wybaczenie, panowie. - Zerknęła na Jamiego i niemal się skrzywiła na widok jego nieruchomego profilu, oczu nie wyrażających żadnego uczucia. O, Jamie, nie chciałam cię tak oszukać! - Panie Jamesie MacIver, pozwoli pan, że mu przedstawię lorda Aarona Crenshawe.

Aaron skłonił się, na co Jamie odpowiedział oschłym skinieniem głowy. Później, zanim dziewczyna zdołała oprzytomnieć, wymruczał coś o późnej godzinie, ujął wodze swojego konia oraz wierzchowców obu kobiet i, jeszcze raz skłoniwszy się w milczeniu, zniknął w ciemnościach.

Po odjeździe Jamiego pani MacLeod zaprosiła wszystkich do domu. Spytano, czy obie panie już jadły, gdyż podano lekką kolację dla jego lordowskiej mości. Christina odpowiedziała tak, jak zwykle po powrocie z „sesji malarzkich”: „Dziękujemy, pani MacLeod. Zabrałyśmy z kuchni dość wiktuałów na cały dzień”.

Aaron odprawił zatroskaną gospodynię, kręcącą się wokół nich jak kwoka. Zanim Christina zdołała zaprotestować przeciwko tak przedwczesnemu zarządzaniu jej służbą, nakazał odejść także Maire.

*Irlandka rzuciła dziewczynie współczujące spojrzenie, dygnęła i odeszła, Christina została z Aaronem sama.*

Lord Crenshawe przyjrzał się jej pomiętym tartanom, spódnicom pobrudzonym nawozem i błotem. Pociągnął nosem z wyrazem obrzydzenia.

- Doprawdy, moja droga, muszę wyznać, iż nie jestem zachwycony tym przebraniem. Być może powinienem ci pozwolić na kąpiel i zmianę sukni. Jednak pragnę przedyskutować z tobą pewne sprawy, a po męczącej podróży do

tej zapadłej wsi moja cierpliwość wyczerpała się nieco... Sherry?

Christina patrzyła na niego bez słowa; podszedł do kredensu i zajął się nalewaniem trunku. Był nieskazitelnie zadbany, jak zawsze, nawet po „męczącej podróży”. Modna fryzura a la Tytus była ułożona bez zarzutu, na lśniących butach nie można by znaleźć ani jednej smugi, arystokratyczna blada twarz o orlim nosie i jasnoblękitnych oczach była gładko wygolona. Dziewczyna zerknęła na szklankę, którą napełnił, nie czekając na przyzwolenie. Moja własna sherry... Przypomniała sobie, co powiedział o jej wyglądzie. „Może powinienem ci pozwolić...” Pozwolić!

Czuła narastającą niechęć.

Zdławiła ochotę, by przypomnieć mu, kto jest tu gospodarzem, a kto gościem - nieproszonym! -przyjęła szklanczkę sherry i podeszła do kominka. Zerknęła na Aarona i spostrzegła, że sobie nalał brandy.

Uniósł szklankę i się uśmiechnął, ale uśmiech ten nie rozjaśnił jego twarzy.

- Wnieśmy toast - powiedział. - Za koniec podróży i... nowy początek.

Skinęła głową i upiła łyk ze swojej szklanki. Narzeczony nie odwracał od niej spojrzenia.

- Twoja gospodyni powiada, że spędzasz tu niewiele czasu, moja droga. Nie miałem pojęcia, że aż tak pociąga cię... rysowanie.

Christina opanowała rozdrażnienie. Już drugi raz wspominał o tej rozrywce. Co z tego, że rzeczywiście była pretekstem; najwyraźniej z góry założył, że to oszustwo.

Sposób, w jaki dawał jej to do zrozumienia, obudził w niej gorący protest. Do diabła, dlaczego nie zwraca się do niej wprost? Jamie na jego miejscu...

Przerwała, zanim zdążyła dokończyć myśl, pociągnęła łyk alkoholu i wzruszyła ramionami.

- Rysowanie bawi mnie i odwraca myśli od innych spraw, milordzie.

- Spraw? - podchwycił podstępnie. - Na przykład tego amerykańskiego... sąsiada?

- Mówiłam o śmierci moich rodziców! - rzuciła znacznie bardziej wrogo, niż zamierzała.

- Ach... oczywiście. A skoro o tym wspomniałaś, zechciej przyjąć kondolencje, które złożyłem ci listownie parę tygodni temu. Nie trzeba tłumaczyć, droga Christino, iż wolałbym je wyrazić osobiście.

Znowu te insynuacje! Oczywiście, spodziewała się, że zacznie ją wypytywać o powody opuszczenia Londynu bez porozumienia się z nim. Nie pojechałby do Szkocji, gdyby nie był ich ciekaw... lub gdyby czegoś nie podejrzewał. Ale, niech to diabli, ta gra w kotka i myszkę dawno przekroczyła granice przyzwoitości! Trzeba z tym skończyć, i to natychmiast!

- Dlaczego przyjechałeś do Szkocji? - spytała gwałtownie.

Uniósł brew; był to chłodny, afektowany gest.

- Żeby zadać ci to samo pytanie, moja droga. To dziwne, kiedy ucieka się w tak dzikie ostępy... bardzo dziwne. Nasuwa się pytanie, czy... istnieją jakieś, hm... bardziej naglące troski?

- Troski, milordzie? Co może być większą troską niż żałoba i potrzeba odosobnienia?

Aaron pociągnął łyk brandy. Przebiegłe, blade oczy przyglądały się jej przenikliwie.

- Przyznaję, trudno znaleźć większą... chyba że inny rodzaj żalu, wiążący się z innymi stratami. Widzisz, zdarzyło mi się usłyszeć pewne niepokojące plotki na temat giełdy... plotki mówiące o tym, iż...

- Giełda! - krzyknęła, gorączkowo szukając argumentów na odparcie bliskiego ataku. - Plotki? Milordzie, z pewnością nie oczekujesz, że uwierzę, iż przedsięwzięłeś daleką podróż z tak błahaego powodu! Przecież giełda aż tętni plotkami, a chciałabym zauważyć, iż większość z nich to kłamstwa!

- Większość, ale nie wszystkie. A co do błahaego powodu, jak byłaś uprzejma to określić, właśnie dla niego przyjechałem w te dzikie góry. Nie zamierzam pozwolić, by ten błahy powód doprowadził mnie do ołtarza z narzeczoną, która nie jest taka, jaka wydaje się być!

Christina postanowiła zagrać *va banque*.

- A kimże się wydawałam, milordzie?

Lodowata wrogość zniknęła w ułamku chwili. Crenshawe uśmiechnął się i pogładził jej policzek.

Dotyk wydał się jej bezosobowy, zimny, mechaniczny. Poddała się mu z zaciśniętymi zębami. Nawiedziły ją nieproszone wspomnienia o ciepłe Jamiego. Opanowała się i słuchała tego, co miał jej do powiedzenia Aaron.

- Najpiękniejszą debiutantką roku, moja droga... a także... dziedziczką fortuny, która może się połączyć z moją... jeśli, oczywiście, owa fortuna istnieje. - Nagle jego spojrzenie stwardniało.

- Nie możesz się spodziewać, że zapomnę o odpowie-

działności. Proszę, przejdźmy do rzeczy: czy coś odziedziczyłaś?

Christina zamarła. A jednak. Nie mogła powiedzieć, że się tego nie spodziewała. Co powinna odpowiedzieć?

Przyszło jej do głowy, czy go nie okłamać, by dać sobie czas na zastanowienie. Ale nigdy nie potrafiła kłamać w przekonujący sposób, być może dlatego, że tego nie lubiła. Jak śmie naciskać ją w ten sposób! Powinna grać na zwłokę, przynajmniej do jutra, kiedy będzie mogła wprowadzić w życie pierwotny plan. Oczywiście, jeśli skarb istnieje.

Będziesz miała także czas na rozmówienie się z Jamiem, *usłyszała cichy głosik*. Nie wydawał się zachwycony na wieść, że masz narzeczonego. A jeśli zerwiesz z Aaronem, będziesz się musiała...

Zerwać z Aaronem? Czy to ona pomyślała? A co z honorem rodziny? Co z zachowaniem dobrego imienia biednego papy? Czy nie spoczywała na niej odpowiedzialność o wiele ważniejsza od ciepłych objęć mężczyzny, który do niczego się wobec niej nie zobowiązał?

Ale Aaron Crenshawe... Czy naprawdę ma spędzić życie z tym zimnym, wyniosłym człowiekiem? Z tym puszącym się pawiem? O, naprawdę musi się zastanowić!

Jeśli skłamię, Aaron z pewnością to pozna. Z drugiej strony, tak wiele zależy od tego, co stanie się jutro! Może maleńkie nagięcie faktów zabrzmi dość przekonująco, a potem...

Spojrzała narzeczonemu w oczy.

- Świetnie, Aaronie, skoro jesteś na tyle arogancki, by o to pytać, powiem ci: moje... położenie uległo pewnej zmianie.

Oczy Crenshawe'a zlodowaciały.

- Czy to znaczy, że ojciec zostawił cię bez grosza? - spytał brutalnie.

- Nie, nie to powiedziałam, milordzie. Wspomniałam o zmianie. Ma ona związek z tym, czego chcę się dowiedzieć w rodzinnej posiadłości mej matki.

- Dowiedzieć? Dowiedzieć czego, jeśli łaska?

- Jak wiele zostawiła mi matka.

Zapadło milczenie; lord przyglądał się jej badawczo. Znosiła jego spojrzenie z całym spokojem, na jaki mogła się zdobyć.

- Ile? - spytał krótko.

- To fortuna, wedle wszelkich kryteriów. Nawet twoich, Aaronie.

- Kiedy?

- Kiedy? - powtórzyła.

- Gdybyś już ją miała, nie pozostawałabyś w tych ohydnych górach. A zatem podejrzewam istnienie jakiegoś problemu. Co to za problem? Kłopoty prawne? Szkockie prawo...

- Jutro wieczorem, milordzie.

Po raz pierwszy Aaron stracił nieco kontenansu. Christina wykorzystała to, by zdobyć nad nim przewagę.

- Do tego czasu otrzymasz odpowiedź, i ani chwili wcześniej.

Odstawiła szklanekę na kominek i szybkim krokiem ruszyła do drzwi.

- A teraz, jeśli mi wybaczysz, milordzie, istotnie skorzystam z kąpieli.

Wyszła, zanim zdołał otworzyć usta.

- *Mon Dieu!* - wykrzyknął Jacques, kiedy ujrzał twarz przyjaciela. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył diabła!

- Bo zobaczyłem! - warknął Jamie, zrywając z głowy kapelusz o szerokim rondzie i rzucając go na stół. Gwałtownymi szarpnięciami zdarł z dłoni rękawiczki do konnej jazdy.

- Szkota? - zaciekawiał się Jacques, gdyż MacTavish dopiero co go opuścił. Wyszedł, kiedy tylko Jamie wrócił z końmi.

- Nie - rzucił Jamie. - Ten diabeł nie ma rogów ani szkockiego beretu. Ten diabeł - cisnął rękawiczki w ślad za kapeluszem - nosi spódnicę!

Jacques uniósł brwi.

- Christmas?

Jamie skinął głową.

- Właśnie miałem przyjemność poznać jej narzeczonego.

Jacques spojrział na niego z osłupieniem i zaklął cicho. Sięgnął po butelkę whisky, którą raczyli się wraz z MacTavishem.

- Proszę - powiedział, skinąwszy na Jamiego. - Wygląda na to, że tego ci potrzeba. Na szczęście to chytre Szkocisko zostawiło nam parę kropel.

Jamie osunął się na krzesło przy ogniu. Jacques podał mu szklanę.

- A teraz powiedz mi o wszystkim, *mon ami*.

Jamie wychylił whisky jednym haustem i odstawił szklanę z rozmachem. Potem opisał całe zajście. Współczujący Jacques podsunął mu kolejną porcję płynu.

- ...prawdziwy, błękitnokrwisty angielski paniczyk, jeśli kiedykolwiek widziałeś taki okaz. Chryste! Ten zapach wody kolońskiej! Omal się nie porzygałem!



Jacques skinął głową. On także żywił awersję do bezużytecznych arystokratów, pasożytujących na innych. A jednak wiedział, że furia Jamesa ma związek nie tyle z angielskim lordem, co z kobietą, której był narzeczonym... kobietą, która nigdy nie wspomniała, iż jest w jakikolwiek sposób związana z mężczyzną. Właściwie nawet Maire...

Jamie odezwał się w tej samej chwili, całkiem jakby czytał mu w myślach.

- Czy Maire kiedykolwiek...

- *Non*. - Jacques westchnął. - Ale też nigdy nie rozmawialiśmy o Christmas. Maire ma zbyt wiele szacunku do...

- Szacunek! - parsknął Jamie. - A to dobre! Powiedz, z czym ci się kojarzy?

Jacques przyjrzał się mu przenikliwie; Jamie wpadł w niezwykły nastrój, może nawet niebezpieczny. Jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie, i to go niepokoiło. Postanowił wziąć udział w tej grze, cokolwiek miała oznaczać, w nadziei, iż zdoła go uspokoić.

- Estyma, *mon ami*?

Jamie parsknął sardonicznym śmiechem.

- Nieźle, ale podpowiem ci coś lepszego: honor!

Ponury śmiech znowu wstrząsnął wnętrzem chaty. Jacques skrzywił się, ujrawszy wyraz oczu przyjaciela.

- Honor... szacunek... - rzucił Jamie z goryczą. - Piękne słowa, Beaumonde! I proszę: to właśnie one, te proste, nieszkodliwe słowa tworzą katechizm, który zniszczył mi życie!

Sięgnął po szklanke whisky i uniósł ją jak do toastu.

- Za ostatnie słowo, które dopełnia mój katechizm - ciągnął drwiąco. - Za zdradę!

W oczach Jacques'a pojawiło się współczucie.

- Opowiedz mi o tym, *mon ami* - powiedział cicho i odstawił butelkę z alkoholem poza zasięg Jamiego. - Może będzie ci lżej, a z pewnością rano będziesz miał lżejszą głowę.

Jamie zmarszczył czoło. Spojrzał na pustą szklanę, a potem na twarz Francuza. Wreszcie skinął głową z rezygnacją, przygarbił się i zaczął mówić, wpatrzony w ogień na kominku.

Mówił o ojcu, którego uważał za bohatera, i o tym, co odkrył na strychu. Mówił o poczuciu zdrady, wstydzie i pragnieniu przywrócenia rodzinie dobrego imienia.

Jacques słuchał, kiwając głową w zamyśleniu. Doskonale rozumiał, jak niszczący wpływ ma zawód doznany w dzieciństwie. Czyż i on nie obrał swej drogi ze względu na to, co przeżył jako chłopiec?

Ale wiedział, że dzieli ich istotny fakt: on, służąc pod Laffite'em, wygnał już z siebie demony. Zostawił przeszłość za sobą i czuł się gotowy do przejścia w bardziej dojrzały etap życia - tak, jak wyznał to w Londynie, pragnął zapuścić korzenie. A teraz, po poznaniu Maire, zyskał pewność, iż zrealizuje to pragnienie. Jamie nosił demony w sobie. Czy zdrada rodziców będzie wlec się za nim już wiecznie? Czy namiętność, o której mówił, zbyt uwikłała się w dziecięcą krzywdę?

Postanowił zaryzykować ostrożną próbę.

- Jamie... Ten wycinek... czy kiedykolwiek pytałeś o to oj...

- Nie żył już wtedy - brzmiała rozdrażniona odpowiedź.

- A twoja ma...

- Była zbyt krucha... nie zrównoważona po... po śmierci

ojca. Przeżyła go zaledwie o parę lat. Nigdy nie mógłbym z nią o tym mówić. To niemożliwe.

Jamie skinał głową.

- Więc dusiłeś to w sobie.

Jamie przytaknął w milczeniu. Wbił ciężkie spojrzenie w pustą szklankę.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że gazeta mogła podać nieprawdziwą wersję tej historii... można nawet skłamać?

Jamie uniósł brwi.

- Co to ma znaczyć? Gazety...

- Pozwól, że i ja ci coś opowiem - wtrącił Jacques pospiesznie. - Jest to historia, którą usłyszałem od Maire. Niegdyś, przed wiekami, żył sobie książę, który miał sforę irlandzkich wilczurów. - Przerwał na chwilę i pogładził łeb O'Kelly'ego, leżącego obok jego krzesła. - Pewnego dnia książę wyruszył na polowanie, ale pies nie zjawił się u jego boku. Kiedy książę wrócił, pies przybiegł na jego powitanie, radosny i umazany krwią. Książę przeraził się i pobiegł do swego synka. Ujrzał, iż kołyska jest pusta, a podłoga zalana krwią. Krzyknął i przebił psa mieczem, oskarżając go o śmierć dziecka. Umierający pies zawył. W odpowiedzi rozległ się płacz dziecka. Książę schylił się i dostrzegł na podłodze swego syna, całego i zdrowego. Lecz obok leżało ciało potężnego wilka. Pies księcia zagryzł go na śmierć. Powiadają, iż zrozpaczony książę nigdy się już nie uśmiechnął.

Jamie zaczerpnął oddechu i spojrzał na nieprzeniknioną twarz Francuza.

- Beaumonde, czyżbyś chciał powiedzieć...

- Wskazuję jedynie inne możliwości. Ten biedny pies z opowieści nie mógł wyznać księciu prawdy. Wyszła na jaw jedynie dzięki splotowi przypadków... zbyt późno! I, oczywiście, prawda złamała owemu księciu serce. Jakże to straszne! Ten ból... poczucie zdrady... na zawsze zabiło w nim radość życia.

Jamie westchnął ciężko i zamknął oczy, jakby nie chciał patrzeć na coś bolesnego.

- Beaumonde... - zaczął zdławionym głosem. - Nie rozumiesz. To nie wszystko.

- Ba! Posłuchaj mnie, Jamie. Doskonale wiem, że nie mogę wszystkiego zrozumieć. Nie jestem tobą! Nie można żyć w skórze innego człowieka. - Chwyć przyjaciela za ramię. - Chcę tylko pomóc na miarę swych sił, *mon ami*. Wiem, że przyjechałeś tu, by zostawić przeszłość za sobą. Znowu odkryłeś namiętność, *oui*? Jamie, masz prawdziwy talent! A jednak rozbijałeś swe rzeźby, jedną po drugiej. Dlaczego? Bo stara zdrada wysała z ciebie siły twórcze? Chcesz dopuścić do tego, by dawny ból pozbawił cię...

- Dawny ból! - Jamie spojrzął na skrzynię, stojącą pod przeciwległą ścianą. Wstał gwałtownie i podszedł do niej. - Jeszcze nie rozumiałeś?

Uniósł wieko i wyjął coś, czego Jacques nie widział zza szerokich ramion przyjaciela, ale kiedy Jamie odwrócił się ku niemu, Francuz stracił dech z wrażenia.

Jamie trzymał w dłoniach kunsztowną figurkę kobiety w szkockim stroju. Jej kształty były wcieleniem wdzięku i urody. Jacques nie widział twarzy, lecz wiotkie ciało i wspaniała burza włosów kojarzyły się tylko z jedną osobą - Christmas MacKenzie.

- Ach... - westchnął przeciągle. - A myśmy myśleli, że rozbiłeś wszystkie...

- Tylko jej nie chciałem zniszczyć - przemówił Jamie martwym głosem. - Pracowałem nad nią co noc, aż wreszcie osiągnęła ten kształt. Wciąż ją widzę... - Wskazał dłonią ku oknu. - Na łące, z włosami rozświetlonymi słońcem niczym prawdziwy ogień. Była... i jest, w mojej pamięci... najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek znałem, na jawie czy w wyobraźni. I ręce same mi się rwały do pracy!

Jacques skinął głową. Nie był artystą, lecz także w najdrobniejszych szczegółach pamiętał chwilę, kiedy po raz pierwszy zobaczył Maire. Będzie ją pamiętać aż do śmierci.

- Ale gdy zacząłem rzeźbić - ciągnął Jamie - stała się czymś więcej niż tylko pięknym zjawiskiem, które tamtego dnia ujrzałem na łące. Stała się kobietą z krwi i kości, z wadami i przywarami, śmiechem i łzami... Zauważyłeś, jak śmiesznie marszczy nos, kiedy coś się jej nie podoba? Jak zagryza dolną wargę, kiedy nie wie, co powiedzieć? Albo jak jej oczy...

Jamie roześmiał się ponuro. Potem westchnął i przesunął lekko opuszkami palców po twarzy figurki. W geście tym krył się nieskończony smutek.

- Chciałem uchwycić to wszystko... wszystko. Nie tylko zewnętrzne piękno, fizyczny wdzięk i doskonałość. Chciałem odtworzyć życie, które ujrzałem! Serce i duszę, istotę Christmas MacKenzie! - Odwrócił spojrzenie od posążka i przeniósł je na twarz Jacques'a. - Ale chyba już się domyśliłeś, co zaszło później. Nie można sięgnąć w głąb kogoś takiego, jak Christmas MacKenzie i nie poczuć wszystkich skomplikowanych...

- Namiętności? - podpowiedział cicho Jacques.

Jamie odetchnął głęboko, zamknął oczy i przytaknął. Jego przyjaciel nie odzywał się, czując, iż to jeszcze nie koniec.

- Walczyłem z tym, Beaumonde. Walczyłem, ponieważ... - Oczy Jamiego pociemniały; zadrżał. W tej chwili Jacques zyskał pewność, iż w jego życiu wydarzyło się coś złego. - I dzisiaj... dzisiaj, kiedy wróciliśmy tu po burzy sądziłem, że może wreszcie znajdę sposób, by...

Znowu przerwał i roześmiał się gorzko. Jacques nie mógł słuchać tego przykrego dźwięku.

- Myślisz o tym angielskim lordzie - powiedział. - Sądzisz, że znowu zostałeś zdradzony.

W jego głosie nie było szczególnych emocji, całkiem jakby mówił o pogodzie. Jamie spojrzał na niego wrogo.

- I wydaje ci się, że się mylę, tak?

Jacques westchnął.

- Twierdzę, *mon ami*, że masz jedną ogromną przewagę nad tym żałosnym księciem z legendy: nie musisz żałować, iż pies nie może przemówić!

Jamie parsknął z niedowierzaniem.

- Ach, tak? I czego też niby mam się dowiedzieć od naszej pani wyroczni, co? Że ten angielski narzeczony nie jest jej narzeczonym? Że wszystko mi się przyśniło?

- Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy - oznajmił niezrażony Jacques. - Chcę tylko zasugerować, że powinienes dać Christmas... i samemu sobie... większą szansę, niż ten biedny idiota z bajki dał swemu wiernemu psu.

Jamie spojrzał na niego z powątpiewaniem, ale skinął głową. Jacques mówił dalej, nie dając mu czasu na zmianę zdania.

- Usiądź i wypij ze mną kolejkę, a ja ci wyjaśnię, dlaczego pozwoliłem temu Szkotowi przyprowadzić jeszcze dwa psy.

W chacie zapadła chwila absolutnego milczenia. Potem Jamie wybuchnął grzmiącym śmiechem. Powoli zamilkł i uśmiechnął się ciepło, po raz pierwszy, odkąd usiedli przy stole.

- Wiesz, Beaumonde - powiedział - może jesteś beznadziejnym kupcem, ale przyjaciel jest z ciebie jak sto diabłów!

Następnego ranka Christina i Maire wymknęły się z dworu tuż po świcie. Wstały, kiedy było jeszcze ciemno, i ubrały się ciepło w pożyczone tartany, które pani MacLeod wyprała i wysuszyła w nocy. Christina zostawiła gospodyni pospiesznie nagryzmołony liścik, w którym prosiła o zajęcie się jego lordowską mością pod jej nieobecność. Dodała, iż musi dopilnować pewnych „prywatnych spraw rodziny MacKenzie”. Wiedziała, że dzięki temu zapewni sobie pomoc Szkotki, która nie kryła niechęci do wyniosłego angielskiego lorda, tak przedwcześnie roszczącego sobie prawa do rozkazywania służbie. Dając do zrozumienia, iż nie powinien wiedzieć o sprawach klanu, zwracała się do silnego poczucia lojalności pani MacLeod. Teraz miała pewność, iż Aaron nie wejdzie jej w drogę.

- Czy zostawiłaś list także dla jego lordowskiej mości? - spytała Maire, kiedy ruszyły do zagrody.

- Owszem - przyznała Christina i zachichotała. - Choć nie napisałam tam tego, co powinnam.

Maire przyjrzała się jej z zaciekawieniem. Od wczoraj-



szego wieczoru nastrój dziewczyny uległ radykalnej zmianie. Kiedy brała kąpiel i przygotowywała się do snu, była całkowicie pogrążona w myślach. Nie odpowiadała na pytania, poddawała się bezwolnie zabiegom służącej, a myślami błądziła gdzieś daleko. Maire miała nadzieję, że to tylko zmęczenie, więc nie męczyła dziewczyny dłużej, choć chętnie dowiedziałyby się tego i owego. Na przykład, co zaszło między nią i jego lordowską mością? I dlaczego Jamie MacIver tak gwałtownie zmienił zdanie i zaczął im pomagać w poszukiwaniach? O, miała wiele pytań, bez wątpienia!

Noc minęła i do pytań doszło jeszcze jedno: dlaczego Christina nagle zaczęła się zachowywać, jakby była... szczęśliwa? To dziecko całymi dniami chodziło jak z krzyża zdjęte. A jednak akurat dziś wstała z łóżka radosna jak ptaszek! Tego było już za wiele; Maire musiała wiedzieć, co się stało.

- Naprawdę wyglądam na szczęśliwą? - odparła Christina. - A zatem sądzę, że podjęłam właściwą decyzję.

- Decyzję? I cóż to niby za decyzja?

Dziewczyna roześmiała się perliście, a w jej płomiennych włosach błysnęło żywe złoto słonecznych promieni.

- Zrywam z Aaronem! Zrywam zaręczyny z tą arystokratyczną bryłą lodu!

- Zry... Jezus, Mario! A co ze skarbem?

Christina znowu wybuchnęła śmiechem.

- To nieważne. Skarb czy nie, zrozumiałam, że nie zniosę myśli o całym życiu spędzonym z lordem Aaronem Crenshawe!

- O święci patroni! - jęknęła Maire i zatrzymała się na

środku ścieżki. Powoli na jej twarzy pojawił się uśmiech pełen zrozumienia. - A czy ta decyzja ma coś wspólnego z pewnym dżentelmenem?

W szarych oczach pojawił się cień; Christina odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Maire pośpieszyła za nią, nie mogąc pojąć, co znowu się stało. Nie miała wątpliwości, iż między jej podopieczną a Amerykaninem wydarzyło się coś ważnego. Z pewnością stąd wzięła się decyzja zerwania z jego lordowską mością.

Ale Christina nie chciała o tym mówić - cóż za rozczarowanie!

- Maire, kochana, czy wiesz, jak bardzo się cieszę, że wreszcie znalazłaś kogoś godnego miłości? I nie wątpię, że Jacques jest wprost stworzony dla ciebie. Najchętniej nosiłby cię na rękach! A powinnaś zobaczyć samą siebie, kiedy z nim jesteś! Zupełnie...

- Christino...

Paplanina ustała. Dziewczyna zerknęła niepewnie na Maire, po czym wbiła wzrok w ziemię.

- Tak? - szepnęła niemal niedosłyszalnie.

Maire położyła jej rękę na ramieniu. Zatrzymały się. Nad ich głowami śpiewał ptak, a na barwnych tartanach kładły się plamy słońca.

- Christino, kochanie - powtórzyła Maire łagodnie. - O co chodzi? Czy się narzucam? Jeśli tak, powiedz, ale...

- Och, nie bądź niemądra! - Dziewczyna próbowała się uśmiechnąć, lecz jej wysiłki spełzły na niczym. - Wcale się nie narzucasz. Ja tylko... nie mogłam dłużej ukrywać radości na myśl o... o tobie i Jacques'u, to wszystko. No, nie sroż się tak. Znalazłaś swoją miłość...

- A ty nie znalazłaś swojej, *macushla*? - W oczach Maire było morze czułości. - Mówię o twym Jamie, dziecko.

Christina spojrzała jej w oczy z całą szczerością i skinęła głową. Westchnęła ciężko.

- A zatem to już ustaliliśmy. Więc może mi wyznasz, dlaczego tak nagle zaczęłaś się trapić?

Dziewczyna przełknęła z trudem ślinę.

- Po... ponieważ - wymówiła z trudem - to nie to samo, co z tobą i Jacques'em. Maire, on mi się nie oświadczył!

- Ach! Więc to cię tak martwi! Dziecko, jakże łatwo rozwiązać ten problem!

Christina rzuciła jej nieufne spojrzenie.

- Naprawdę? Jak?

- Ty się mu oświadczysz!

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

- Maire - wyszeptała. - Wiem, że wy, Irlandczycy, jesteście raczej niespełna rozumu...

Maire roześmiała się wyzywająco.

- Ach, tak?

- Dobrze, zatem: szaleni!

Śmiech ucichł, lecz w oczach Irlandki nadal paliło się ciepłe światło.

- Kochasz go, dziecko? - spytała łagodnie.

Christina znieruchomiała. Przed oczami stanął jej Jamie, w dziesiątkach różnych sytuacji... Kiedy spoglądał jej w oczy i opowiadał, jaki mają kolor... kiedy trzymał ją w objęciach, łkającą z żalu za rodzicami... jego twarz tuż nad nią, napięta z pożądania... i wreszcie ten okropny czas, kiedy się poróżnili,

kiedy miała wrażenie, że wyrwano z niej coś z korzeniami. Ten ból straty minął dopiero wtedy, gdy znów znalazła się w ramionach Jamiego.

Wreszcie wróciła spojrzeniem do twarzy Maire.

- Tak - powiedziała z prostotą. - Kocham go.

Maire rozpromieniła się.

- Więc poproś go, żeby się z tobą ożenił.

- Nie wiem, czy...

- Czy cię kocha?

Christmas skinęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Unikała spojrzenia Irlandki.

Ale ta nie dała się zniechęcić.

- Ależ, dziecko, czyżbyś nie widziała, jak on na ciebie spogląda, kiedy wchodzisz do izby? Czy wiesz, jak na ciebie patrzy, gdy sądzi, że go nie widzisz? Wygląda, jakby umierał z głodu! Tak właśnie! I nie patrz na mnie jak na wariatkę! To prawda, powiadam ci!

- Ale...

- Żadne ale! Przypomnij sobie inne szaleństwo, którego byliśmy świadkami. Pamiętasz, jak Jamie rozbijał jedną rzeźbę po drugiej?

W szarych oczach mignął błysk.

- Ach, widzę, że pamiętasz. Nikt nie rozumiał, co go opętało. Ale teraz, kiedy to sobie razem zestawiała, powiadam ci, namiętność do sztuki może być czasami wyrazem głębszych uczuć. W czasach mego dzieciństwa mieliśmy w Ulsterze pewnego starego poetę...

- Maire! - zawołała Christina w podnieceniu. - Chcesz powiedzieć, że...

- Twierdzę, że istnieje tu pewne podobieństwo, *macushla*.

Podobieństwo, nic więcej. Ale skąd masz wiedzieć, jeśli nie spytasz?

Dziewczyna powoli skinęła głową, nadal niepewna. Maire westchnęła głęboko.

- Ach, dziecko, znam cię przez całe twoje życie i nie mogłabym cię kochać bardziej, gdybym sama cię urodziła. A jednak nie potrafię powiedzieć, co masz robić. Jestem rada, że postanowiła zerwać z lordem Aaronem, choć wiesz, że cię do tego nie nakłaniała. Sama musiałaś do tego dojść. Widzisz, kochanie, tym razem też o to chodzi. Nie mogę ci rzec, co trzeba zrobić, lecz wiem, co bym sama uczyniła: spytałabym go!

Christina spojrzała w ciemne, szczere oczy i zaniechała protestów. Powoli na jej ustach ukazał się uśmiech.

- Maire - szepnęła. - Jesteś absolutnie niespełna rozumu, ale cię kocham.

Irlandka mruknęła niezrozumiale coś, co pobudziło Christinę do cichego chichotu. Chichot przeszedł w perlisty śmiech; dziewczyna objęła swą towarzyszkę i uściśnęła ją.

- Wiesz - odezwała się przekornie - być może powinnam skorzystać z twojej szalonej rady, lecz jeszcze nigdy nie pozwoliłam sobie na więcej niż zaproszenie mężczyzny na przechadzkę. Ośmielę się zauważyć, iż w porównaniu z tym oświadczyzny wydają się dość... zniechęcające.

Maire roześmiała się i uściśnęła ją jeszcze raz; potem wolno ruszyły w dalszą drogę.

- Zanim zaczniesz obmyślać tę zniechęcającą propozycję, najpierw napraw most, co się zawalił. Nie podobała mi się mina Jamiego, kiedy się dowiedział, kim jest jego lordowska mość.

Jamie i Jacques już kopali, kiedy obie przybyły do zagrody. Christina westchnęła z ulgą. Skoro Jamie jest tak zaangażowany w szukanie skarbu, widać nie poczuł się zbyt urażony widokiem Aarona.

Ale ostrzegawcze słowa Maire nadal nie dawały jej spokoju. Christina zdała sobie sprawę, że wczoraj nie zareagowała właściwie. Nie powiedziała Jamiemu, co sądzi o przyjeździe Aarona, nie wspominając już o postanowieniu zerwania zaręczyn.

Kiedy Jacques roześmiał się i chwycił Maire w objęcia, dziewczyna poczuła rosnące zaniepokojenie. Jamie nie przerwał pracy, nie spojrział na nią. Kopał nieprzerwanie.

*Także Irlandka to zauważyła; wyswobodziła się z objęć Jacques'a i spojrzała na odwróconego Jamiego. Potem szturchnęła Christinę.*

- Kochanie - zwróciła się do Francuza. - Cieszę się, żeście tak rano ruszyli do kopania, lecz nie zjedliście przyzwoitego śniadania. Chodź ze mną, przyrządzą coś pożywnego, a ty pomożesz mi to przynieść.

Beaumonde wydawał się zdezorientowany, lecz wystarczyło mu jedno spojrzenie na zmartwioną twarz Christiny. Skinął głową, dotknął lekko ramienia dziewczyny, uśmiechnął się do niej krzepiąco i pospieszył za Maire, już zdążającą ku chacie.

Christina zagryzła wargę. Jamie wymienił szpadel na motykę; w dalszym ciągu się nie odzywał i nie reagował na obecność dziewczyny.

Przyglądała się jego drgającym mięśniom szerokich pleców i ramion, widocznym pod cienkim płótnem koszuli. Potem utkwiała wzrok w jego smagłych przedramionach,

żyłastych i silnych. Słońce lśniło na porastających je jasnych włosach. Zadrzała na wspomnienie chwili, kiedy obejmował ją w przypływie namiętności.

Zamknęła oczy, bezgłośnie wyszeptała modlitwę i z wysiłkiem wydobyła słowa z wyschniętego gardła.

- Dzie... dzień dobry, Jamie.

Zatrzymał się z uniesioną motyką; powoli opuścił ją na stertę ziemi.

- Czy naprawdę dobry?

Nadal się do niej nie odwrócił.

Przełknęła twardą kulę, która utkwiała jej w gardle.

- Tak... dobry... na przeprosiny i zmianę mojej przyszłości. Widzisz - zaczerpnęła powietrza - postanowiłam zwrócić słowo Aaronowi... temu mężczyźnie, którego wczoraj poznałeś...

- Dlaczego mi to mówisz? - Wreszcie się do niej odwrócił.

Wzdrygnęła się na widok jego obcego spojrzenia.

- Ponieważ...

- Nie musisz trudzić się wyjaśnieniami, milady. Z pewnością nie jesteś mi ich winna.

- Beaumonde! - rozległ się jakiś głos. - Jesteś tam? Hej, człowieku, przyprowadziłem ci psy!

- Chryste! - syknął Jamie i rzucił na ziemię motykę. - To MacTavish! Szybko, zatrzymaj go, a ja zamaskuję schody!

Christina stała nieruchomo, ciągle nie mogąc się otrząsnąć.

- Niech to diabli, kobieto, nie stój tak! - Jamie chwycił wielką płachtę, którą zasłaniał bloki marmuru, i narzucił ją na rozkopany teren. - Ten Szkot umie wyczuć okazję! Chcesz, żeby zażądał części skarbu?

Ten argument oraz kolejny ryk MacTavisha obudziły ją wreszcie. Odwróciła się i pobięła na podwórko, z którego dochodziło głośne szczekanie.

Po godzinie Maire oznajmiła, iż stał się cud. Szkot wyszedł, nie odkrywszy ich tajnej działalności za stajnią. Jacques ją poparł; twierdził, że cudem należy nazwać także fakt, iż MacTavish nie ograbił go do szczętu. Teraz był właścicielem jeszcze dwóch piesków, a właściwie suczek, według określenia Szkota, „śliczności jak malowanie”.

Poszukiwania rozgorzały na nowo. Pracowali głównie mężczyźni, gdyż schody były ukryte w dobrze ubitej ziemi. Rozkopanie jej, a nawet wydobywanie gliny wymieszanej z kamieniami, wymagało wiele sił.

Kobiety także nie próżnowały; robotnikom „biły siódme poty”, jak stwierdziła Maire. Obie wiele razy kursowały pomiędzy schodami i chatą, donosząc wodę, a potem obiad, złożony z podpłomyków, sera i piwa.

Z rzadka zamieniali ze sobą parę słów. Właściwie rozmowę podtrzymywali głównie Jacques i Maire. Wymieniali czułe słówka ponad kubkami wody, a podczas obiadu, spożywanego pod sosną na podwórku, rozmawiali o planach osiedlenia się w Ameryce.

Jamie niemal się nie odzywał. Parę razy rzucił słowo Jacques'owi. Christina także zamilkła. Przeklinała MacTavisha za to jakże niewczesne przybycie; od tego czasu nie znalazła dogodnej okazji do podjęcia rozmowy. Nie potrafiła się na to zdobyć. Jamie zachowywał się tak chłodno!

Wydawało się, że nagle się od niej oddalił, choć od czasu do czasu czuła na sobie jego wzrok. Musiała się zmuszać, by dokończyć to, co robiła; przypominała sobie, iż znalezienie



skarbu liczy się w tej chwili najbardziej. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Jeśli nie wyjdzie za Aarona, powinna zdobyć jakieś środki finansowe, za które będzie żyć.

Wreszcie doszła do wniosku, że Jamie nie chce jej opuścić. Pracował najciężej z nich wszystkich. Jego koszula była ciemna od potu. Nie podejmowałby przecież tak ogromnych wysiłków, gdyby mu na niej nie zależało. Prawda?

Pocieszając się w ten sposób - i postanowiwszy, że znajdzie okazję, by doprowadzić do wyjaśnienia sytuacji - zdołała jakoś przetrwać cały dzień. Późnym popołudniem, kiedy przygotowywała herbatę, Maire wpadła do chaty z sensacyjną wieścią.

- Skończyli! - krzyknęła. - Ach, Christmas, to nadzwyczajne! Znaleźli drzwi, pod całym tym świństwem! Szybko, musisz to...

Ale zanim zdążyła dokończyć, Christina śmignęła obok niej, porzuciwszy czajnik na palenisku. Maire mruknęła coś pod nosem i wydobyła naczynie spomiędzy płomieni. Ale mimo wszystko uśmiechała się; po raz pierwszy tego dnia dziewczyna okazała odrobinę radości. Można było jej wybaczyć uchybienie obowiązkom.

Stare drzwi były stoczone przez korniki, a rdza niemal zupełnie przeżarła zawiasy i skobel, lecz żelazo nadal opierało się uderzeniom; przez cały kwadrans wyważali je i wyłamywali, zanim wreszcie piwnica stanęła przed nimi otworem. Poszukiwania dobiegły końca.

Popołudniowe słońce oświetlało wejście, ukazując długie kamienne pomieszczenie z rzędami beczek, w większości nadal pełnych wina. Jacques przyniósł latarnię ze stajni

i wkrótce okazało się, że pod jedną ze ścian utworzonych z butelek wina stoi ogromna skrzynia.

Jacques rozbił młotem przerdzewiały skobel, cofnął się i z uśmiechem skłonił przed Christina.

- Ten zaszczyt należy się tobie, *ma petite*... oby było tam dość bogactw na okup za pięciu wilków morskich wraz z ich paniami!

Christmas podziękowała mu drżącym głosem, zaczerpnęła powietrza i uniosła wieko...

Skrzynia kryła bogactwa ponad wszelkie wyobrażenie. Złoto, przede wszystkim złoto, migoczące zwały bogactw najrozmaitszych kształtów i rozmiarów, od wysadzanych klejnotami bransolet i pierścieni, przez filigranowe renesansowe naszyjniki, aż po stare monety, wyglądające jak starożytny dublony; złote kielichy, masywne talerze i inne naczynia, świeczniki i ozdobne posążki. Zewsząd bił tęczyowy blask drogich kamieni; rubiny i szafiry, szmaragdy i perły lśniły w świetle latarni symfonią barw - to w cudownej kolii, to w pendancie, mrugając jednocześnie z tysiąca miejsc. Brosze, klamry, bransolety, nieprzebrane bogactwa...

Przez długą chwilę stali w milczeniu, chłonąc wzrokiem nieopisany widok.

Jamie przerwał ciszę.

- To za ciężkie, żebyśmy mogli wynieść je we dwóch. Ale musimy znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę.

- *Oui*, jeśli tylko *le grand* Szkot nie wejdzie nam w drogę! Christina, zastanawiałaś się, w jaki sposób przetransportujesz swój skarb?

Christina, trzymająca w drżących palcach ośmioboczną złotą monetę, niewyraźnie przypominała sobie, że gdzieś

o niej czytała - w ogóle go nie usłyszała. Jacques musiał powtórzyć pytanie, dotykając jej ramienia.

- Co? - Wzdrygnęła się, zaskoczona. - A... transport... tak, trzeba będzie to załatwić, prawda?

Maire roześmiała się i uściśniła ją lekko.

- Całkiem ogłupiała, i nie dziwota! Chodź, dziecko, niech chłopcy sami postanowią, co z tym zrobimy, a my zajmijmy się tą herbata, cośmy ją miały przyrządzić.

Christina pozwoliła się wyprowadzić z piwnicy.

Godzinę później wszyscy zgromadzili się przy kominku, gdzie czekała na nich lekka kolacja. Christina, która dzięki rozsądnej Maire otrząsnęła się z odrętwienia, zdołała nawet pomóc jej w gotowaniu. Mężczyźni postanowili, że na jakiś czas skarb zostanie tam, gdzie był, z wyjątkiem pierścienia z szafirem, który Jacques uparł się podarować Christmas jako „namacalne świadectwo”. Z płacht Jamiego sporządzili prowizoryczny kamuflaż: narzucili je na jamę, brzegi zaś przycisnęli kamieniami. Następnie przykryli je warstwą zeschniętych liści i nawozu.

- Na noc wystarczy - oznajmił Jamie w odpowiedzi na pytanie Maire. - Ale z samego rana sprowadzę pomoc z dworu.

Zerknął na Christinę; skinęła głową, z roztargnieniem przyjmując przednią maderę, którą Jacques przyniósł z letniego domku. Piła wino, lecz nie czuła jego smaku i obracała w palcach pierścień, spoczywający w jej kieszeni. Jednak myślała jedynie o Jamie.

Co zamierzał? Czy myślał o niej tak, jak ona o nim? Uczestniczyła w uczcie - jadła, piła, śmiała się, a nawet śpiewała pieśń, którą zaintonował Jacques - lecz całą uwagę

poświęcała wyłącznie Jamiemu. Włosy miał jeszcze wilgotne po kąpieli, której zażył w strumieniu przed kolacją. Mimo potężnej sylwetki poruszał się z naturalną, swobodną gracją. Zęby lśniły w jego opalanej twarzy...

Odkrycie skarbu wymazało dziwną obcość, jaka zapadła między nimi tego ranka. Jednak nadal nie rozumiała, co ją spowodowało. Teraz wydawał się jej bliski; trudno było oprzeć się euforii, jaka ich ogarnęła. Ale nadal nie odnosił się do niej tak, jak kiedyś. Nagle poczuła, że za chwilę zacznie krzyżeć, jeśli coś się nie wyjaśni. Kochała go i nawet, jeśli on o nią nie dba, musiała się tego dowiedzieć! Nie zniesie milczenia ani chwili dłużej. Musiała podjąć rozmowę, którą przerwano im tego ranka. Ale w tym celu powinni znaleźć się sami. Jeśli Maire i Jacques zgodzą się jej to ułatwić...

Po dziesięciu minutach jej życzenie spełniło się. Maire podchwyciła spojrzenie swojej podopiecznej i prawidłowo zinterpretowała zawartą w nim prośbę. Starsza para wybrała się na spacer, by podziwiać „galanty wieczór”, jak to ujęła Irlandka. Christina i Jamie zostali sami.

Kiedy głosy Maire i Jacques'a ucichły w oddali, dziewczyna spojrzała na swojego towarzysza. Stał przy kominku, sącząc wino. Po chwili odstawił szklankę i poruszył pogrzebaczem płonące polana.

Znowu odwracał się do niej plecami.

- Jamie...

Zauważyła, że napina mięśnie ramion.

- O co chodzi? - rzucił niedbale. Odstawił pogrzebacz i powoli się wyprostował.

Och, Jamie, dobrze wiesz! Nie udawaj!

- Proszę... musimy porozmawiać.

Odwrócił się do niej powoli; wstała z krzesła. Dzieliło ich zaledwie parę kroków; widziała każdy szczegół jego ciała, delikatne promieniste zmarszczki w kącikach oczu...

- Tak? - mruknął obojętnie. Tego było już za wiele. Christina poczuła, że jej wytrzymałość dobiegła kresu. Jej twarz wykrzywiła się w mimowolnym grymasie; zdławiła szloch.

- Och, Jamie... proszę, nie odpychaj mnie! Nie zniosę tego znowu!

I rzeczywiście zaczęła płakać. W oczach Jamiego pojawiła się skrucha; jednym skokiem przebył dzielącą ich odległość.

- Przestań - szepnął, chwytając ją w objęcia. - Cśśś, kochanie, nie płacz.

Poczuła błogosławieństwo jego ramion, lecz nie potrafiła pohamować łkania. Czuła, że spadają na nią wszystkie wypadki ostatnich miesięcy... śmierć rodziców... pospieszna podróż do Szkocji za niepewnym celem... chaos emocji, który wtargnął w jej życie wraz z poznaniem Jamiego, oraz najstraszniejsze odkrycie - kiedy zrozumiała, że go kocha - i wreszcie znalezienie skarbu, w który nadal nie mogła uwierzyć. Akurat teraz, kiedy przestało jej na nim tak bardzo zależeć.

Chciała mu o tym wszystkim powiedzieć, lecz słowa, szarpane szlochem, brzmiały niezrozumiale. Jamie uspokajał ją, szepcząc jej imię, głaszcząc włosy i delikatnie całując czoło.

Wreszcie ucichła; parę razy zachłysnęła się powietrzem i umilkła, westchnąwszy przeciągle.

- Lepiej? - spytał cicho Jamie. Wziął ją pod brodę i delikatnie zwrócił jej twarz ku sobie.

Otworzyła oczy. Spojrzał w nie i stracił dech. Ogromne i lśniące od łez, miały nieskalaną barwę ametystu.

- Kocham cię - szepnęła. Jej spojrzenie wyrażało o niebo więcej niż słowa.

Przez jego twarz przemknął skurcz bólu. Jamie wziął głęboki oddech, zamknął oczy i wypuścił dziewczynę z objęć.

- O, Christmas - szepnął, kręcąc głową. - Nie wolno... nie powinnaś mnie kochać. Nie jestem...

- Nie powinnam...? - powtórzyła z oszołomieniem. - Ale dlaczego? Czy nie... nie dbasz o mnie? Świetnie, więc to przyznaj! I nigdy więcej nie mów, że nie wolno mi cię kochać, ponieważ jeśli ty do mnie nic nie czujesz, to jeszcze nie znaczy...

- Kocham cię - przerwał jej udręczonym głosem. - Bardziej niż kogokolwiek na świecie!

Zamilkła, zbita z tropu. Słowom, które tak wiele dla niej znaczyły, towarzyszyło spojrzenie pełne takiego bólu, że na jego widok przeszedł ją dreszcz. Chwyciła się jedynej nadziei; przywołała na twarz wymuszony uśmiech.

- A... a zatem... - Zaczepnęła duży haust powietrza. - Czy zechcesz zostać moim mężem?

Powoli pokręcił głową z wyrazem okropnego cierpienia.

- Nie mogę tego zrobić - szepnął. A potem paroma słowami obrócił jej świat w gruzy. - Ja już jestem żonaty.

## 18

- Żonaty? - powtórzyła szeptem. Uniosła drżącą dłoń i otarła nią łzy, które zaczęły wysychać na jej policzkach. - Masz... żonę?

Zamknął oczy, by nie widzieć bólu w jej oczach, i skinął sztywno głową. Zaczął coś mówić, lecz Christina przerwała mu w pół słowa.

- I kiedy zamierzałeś mnie o tym poinformować, gdybym nie wyrwała się z tymi... - roześmiała się gorzko - głupimi oświadczyniami? Po tym, jak skończylibyśmy się kochać? Bo chyba nie przedtem? A może wczoraj po prostu ci ulżyło na wieść o moich zaręczynach? Ale ulga trwała krótko, gdyż właśnie się dowiedziałeś...

- Przestań! Wiem, masz wszelkie powody, by być zła, nawet mnie nienawidzić...

- Nienawidzić? Ależ ja nawet nie pomyślałam o tym, by cię nienawidzić... na razie! Teraz staram się tylko cię zrozumieć. Nie wiem... jak mogłeś wprowadzić mnie w błąd... jak mogłeś się ze mną kochać, skoro przez cały czas wiedziałeś...

- Czy to tak trudno zrozumieć? Czy to samo nie przydarzyło się tobie, skoro wiedziałaś, że w Anglii czeka na ciebie narzeczony?

Christina skuliła się, jakby od ciosu, ale zdołała spojrzeć mu prosto w oczy.

- Trafiony - szepnęła łamiącym się głosem.

- O Boże... Christmas, ja...

Odwróciła się gwałtownie, gdy wyciągnął do niej rękę; po twarzy płynęły jej strumienie łez. Ruszyła na oślep ku drzwiom. Otworzyła je dokładnie w chwili, gdy Maire i Jacques wrócili na podwórze. Łkała spazmatycznie i nie widziała ich, nie słyszała wołania Irlandki.

- Christino! - krzyknęła Maire. - Co się stało, dziecko? Co się...

- Biegnij za nią, *ma chere* - szepnął Jacques, spoglądając na Jamiego, który wyglądał tak, jakby wszystkie demony spadły na niego w jednej chwili.

Podał Maire latarnię, gdyż zaczynało się ściemniać, i powiedział, żeby uważała na niebezpieczną drogę.

Maire poszła za jego wzrokiem, ujrzała Jamiego, który odwrócił się i zniknął chwiejnie we wnętrzu izby, po czym skinęła głową.

Jacques pocałował ją w policzek. Wziął głęboki oddech i zdecydowanym krokiem wszedł do chaty.

Jamie siedział przed kominkiem i wpatrywał się w ogień martwym wzrokiem. Nie odezwał się, kiedy Francuz zamknął za sobą drzwi, nie dał po sobie poznać, że zauważył jego nadejście. Beaumonde stanął za jego krzesłem. Spojrzał na butelkę madery, zauważył, iż jest niemal pusta, i podszedł do skrzyni, w której trzymał swoje osobiste rzeczy. Wyjął skan i przerobienie pona



z niej butelkę szkockiej whisky; wynegocjował ją od Mac-Tavisha przy zakupie suk.

Otworzył ją, szczerze napełnił dwie szklanki i usiadł obok Jamiego.

- Proszę, *mon ami* - rzekł, wręczając mu jedną. - Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz, lecz wiedz, że chętnie cię wysłucham.

Jamie skinął machinalnie głową. Pociągnął porządny łyk, nie zwracając uwagi na pieczenie w gardle i przełyku. Spojrzał na szklankę, znów uniósł ją do ust i opróżnił do dna. Miał nadzieję, że alkohol usunie ból. Gestem poprosił o następną porcję.

Osuszając ją, zerknął na zaniepokojonego towarzysza i westchnął.

- Naprawdę chcesz to usłyszeć?

- Jeśli...

- Tak, tak, jeśli tylko sam chcę o tym opowiedzieć. - Jamie znowu westchnął. - Nie jestem tego pewien, mój przyjacielu.

Jacques skinął głową i przyjrzał się przyjacielowi, który nalał sobie trzecią kolejkę.

- Z drugiej strony - ciągnął - ty i Maire zostaliście zmuszeni do zobaczenia czegoś, czego nie powinniście widzieć. Nie, Beaumonde, nie zaprzeczaj! Nie chciałem nikogo trapić moimi problemami, nie takich przyjaciół, jak ty i Maire, a już na pewno nie... na pewno nie Christmas!

Jacques czekał w zupełnym milczeniu. Jamie pociągnął łyk whisky.

- Dzisiaj - ciągnął z gorzkim grymasem - oznajmiłem jej, że jestem żonaty.

- *Mon Dieu...* Nie miałem pojęcia, że...

- Nie kłopotuj się tym. Powiedziałem jej... ale nie jestem.

Jacques szeroko otworzył oczy. Jamie parsknął ponurym śmiechem i pociągnął kolejny łyk trunku.

- Nie rozumiesz? Tylko tak mogłem to zakończyć w przyzwoity sposób... ostre, czyste cięcie. Może z początku trochę bolesne, ale diablo bardziej przyzwoite niż... niż uwięzienie jej z kimś takim jak ja!

Teraz to Jacques opróżnił szklanekę jednym łykiem.

- Może powinienem zacząć od początku. Widzisz, nie całkiem skłamałem... nieco zmieniłem prawdę. Kiedyś rzeczywiście byłem żonaty.

Jacques podniósł głowę znad whisky, lecz Jamie go nie widział. Znowu spoglądał w ogień.

- Desiree, moja żona... umarła. Jestem wdowcem...

Reszta opowieści popłynęła nieprzerwanym strumieniem, jakby tama wreszcie runęła.

Pięć lat temu Jamie ożenił się z córką bogatej kreolskiej rodziny z Nowego Orleanu. Desiree była wcieleniem cnót: piękna, wdzięczna, uległa i łagodna, jak wszystkie młode kobiety z towarzystwa. W gruncie rzeczy była tak zachwycająca, że *Jamie dziwił się, dlaczego jej rodzina nie protestuje* przeciwko małżeństwu, gdyż dumni Kreole stanowili hermetycznie zamknięte środowisko, uważające się za stojące o wiele wyżej od amerykańskich sąsiadów.

Potem, wkrótce po ślubie, odkrył powody tej przychylności. Desiree miała ataki gniewu, znacznie przekraczające granice dziecinnych kaprysów, które i tak wydawałyby się złym znakiem. Stopniowo Jamie zaczął się obawiać o zdrowe zmysły swej młodej żony.

Zwrócił się do jej ojca; po wstępnych próbach zbagatelizowania jego spostrzeżeń, starszy pan przyznał, że Desiree zdradza te objawy od wczesnego dzieciństwa, lecz przy „łagodnym prowadzeniu” zdarzają się rzadko, a przynajmniej trwają krótko. Niestety, jak się wkrótce okazało, miało to oznaczać ustępowanie we wszystkim i spełnianie każdej zachcianki. Desiree stała się próżną, zepsutą do gruntu istotą, której żaden Kreol nie chciał pojąć za żonę.

Jacques skinął głową ze zrozumieniem.

- *Oui*. Mogliby ją podrzucić jakiemuś nie podejrzewającemu niczego kreolskiemu dżentelmenowi, ale wtedy mieliby na karku jego rodzinę!

Jamie uśmiechnął się gorzko.

- Jak powiedziałem, to hermetyczne środowisko. Wieść o takim podstępnie mogłaby zniszczyć ich dobre imię.

Pokłócił się z teściem, lecz w końcu pojął, że został uwięziony w nieszczęśliwym małżeństwie, w którym musiał jakoś żyć.

Wkrótce małżeństwo stało się jeszcze bardziej nieszczęśliwe, gdyż Jamie zdał sobie sprawę, iż nie kocha żony. Pociągała go, lecz bardziej chodziło mu o to, by zapuścić korzenie w Tysiącu Dębów i mieć potomków z żoną o nieskazitelnym pochodzeniu.

Beaumonde znowu pokiwał głową.

- To się zdarza, *mon ami*, W gruncie rzeczy większość bogatych mężczyzn żeni się z tych powodów. Niektórzy mają szczęście i miłość przychodzi później.

Jamie pociągnął łyk whisky.

- Do mnie nie przyszła. Jakżeby mogła? W dobrych

czasach Desiree była zepsutym, samolubnym dzieckiem, w złych... - Wzdrygnął się. - Kiedyś zbiła szpicrutą niewolnicę, pokojówkę, którą dostała jako część posagu. Ukarła ją za to, że nie ułożyła jej włosów tak, jak powinna. Dziewczyna była na wpół żywa, kiedy mój nadzorca przybiegł i położył temu kres. Ja brałem wówczas udział w kampanii. A zanim zdołał powstrzymać Desiree, rozcięła mu twarz aż do kości. Kiedy się o tym dowiedziałem, zwróciłem wolność wszystkim niewolnikom i zatrzymałem tylko tych, którzy zgodzili się pozostać jako opłacani służący.

- *Sacre bleu!* To cię musiało trzepnąć po kieszeni.

- Tak było. Ale mogłem sobie na to pozwolić. Nie było mnie stać tylko na jedno, na tę potworną odpowiedzialność czy też raczej poczucie winy za wszystkie okrucieństwa, które... Jezu, Beaumonde! Ta biedna niewolnica stała się kaleką!

Jacques zacisnął powieki.

- Ale najgorsze... prawdziwa męka... - ciągnął Jamie - dopiero miała nadejść.

Desiree wkrótce zorientowała się, że mąż jej nie kocha. To stało się przyczyną kolejnych ataków wściekłości. Z czasem przestał odwiedzać jej sypialnię, w której od czasów poślubnej nocy zachowywała się oziębło i obojętnie. Zaczęła oskarżać go o brak uczuć; każdy dzień w domu stał się dla niego piekłem. Spędzał coraz więcej czasu w szeregach straży obywatelskiej, nawet kiedy nie było takiej potrzeby.

- Pewnej nocy, podczas jednej z nieczęstych wizyt w Tyśiącu Dębów, upiłem się i...

Jacques zerknął mimowolnie na szklanekę w dłoni przyjaciela. Jamie podchwycił jego spojrzenie, skinął głową

z ponurym uśmiechem i odsunął ją od siebie. Potem opisał kolejną gwałtowną scenę, kiedy Desiree czyniła mu wyrzuty, iż jej nie kocha, jako główny argument wysuwając brak wizyt w jej sypialni.

- ...głównie dlatego, że byłem pijany, częściowo dlatego, że zrobiłbym wszystko, żeby tylko zamilkła - ciągnął Jamie tonem pogardy dla samego siebie - wziąłem ją, i to niezbyt delikatnie.

- I stąd to poczucie winy?

- Częściowo, ale to nie wszystko. O, nie. Najgorsze przyszło dopiero potem.

Jacques słuchał z rosnącym przerażeniem. Jamie dowiedział się, że tamtej nocy zostało poczęte dziecko - dziecko nie chciane, nie tylko dlatego, że nie kochał jego matki, lecz również dlatego, że przypominało mu sposób, w jaki przywołał je na świat.

- Desiree także go nie chciała. Gniewała się na tę biedną, nie narodzoną istotkę, tak samo jak na mnie. Przeklinała ciężę. Nie chciała stracić figury, twierdziła, że jest zbyt delikatna, by znieść trudy porodu. Aż wreszcie pewnej nocy... byłem wtedy na kwaterze... nadeszła wiadomość. - Jamie odwrócił się od ognia i spojrzał na Jacques'a martwymi oczami. - Desiree umarła... po próbie usunięcia płodu.

- *Mon Dieu* - szepnął Jacques ze zgrozą. - *Mon Dieu!*

Maire przyglądała się strapiona ściągniętej, zmęczonej twarzy Christiny.

- Czy to właśnie chcesz zrobić, *macushla*?

Dziewczyna obrzuciła ostatnim spojrzeniem kufer, skinęła głową i zamknęła go.

Znajdowały się w sypialni dworu MacKenziech. Było to ich pożegnanie. Christina odsyłała Maire do zagrody, by dopilnowała przesłania skarbu do Londynu. Mieli jej towarzyszyć Coates i Toppers, zaufani słudzy. Rozkazała im zająć się skrzynią i zapewnić ochronę; rozmawiała już z nimi i dowiedziała się, iż obaj wzięli ze sobą broń (z czego nie zdawała sobie sprawy aż do tego ranka). Ale wiedziała, że Maire nie pyta jej o to, ani nawet o ich rozstanie, nieuniknione od chwili, gdy Irlandka poznała Jacques'a. Chodziło o decyzję natychmiastowego powrotu do Anglii i poślubienia Aarona.

- Pożegnasz się z Jacques'em w moim imieniu? - spytała Christina, walcząc ze łzami. - I wyjaśnij mu, dlaczego... dlaczego nie mogłam...

- Nie ma potrzeby wyjaśniać, dziecino. Czyż nie napisała pięknego listu? - Oczy Maire zalsniły niebezpiecznie. W kieszeni pelisy trzymała list, w którym Christina nie tylko błagała Jacques'a, by zrozumiał jej motywy, lecz także prosiła o zatrzymanie czwartej części skarbu (napisała, iż ktoś, kto służył pod Laffite'em, będzie potrafił to obliczyć). Miał to być prezent ślubny od niej dla niego i Maire.

- Jak mamy ci dziękować, dziecko? - Irlandka zamrugała, by powstrzymać łzy, i przygarnęła ją do piersi, mamrocząc coś niezrozumiale.

- To ja powinnam ci dziękować, kochana. Byłaś mi jak matka i jestem wdzięczna, iż Bóg pozwolił mi mieć cię przy sobie tak długo. Ale teraz... już dorosłam i... obie wiedziałyśmy, że ten dzień musi nadejść, prawda?

Christina rozpaczliwie starała się nie wybuchnąć płaczem. Zeszłej nocy dzielnie walczyła ze wstrząsającym nią łkaniem i przy pomocy Maire opanowała się, zanim dotarły do domu... i Aarona. Jego lordowska mość poinformował ją niegdyś - całe wieki temu, w Londynie - iż nie znosi płaczących kobiet i będzie wdzięczny, jeśli Christina okaże się „dość rozumna, by opanować histerię”. Postanowiła, że za żadne skarby nie da mu poznać, co spowodowało jej poruszenie.

A co zrobisz w noc poślubną? Jak ukryjesz to, że nie jesteś już niewinna, spytał cichy złośliwy głosik. Uciszyła go. Będę miała czas, żeby się nad tym zastanowić, pomyślała.

Ta ostatnia praktyczna myśl pohamowała wybuch emocji. Christina zdołała się nawet uśmiechnąć. Pogłaskała dłoń Maire.

- Pisz do mnie jak najczęściej, kochana, całe tony listów, i nie pomini żadnego szczegółu wesela! A ja... ja postąpię tak samo, ma się rozumieć.

Maire skinęła głową, zastanawiając się, czy kiedykolwiek wyjaśni sobie listownie to, czego Christina nie powiedziała jej zeszłej nocy. Nie myślała o wstrząsającej wiadomości o małżeństwie Jamiego MacIvera. Dziewczyna wyznała to, szlochając na jej piersi. Ale odmówiła zdradzenia innych faktów.

Westchnęła.

- Nie martw się moimi małżeńskimi planami - powiedziała Christina gorzko. - Nie dojdą do skutku jeszcze długo, zważywszy, iż jestem w żałobie. Być może oboje zdaszycie zjawić się na moim ślubie.

Maire zdławiła pytanie, czy i jego lordowska mość zechce

gościć u siebie byłego pirata i służącą. Dziewczyna dokonywała cudów odwagi, tłumiąc ból, który z pewnością ją rozdzierał, choć nie potrafiła ukryć mrocznego spojrzenia. Maire nie miała serca wytykać jej wad przyszłego męża.

Będzie się modlić do wszystkich świętych, by sama je dostrzegła - i w porę wymknęła się temu lodowatemu Sassenachowi!

Wreszcie rozstały się na dobre, stojąc na podjeździe przed dworem. Zachowywały się chłodno i formalnie, gdyż towarzyszył im Aaron. Jego lordowska mość, nadzwyczaj spokojny, wydawał się niezwykle zadowolony z siebie; Christmas wręczyła mu tego ranka stary pierścień z szafirem jako dowód istnienia skarbu, stanowiącego dziedzictwo po matce. Tym samym na powrót stała się w jego oczach partią godną pożądaną.

Maire wyruszyła do zagrody w towarzystwie Coatesa i dzielnej eskorty. A lady Christina St. John, nadal spokojna i oficjalna, rozpoczęła podróż ku przyszłemu życiu z tytułem markizy Beckwith.

Niegdyś nie potrafiłem zrozumieć Jamiego MacIvera, pomyślał Jacques. Tak długo krył swoje uczucia przed całym światem... Nawet teraz robił to doskonale; Jacques musiał wysilić otepiały kaczem umysł, by przypomnieć sobie drobiazgi, które zdradziły jego przyjaciela.

Dopiero wczoraj, Jamie wreszcie się otworzył. I niech będzie pochwalony *le bon Dieu!* Teraz wreszcie wiadomo było, co się kryje za tym pochmurnym spojrzeniem, towarzyszącym jego przyjacielowi od zawsze. Jamie był czło-



wiekem prześladowanym przez poczucie winy. Oraz zdradę. A jeśli ktoś nie pomoże mu się uwolnić, należało oczekiwać najgorszego.

Jacques obawiał się, że przyjaciel zniszczy samego siebie.

Zacisnął zęby, czując pulsujący ból w skroniach. Spojrzał na Jamiego, który krzątał się po chacie. Pakował rzeczy z ponurą, zaciętą twarzą. Jednak Jacques widział, że przyjaciel zaciska pięści, przeciąga dłonią po włosach. Dostrzegł drganie mięśnia na policzku. Wszystkie te oznaki pojawiły się poprzedniego wieczoru, kiedy opowiadał o tchórzostwie ojca. Świadczyły o rozpaczliwie ukrywanym cierpieniu.

Jacques odchrząknął i skrzywił się, gdyż ból omal nie rozsadził mu czaszki.

- Na pewno chcesz wyjechać, *mon ami*? Tutaj mógłbyś stać się rzeźbiarzem.

Jamie przestał układać przybory toaletowe.

- Skończyłem z rzeźbieniem, Beaumonde. - Mięsień na policzku poruszył się gwałtownie.

Jacques skinął głową i jęknął. Jamie zerknął na niego; oczy rozbłyły mu ciepłym światłem rozbawienia.

- Może nie uwierzysz, ale zostało nam jeszcze trochę ognistej wody. Mógłbyś spróbować.

Jacques podparł głowę jedną ręką, a drugą pomachał przecząco.

- Czy tym się ratowałeś? Jesteś żywy i zdrowy, a przecież to ty wypiełeś lwia część.

Jamie wyszczerzył zęby.

- Szkocka whisky to wynalazek moich przodków. Podejrzewam, że Szkoci mają mocniejsze głowy niż reszta świata.

I twardsze serca, dodał w myślach Jacques, przypominając sobie łkającą postać, która wczorajszego wieczoru wybiegła z zagrody.

- Ale muszę wyznać - ciągnął Jamie, podejmując pakowanie - że wstałem przed świtem i zażyłem leczniczej kąpieli w strumyku.

- *Sacre bleu!* Ależ to czysty lód!

Jamie roześmiał się pod nosem.

- Pobudza krążenie. A dziś czeka mnie ciężka podróż. Jacques westchnął.

- Szkoda, *mon ami*. Popełniasz błąd, co próbowałem ci wytłumaczyć wczoraj wieczorem.

Jamie znieruchomiał, odwrócony plecami. Trzymał w dłoniach pasek do ostrzenia brzytwy.

- Czasami ucieczka przed demonami nie jest dobrym wyjściem - przekonywał go dalej Jacques. - Demony lubią... ścigać swoje ofiary.

Jamie odwrócił się powoli.

- Tak właśnie to widzisz? Sądysz, że uciekam? - Błękitne oczy zlodowaciały.

Jacques spuścił wzrok i zauważył, że palce przyjaciela pobielały jak kreda. Podniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

- Nie będę cię okłamywać. *Oui*, tak właśnie sędzę, ponieważ... nie, nie pytaj mnie, przyjacielu, jeśli nie chcesz znać prawdy.

Jamie z niecierpliwością dał znak, by mówić dalej.

- Zgoda - mruknął Jacques - bo, jak pewnie wiesz, uważam cię za przyjaciela.

Powoli podniósł się z łóżka, na którym siedział, skrzywił

się i sięgnął po stojącą obok szklanę wody. Wychylił ją do dna i podjął watek.

- Zastanawiałem się nad tym, *mon ami*, i oto, do czego doszedłem: wstąpiłeś do wojska, gdzie odznaczyłeś się odwagą, i nigdy nie cofałeś się przed niebezpieczeństwem, ponieważ uważałeś, że w ten sposób unikniesz... lub uciekniesz, *oui*... przed demonem młodości. Ten demon ma dwie głowy. Pierwsza to zdrada, którą widziałeś w słabości ojca; drugi to twoje własne poczucie winy.

Jacques przerwał, czekając na zaprzeczenie, ale Jamie słuchał go w kamiennym milczeniu.

- Nie wiem, czy udało ci się przechytryć tę bestię, lecz sądzę, że nie. Kiedy odkryłeś, że Christmas ma narzeczonego, bestia wróciła. Była tu wczoraj, pomiędzy nami i butelką, i podniosła swój brzydki łeb.

Nalał sobie drugą szklanę wody, pociągnął łyk i mówił dalej:

- Ale to nieważne, bo teraz w twoim życiu pojawił się drugi demon, i on też ma dwie głowy. Oto zdrada przyszła do ciebie pod postacią żony, której nigdy nie kochałeś, która okazała się kimś innym, niż się wydawała... oraz jako wyrzut sumienia.

Spojrzał ostro na Jamiego. Przyjaciel odpowiedział tym samym.

- Powiedziałem ci, jak zostało poczęte to dziecko - warknął oskarżycielsko, choć Jacques nie wiedział, kogo właściwie dotyczy to oskarżenie: jego czy Jamiego. Prawdopodobnie obu. - Możesz sobie pogratulować. Ta śliczna alegoria pasuje jak ulał. Przyjmij wyrazy uznania.

Jacques zignorował sarkazm i ciągnął dalej, jakby nic się nie stało:

- Być może... ale zdaje mi się, że rzecz sięga głębiej.

- Czyżby! Cały zamieniam się w słuch!

Francuz pominął milczeniem także i to.

- Sądzę, że prawdziwe poczucie winy wynika z tego, że nie chciałeś tego dziecka tak, jak nie chciałeś Desiree. Bałeś się przywiązać w jakikolwiek...

- Oszalałeś, Beaumonde! Mówiłem ci, jaka była! Jak mógłbym się...

- Dobrze, nie można było jej pokochać. - Tutaj Jacques pochylił się naprzód; jego ciemne oczy błysnęły przenikliwie, lecz nie bez życzliwości. - Ale Christmas można. A jednak unikasz związku także i z tą kobietą, nawet uciekając się do monstrualnego kłamstwa, tak do ciebie niepodobnego, że aż absurdalnego! A wszystko tylko po to, żeby za tobą nie pobięła, kiedy zaczniesz uciekać!

Jamie stał nieruchomo, z pobielającymi wargami i sprzeciwem w oczach.

- Ach, *mon ami*, posłuchaj mnie, gdyż i ja wiem coś o demonach...

Jacques zaczął mówić o ojcu, którego nie znał, i wściekłości, kierującej nim przez większą część życia, aż do ucieczki, jaką wydała się mu banda Laffite'a.

- ...pod Baratarią byłem absolutnie pewien, że uciekłem moim demonom. Aż pewnej nocy, na krótko przed naszym spotkaniem... Było to podczas abordażu, ostatniego, w jakim brałem udział. Pewien zgrzybiały Francuz nie chciał się rozstać ze swymi drogocенnościami. Wyglądał na arystokratę, zupełnie tak, jak wyobrażałem sobie swego ojca. Cały w aksamitach i wspaniałych koronkach, każdy jego ruch, każde spojrzenie wyrażało pogardę... A więc, pod wpływem

straszego porywu wściekłości, zabiłem go. Był to jedyny człowiek, któremu odebrałem życie jako pirat Laffite'a. - Jacques westchnął. - Biedny bękart był zupełnie bezbronny.

Pokręcił głową ze smutkiem.

- Ale na tym nie kończą się tryumfy mojego demona, zanim zdobyłem się na odwagę, by stawić mu czoło. Tej samej nocy, kiedy musiałem wyjaśnić Jeanowi ten akt okrucieństwa, dowiedziałem się, że ów człowiek wcale nie był arystokratą, lecz aktorem! Nieszczęśnik lubił się nosić i zachowywać jak postacie, które grał... Nie był wielkim panem, lecz biedakiem jak ja... - W oczach Francuza pojawiło się spojrzenie pełne znużonej mądrości.

- Jak księżę, który zabił swego psa - mruknął Jamie.

Jacques pokręcił głową.

- Nie całkiem, gdyż, jak widzisz, znowu mogę się uśmiechać. Wydarzyło się to tego dnia, kiedy postanowiłem odejść. Wojna z Anglikami sprawiła, że odłożyłem swą decyzję. Byłem to winien Jeanowi. Ale spotkałem się z moją bestią i poznałem ją. Miałem dość ucieczki. Miałem dość także gniewu. Kiedy odkryłem, że omal mnie nie zniszczył, stracił swą moc.

W izbie zapadło ciężkie milczenie.

- Chcesz powiedzieć - odezwał się wreszcie Jamie - że moje... demony także mnie zniszczą?

Jacques wytrzymał jego spojrzenie.

- Tego się właśnie obawiam.

Jamie otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował i machnął ręką lekceważąco.

- Skąd pewność, że wypędziłeś z siebie demona? Może

przez cały czas czeka, przyczajony na twym ramieniu, aż zastrzelisz któregoś ze swoich psów?

Jacques uśmiechnął się i z przekonaniem pokręcił głową.

- Mylisz się, Jamie. Gdyby ciągle na mnie czyhał, nigdy nie zdołałbym pokochać Maire tak, jak ją kocham. Nigdy.

Jamie przyjrzał się mu w milczeniu, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł z chaty bez słowa.

Ale Jacques zdążył zauważyć rozpacz w jego oczach.

## 19

Lady Christina St. John krążyła niespokojnie po salonie. Betty, nowa pokojówka, dygnęła i została zignorowana. Wycofała się pospiesznie ze zdumieniem, malującym się na piegowatej twarzy. Christina zdawała sobie sprawę z własnego niebywałego braku opanowania, ale była zbyt zdenerwowana, by się tym przejmować. Trzymała list, który podała jej pokojówka. To on do pewnego stopnia był przyczyną jej irytacji.

Fakt, iż w dwa tygodnie po powrocie do Londynu musiała za pomocą wybiegów wykręcać się od różnych obowiązków, do których zmuszał ją Aaron, był już dość denerwujący. Wydawało się jej, że żałoba będzie wystarczającą wymówką, lecz narzeczony jakby tego nie zauważał. Na przykład, musieli zjawić się na balu u lady Melbourne, choć Christina nie mogła tańczyć. Nie chodzili do teatru, lecz została zmuszona do przyjęcia zaproszenia księcia regenta na kolację w Carlton House.

To już doprawdy przekroczyło wszelkie granice! Iść na bal, na którym nie można tańczyć? Raczyć się podczas żałoby kolacją w towarzystwie księcia w jego olśniewającym

pałacu? Mogła nosić jedynie czarne suknie bez ozdób! Nie wolno było się jej śmiać, a nawet zbyt często uśmiechać! To niestosowne!

Ale Aaron po prostu nie przyjmował tego do wiadomości. Teraz, gdy zyskał pewność, iż jej posag jest nietknięty, uznał, iż ma prawo rządzić jej życiem.

Zaczął zachowywać się jak mąż.

A ostatnim uchybieniem było to - ten nieznośny list, który przyszedł w porannej poczcie! Jego lordowska mość krytykował życie, jakie obecnie wiodła: „Niezameężna panna nie może mieszkać sama!”. Ale nie dość na tym. Poinformował ją, iż znalazł na to sposób. „A zatem poprosiłem kuzynkę mej matki, niezameężną damę w podeszłym wieku, by towarzyszyła ci aż do dnia ślubu. Lady Arabella Arbuthnot przybędzie do Londynu za parę dni wprost ze swej posiadłości w Bath. Powiadomię cię o dokładnej dacie i godzinie jej wizyty i będę jej towarzyszył aż do twego domu”.

Christina rzuciła bezgłośnie bardzo nieprzystojne przekleństwo i zgmiotła list w dłoni. A więc sprowadzi jej do domu jakąś zasuszoną starąjędzę, tak? Jeszcze zobaczymy! Aaron wiele się jeszcze nauczy na temat jej potulności. Na razie nie jest jej mężem! A nawet kiedy będzie, nie pozwoli się mu tak tyranizować.

Musi dać mu do zrozumienia, że nie jest bezmyślną idiotką, jakich pełno w salonach Londynu. Po pierwsze, rodzice nauczyli ją posługiwać się własnym rozumem. Po drugie, tygodnie spędzone w Szkocji pozwoliły jej posmakować większej niezależności, niż zaznała kiedykolwiek w życiu. Nawet te męczące domowe obowiązki miały w tym swój udział, a...



Christina zatrzymała się z gorzko-słodkim uśmiechem. Oczami wyobraźni ujrzała obraz siebie, tkwiącej do góry nogami w beczce na deszczówkę, Maire, która ją wyciąga, zanosząc się śmiechem, a potem... Maire...

Po raz setny od opuszczenia Szkocji przełknęła łzy. Maire, która zawsze była przy niej... Gdzie jest teraz? Czy już wyszła za Jacques' a? Najprawdopodobniej, choć przez dwa tygodnie żaden list nie zdąży dotrzeć z tak odległego miejsca...

Wiedziała także, że Maire i Jacques mieli pojechać do Irlandii, by przed wyjazdem do Ameryki odwiedzić rodzinę. Gdzie się teraz podziewali? Czy są szczęśliwi?

Po tym ostatnim pytaniu w oczach stanęły jej uparte łzy. Zamrugała, by je powstrzymać, i z wysiłkiem wróciła myślami do listu. Gniew jest w takich wypadkach o wiele bardziej bezpiecznym uczuciem. Można go traktować jak chroniący przed bólem mur.

Wzięła głęboki oddech, ostrożnie wypuściła powietrze i podeszła do intarsjowanego sekretarzyka. Jedno z podwójnych okien było uchylone; z zewnątrz dolatywał śpiew ptaka. Dziewczyna spojrzała na bujne jesienne listowie ogrodu; odwróciła oczy i usiadła. Zmięła list i rzuciła go do kosza na śmieci. Potem sięgnęła po pióro, stojące obok porcelanowego kałamarza.

Ale zanim zdążyła zanurzyć je w atramencie, zadumała się, zagryzając dolną wargę. Czy popełniała błąd, nie respektując życzenia Aarona? Może nie powinna unikać towarzystwa? Wiedziała, że mimo żałoby może przebywać wśród ludzi. A jednak to dobrowolne wygnanie wydawało się jej najbardziej odpowiednie. Lubiła samotność. Potrzebowała jej.

Czy naprawdę?

Podczas podróży do Anglii Aaron pedantycznie dbał o zachowanie pozorów. W gospodach zawsze brał pokój oddalony od jej lokum i stawiał Coatesa lub Tuppera na straży pod jej drzwiami. A kiedy nie mogli znaleźć noclegu, umyślnie zostawiał na noc służących, by nie narazić na szwank reputacji Christiny, pozbawionej przyzwoitki.

A jednak od czasu do czasu zauważała jego spojrzenie, nie całkiem niewinne. Aaron nie był dość wzniosły, by ustrzec się pożądanego. Wiedziała, że nie zawahałby się uszczknąć jej cnoty przed ślubem, gdyby w grę nie wchodziła także jego reputacja. Jeśliby się znalazł z nią sam na sam w domu tak, by nikt nie zdołał zarzucić mu niegodnego zachowania, z pewnością by to wykorzystał.

Dlatego starała się go unikać. Najdrobniejsza myśl o intymnych stosunkach z lordem sprawiała jej przykrość. A jednak miała świadomość, iż powinna przewyciężyć tę niechęć. Mieli się pobrać natychmiast po zakończeniu żałoby!

Przed oczami stanęła jej nieproszona wizja Jamiego MacIvera o oczach zasnutych mgłą namiętności. Christina jęknęła; słodki spazm namiętności przeszył jej podbrzusze. Po raz pierwszy zdarzyło się to za dnia, kiedy sądziła, iż jest wolna od prześladowających ją snów.

Gdyż sny o nim dręczyły ją niemal każdej nocy. Po raz pierwszy przydarzyło się jej to w wąskim łóżku córki wieśniaka, który udzielił im noclegu. Obudził ją skurcz żądy tak przeszywającej, że krzyknęła. Dziewczyna, która odstąpiła jej posłanie, spała obok ze swoją siostrą. Zbudziła się i spytała, czego panienka sobie życzy. Christina udała, że śpi, lecz przez wiele godzin leżała całkowicie przytomna, z twarzą zalaną łzami.

Och, Jamie, dlaczego nie mogę o tobie zapomnieć?

Ból zdrady był równie dotkliwy jak pierwszej nocy, kiedy uciekła z zagrody.

Jej spojrzenie mimo woli powędrowało ku ogrodowi. Słońce ogrzewało płatki późnych róż, które hodowała jej matka, a niebo było wyjątkowo czyste, wolne od sadzy z londyńskich kominów. Jasne i okrutne, pomyślała. Nie chciała tu być, nie chciała widzieć tych róż, tak boleśnie pięknych, skoro kobieta, która je sadziła, leży daleko stąd, obok wiejskiego kościółka. Nie chciała widzieć piękna, podczas gdy pewien mężczyzna, który nadal nachodził ją w snach, przechadzał się w objęciach żony.

Teraz prześladował ją także za dnia.

Niech to piekło pochłonie! Musi jakoś wyrzeć go z pamięci! I z serca!

Wysunęła bródkę w upartym geście i chwyciła arkusz papieru. Napisze do Aarona, powiadomi go, iż zgodzi się przyjąć parę zaproszeń. Oczywiście to oznaczało, że porzuci swą samotnię, lecz jeśli wypełni sobie dni i wieczory towarzystwem ludzi, być może zmęczenie uchroni ją przed zdradzieckimi rozmyślaniami.

Zamoczyła pióro w atramencie, uniosła je i przytrzymała kartkę, której omal nie uniosł nagły podmuch wiatru.

Zza okna napłynął zapach róż.

Krzyknęła i rzuciła pióro na podłogę.

W rezultacie nie wysłała listu do Aarona. Przez kilka trudnych dni i nocy zastanawiała się, czy powinna skapitulować, czy też nie. Poddanie się życzeniom narzeczonego

mogło znacznie uprościć ich stosunki. Ale trzy dni po przybyciu do domu w mieście wydarzyło się coś, co na zawsze wybiło jej z głowy takie myśli.

Było późne popołudnie; zamierzała właśnie wypić herbatę. Stara lady Arabella jeszcze nie zaszczyliła jej swoją obecnością, za co Christina gorąco dziękowała Opatrzności. Jednocześnie miała do niej pretensje za to, że nie podsunęła jej dostatecznie przekonywającej wymówki, mogącej uchronić ją przed wizytą niepożądanego gościa.

Siedziała w mniejszym salonie na parterze, kiedy z korytarza dobiegło ją jakieś poruszenie. Po chwili w drzwiach pojawił się Townsend, niewzruszony majordomus służący jej rodzinie od ponad dwunastu lat. Teraz jednak nie wyglądał na niewzruszonego.

- Dobry Boże, co się stało? - Odstawiła imbryk i spojrzała ze zgrozą na jego ubranie w nieładzie i dzikie spojrzenie.

Townsend z wyraźnym wysiłkiem przywołał na twarz minę pełną godności.

- Przyniesiono nadzwyczaj niezwykłą... niespotykaną... przesyłkę, milady.

Zerknął z obawą przez ramię i kurczowo przytrzymał oba skrzydła drzwi, jakby bronił komuś wejścia.

- Przesyłka? - Christina usiłowała przypomnieć sobie, czy czegoś nie zamówiła, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. Może z wyjątkiem artykułów domowego użytku, lecz te podlegały majordomusowi. Wątpiła, by Townsend chciał jej nimi zaprzętać głowę. Od przyjazdu do Londynu nie robiła żadnych zakupów. - Chcesz powiedzieć, że to prezent?

Townsend odwrócił się gwałtownie, gdyż za jego plecami

rozległy się nowe hałasy. Kiedy spojrział na Christine, znowu miał to dzikie spojrzenie.

- Tak... tak by można przypuszczać, milady.

Z korytarza dobiegł męski głos.

- Na litość, panie, wdzięczni będziemy, jeśli się żdziebko pospieszycie. Ten tutaj dżentelmen to młodzik i brak mu cierpliwości, pojmujecie?

Christina poderwała się, słysząc irlandzki akcent, na dźwięk którego natychmiast pomyślała o Maire. Ale po chwili zapomniała o wszystkim, gdyż za drzwiami rozległo się głośne szczekanie.

- O'Kelly? - zawołała i podbiegła do wyjścia.

Odpowiedziało jej radosne szczeknięcie; Townsend okazał na tyle przytomności umysłu, że odskoczył. Drzwi otworzyły się z rozmachem, a ku dziewczynie skoczyło ogromne kudłate stworzenie.

- O'Kelly! O'Kelly, och, to naprawdę ty! - W głosie Christiny dźwięczał śmiech i łzy. Schyliła się i uścisnęła wielkiego wilczura. Słowo „wielki” doskonale do niego pasowało. Pies, który tak przyjaźnie lizał ją po policzku, był przy niej ogromny.

A kiedy Townsend zbliżył się do nich z wahaniem, okazało się, że wilczur jest wielki również przy nim!

- Wszystko w porządku - zapewniła Christina major-domusa. - Ten pies jest niebywale łagodny.

Townsend, który ostentacyjnie strzepnął sobie z rękawa psią sierść, miał minę wskazującą jednoznacznie, iż nie czuje się przekonany. Skłonił głowę z rewerencją i odstepił na bok, dając przejście gościowi.

- Tysiąckrotnie przepraszam za takie najście, milady,

lecz jak tylko pies poczuł wasz zapach, nie można go było wstrzymać.

Christina przyjrzała się ciekawie mężczyźnie, który złożył jej wdzięczny ukłon. Zawód, jakiego doznała, przekonawszy się, iż psa nie przyprowadziła Maire ani Jacques, ustąpił miejsca otwartej ciekawości. Nieznajomy był wysoki i kościsty. Miał bujną siwą czuprynę i także brodę. Zdażyła zauważyć jeszcze wesołe błękitne oczy w opalonej twarzy, po czym uderzył ją poważny czarny strój; jej gość był księdzem!

- Ojciec Liam Kileen, milady, do usług. - Uśmiechnął się i podał jej zapieczętowany list. - Choć w zupełności wystarczy „ojciec Liam”. Maire powiedziała, że panią nie dba o formalności.

- Maire! - wykrzyknęła, rozpoznając znajomy charakter pisma na kopercie.

- Moja kuzynka - dodał ksiądz.

Christina otworzyła szeroko oczy.

- Kuzynka? Maire jest krewną ojca?

- A jakże. - Wesołe oczy zamigotały. - Jestem jej starszym kuzynem... co, jak się zdaje, wyjaśniła w liście.

Christina zerknęła na kopertę, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie będzie mogła przeczytać wieści od przyjaciółki, lecz najpierw musiała spełnić obowiązki dobrej gospodyni.

- Właśnie siadałam do herbaty. Czy ojciec zechce mi towarzyszyć?

Ksiądz przyjął jej zaproszenie z uśmiechem. Usiedli na sofie; O'Kelly z zadowoleniem legł u stóp swojej pani.

Ojciec Liam zauważył trzecie przelotne spojrzenie, które rzuciła na trzymaną w dłoni kopertę. Roześmiał się cicho.

- Dalejże, dziecko... to znaczy, milady. Ja też bym się nie mógł doczekać.

Christina rozpromieniła się z wdzięczności.

- Dziękuję, ojcze... i proszę mówić do mnie „dziecko”. To mi przypomina twoją kuzynkę.

Kiedy Townsend wrócił z tacą pełną kanapek oraz drugą filiżanką, zdążyła zapoznać się z treścią długiego, kilkakrotnie złożonego listu. Ojciec Liam czekał cierpliwie. Christina przerwała lekturę tylko raz, kiedy zauważyła ze śmiechem:

- Miał ojciec rację, rzeczywiście jest ojciec starszym kuzynem.

Teraz, dotarłszy do końca, aż kipiała od nowych komentarzy i pytań.

- Więc to ojciec dał im ślub?

- Ano, na Inishowen. To półwysep na północy.

- Ale Maire nigdy nie wspominała... Jak znalazła ojca? Macie tam kościół?

- Ach, dziecko, gdybyż to było możliwe! Katolickie kościoły są tak rzadko spotykane jak węże. A te, jak może ci wiadomo, nasz dobry stary święty Patryk wygnał z Erinu setki lat temu. Prawdę powiedziawszy, przez większość życia tkwiłem we Francji, gdzie do niedawna prowadził sierociniec, lecz kłopoty... - Pokręcił głową ze smutkiem i pociągnął łyk herbaty.

- Kłopoty?

- Wojna, dziecko. Szaleństwo. To przez nią mamy tak wiele sierot. Rok temu uznaliśmy, że te biedne szkraby nie są już bezpieczne na kontynencie. A więc wraz z trojgiem pomocników - dwiema zakonnicami i młodym księdzem

(nawiasem mówiąc, wszyscy to Irlandczycy) - zdołałem wyciągnąć dzieci z kraju...

- Ojciec je przesmuglował!

Błękitne oczy zamigotały łobuzersko.

- W rzeczy samej. Bystra z ciebie osóbką. Odkryłaś to równie szybko jak mąż Maire, a nie muszę chyba tłumaczyć, dlaczego.

Christina zachichotała, przypomniawszy sobie dzień, w którym Maire poinformowała ją niechętnie o przeszłości Jacques'a.

- Ale proszę opowiedzieć, co stało się z sierotami.

- Każde z nas przywiozło do swoich krewnych małą gromadkę dzieci. Ja dostarczyłem je dwóm siostram Maire i ich rodzinom. Na Inishowen, pojmujesz.

Christina skinęła głową.

- Więc Maire wiedziała, że znajdzie tam ojca i...

- Miała taką nadzieję i szczęście jej dopisało, choć mało brakowało, byśmy się rozminęli. Za dwa dni miałem wyjechać, lecz te dwa dni wystarczyły, bym udzielił ślubu mej ulubionej kuzynce.

- Ale dlaczego ojciec wyjechał, skoro...

- Bałem się, że o to zapytasz. - Spojrzał na O'Kelly'ego, rozciągniętego u jej stóp. - Pewnie ci nie wystarczy, jeśli powiem, że przyjechałem, by przekazać ci prezent ślubny?

- Nie, ponieważ powiedział ojciec, że planował wyjechać przed ich... prezent?

Ojciec Liam uśmiechnął się szeroko na widok jej zdumienia.

- Maire wiedziała, że mały bardzo się do ciebie przy-



wiązał, a Jacques przysięgał, że za tobą tęskni. A rozumiem, że i ty zamierzasz wyjść za mąż?

Christina obdarzyła psa pieczęcią i zerknęła na księdza. W jego głosie brzmiała dziwna nuta. Czyżby Maire mu powiedziała?

Ojciec Liam odwzajemnił jej spojrzenie; jego oczy miały wyraz, który w niczym nie rozproszył jej podejrzeń. Poczowała się nad wyraz niezręcznie. Skierowała rozmowę na bezpieczniejszy temat.

- Nie powiedział ojciec, dlaczego zamierzał wyjechać.

- Na Boga, cóż za nieznośne dziewczę! Dobrze, powiem, lecz musisz przyrzec, że zachowasz to dla siebie, dziecko.

Pochylił się ku niej konspiracyjnie. Christina, z oczami pełnymi niepokonanej ciekawości, niezwłocznie złożyła przysięgę milczenia.

- Przywiozę inne sieroty - wyznał ksiądz zniżonym głosem.

- Inne...

- Cśśś! Nie tak głośno, dziecko.

- Inne sieroty! - zdumiała się scenicznym szeptem. - Ale wojna już się skończyła.

- Ano, lecz zniszczenia nie znikły. Mój biskup i ja pozostawaliśmy w kontakcie i zgodziliśmy się, iż pognębiona wojną Europa nie jest najlepszym miejscem dla tych dzieci.

- Ale... - Christina wciąż pamiętała opowieści Maire o biedzie panującej w Irlandii. - Irlandia?

Ksiądz pokręcił głową.

- Ameryka - szepnął tajemniczo.

- Ameryka? Ależ koszta...

- Mamy dobroczyńców, bogatych Amerykanów. - Rzucił

jej przebiegłe spojrzenie. - A nawet pewną niedawno wzbogaconą Irlandkę oraz jej męża.

Christina uśmiechnęła się z rozrzewnieniem. Bardzo to podobne do Maire, by oddać część skarbu na potrzeby innych.

- Głównym problemem - ciągnął ksiądz - jest wyrwanie z Francji tych biednych dzieci. Rządy, zwłaszcza tak świeże i niestabilne jak rząd Talleyranda i tego grubego Burbona, lubią otaczać wszystko stertami idiotyzmów.

- Więc znowu je ksiądz wykradnie?

Ojciec Liam rozpromienił się z dumy.

- Ach, dziecko, czyżem nie mówił, żeś bardzo pojętna?

I ego wieczoru Christina doszła do wniosku, iż bardzo wiele zawdzięcza ojcu Liamowi. W liście Maire obiecała, że oboje złożą jej wizytę przed odjazdem do Ameryki. Wspaniałe wieści, w samej rzeczy!

Ale po odejściu księdza czekała ją jeszcze jedna niespodzianka. W pospiesznie nagryzmołonym liściku Aaron zawiadamiał, iż kuzynka przybyła, a on przywiezie ją za parę godzin do domu Christiny.

Dziewczyna przekłęta w duchu swój los i odpowiedziała zwięzłym zdaniem, w którym informowała Aarona, iż przygotowała już pokój gościnny.

Ale w końcu okazało się, iż jej trud był daremny. Lady Arabella Arbuthnot spojrzała na O'Kelly'ego i dostała ataku kichania tak gwałtownego, iż Christina zaczęła się obawiać o jej życie. Aaron zaproponował, iż odeśle wilczura do stajni (czym nie zyskał sobie życzliwości narzeczonej), lecz lady

Arabella upewniła go, iż to na nic, gdyż stan zdrowia nie pozwala jej nawet przebywać w pokoju, w którym niegdyś znajdował się pies. Jeden włoszek z jego sierści mógł doprowadzić ją do nieskończonych cierpień. Kaszląc i pociągając nosem, złożyła Christinie wyrazy ubolewania i wyraziła życzenie udania się do domu markiza.

Christina uśmiechnęła się i pogłaskała O'Kelly'ego po głowie. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności. Aaron, oczywiście, był bardzo niezadowolony, co ucieszyło ją jeszcze bardziej. Chciał odesłać O'Kelly'ego do stajni, co?

Zachichotała z uciechą i zadzwoniła na Betty, by pomogła jej przy toalecie. Nagle spoważniała. Co będzie, jeśli Aaron sprzeciwi się obecności wilczura w domu? O'Kelly został wychowany wśród ludzi; okrucieństwem byłoby wygnąć go na podwórze. Co więcej, bardzo się do niego przywiązała; nie spodziewała się nawet, jak bardzo, dopóki ojciec Liam go nie przyprowadził. Aaron będzie musiał po prostu pogodzić się z jego obecnością, i tyle!

Odsunęła od siebie wątpliwości i myśli o narzeczonym. Zajęta przygotowaniem do snu, zaczęła się zastanawiać nad ojcem Liamem. Czuła do niego ogromną sympatię, choć kiedy zaproponowała mu datek: odparł z kamienną miną: „No, takem i liczył, że się domyślisz, dziecko!”

Zamknęła oczy. Betty rozpuściła jej włosy i zaczęła je czesać powolnymi, kojącymi ruchami. Wizyta księdza była najmiłym wydarzeniem od chwili powrotu do Londynu. Był wesoły i inteligentny; rozśmieszył ją po raz pierwszy od...

Nie mogła dokończyć tej myśli. Przypomniała sobie

pożegnanie z ojcem Liamem, równie niepokojące. Nagryzmolił adres, pod który jej prawnicy mieli wysłać czek z datkiem, wcisnął jej kartkę w dłoń i szepnął:

- Wyjeżdżam co najmniej na dwa tygodnie, dziecko. Ale jeśli będzie ci trzeba pomocy, starczy wysłać słówko na ten adres. Jeśli nie zdołam przyjechać, przyślą kogoś i będzie to przyjaciel.

Towarzystwo wilczura było dla Christiny prawdziwym błogosławieństwem. Wiedząc, iż młody pies potrzebuje ruchu, nabrała zwyczaju wczesnego wstawania i zażywania konnych przejażdżek w Hyde Parku. O'Kelly biegł tuż obok jej klaczy, a za szczęśliwą grupą podążał Tuppers, służący jako przyzwoitka. Właściwie Christina nie potrzebowała się martwić o konwenanse, gdyż o tak wczesnej godzinie nie mogła spotkać nikogo z towarzystwa. Wszyscy dobrze urodzeni bawili się do późnej nocy i pojawiali się w parku dopiero po południu. Samotne przejażdżki były balsamem dla jej duszy, udręczonej przez bezsenne noce.

Wspomnienie Jamiego ciągle nie dawało jej spokoju.

Nie pojmowała, dlaczego nie może o nim zapomnieć. Nie kochała go. Poczucie zdrady zdławiło wszelkie uczucie. Oczywiście, słyszała, iż miłość i nienawiść to uczucia pokrewne, ale nie mogła nawet powiedzieć, że go nienawidzi. Może na początku, kiedy ból był świeży. Potem popadła w odrętwienie. Widać jej rozsądna natura, którą zawdzięczała

wpływowi Maire, otoczyła umysł ochronnym murem. Czyż podobne odrętwienie nie ogarnęło jej na wieść o śmierci rodziców? Więc dlaczego nie potrafiła zapomnieć o tym człowieku? Zaczęło ją to drażnić. Nie, nie powinna o tym myśleć. Czas uleczy wszystkie rany. Musi tylko zachować cierpliwość.

Ale wreszcie nadszedł poranek, kiedy musiała zacząć rozmyślać na nowo. Obudziła się tuż po wschodzie słońca, co stało się jej zwyczajem ze względu na poranne przejażdżki. Sięgnęła po owoce, leżące na paterze obok łóżka. Stanowiły jej śniadanie, kiedy nie chciała budzić Betty. Szybko uporała się ze śliwką i rzuciła jabłko O'Kelly'emu, który zajmował swoje miejsce przed kominkiem. Wilczur uwielbiał jabłka i pożerał je z apetytem.

Christina odrzuciła kołdrę i spuściła nogi na podłogę, kiedy nagle ogarnęła ją fala mdłości. Zjawiła się bez uprzedzenia; dziewczyna ledwie zdołała dopaść miednicy. Pies zaskomlił cicho, jakby chciał wiedzieć, co się dzieje. Zaciśnięła powieki, czując nadchodzący spazm.

Po paru minutach poczuła się nieco pewniej. Zmoczyła ręcznik w wodzie z dzbanka i otarła twarz. Odetchnęła głęboko.

Wzięła kubek do mycia zębów, wypłukała usta i odważyła się wypić parę łyków wody. Dobrze samopoczucie powróciło, jakby nic się nie stało.

Może zjadła zepsutą śliwkę? Przyjrzała się reszcie owoców i odrzuciła ten pomysł. Wyglądały na dorodne i zdrowe.

Więc co się stało? Może łapie ją jakaś choroba? Ale dlaczego teraz czuje się doskonale?

Wzruszyła ramionami, postanowiła zapomnieć o wszystkim i ruszyła do garderoby. Jak zwykle miała się udać na przejażdżkę.

Dopiero kiedy sięgnęła po czystą koszulę, uderzyła ją pewna myśl. Pomiedzy koronkowymi fatałaszkami leżały kawałki flaneli, których używała podczas comiesięcznych przypadłości.

Nie miała ich od powrotu ze Szkocji.

A od tego czasu minęły dwa miesiące.

Znieruchomiała ze zgrozy, przejęta jedną myślą: była brzemienna.

Nosiła dziecko Jamiego MacIvera! Poczowała zaskakujący skurcz radości. Trwał przez ułamek sekundy, lecz był tak silny, że zatoczyła się i upadła na krzesło.

Mogła tak zareagować tylko w jednym przypadku i musiała przyjąć to do wiadomości: nadal kochała tego człowieka.

Łzy napłynęły jej do oczu. Zagryzła gniewnie wargę i przeklęła się za głupotę. Kocha żonatego mężczyznę! Najbardziej beznadziejny rodzaj miłości. I głupi! Literatura całego świata opisuje takie nieszczęsne idiotki i idiotów. Pomyślała o Tristanie, który pokochał zameżną Izoldę, i zachichotała dziko. Przynajmniej Izolda odwzajemniła jego miłość! Jamie MacIver zniszczył ją, i to wszystko. A ona nosi w łonie jego dziecko.

Zakryła usta dłonią, dławiąc histerię. Czuła, że za chwilę ogarnie ją panika, i rozpaczliwie rozejrzała się za czymś, co mogłoby ją zająć. Jej wzrok padł na zieloną aksamitną amazonkę. Zaczerpnęła głęboki oddech, zmusiła się do spokoju i zaczęła się ubierać. Za chwilę się uspokoi i zacznie myśleć. Musi znaleźć jakieś wyjście!

Rzeczywiście, stopniowo odzyskała jasność umysłu. Wzdając, iż jego pani wkłada suknię, O'Kelly zerwał się i radośnie wybiegł na dwór. Ale dopiero kiedy wpadli kłusem do parku, Christina zdołała sprecyzować plan postępowania.

Nie podobał się jej, lecz musiała go zaakceptować dla dobra rosnącego w niej dziecka. Musi być rozsądna... i silna.

Nie widziała innego wyjścia. Musiała wmówić Aaronowi, że to jego dziecko. Na samą myśl o tym do ust napływała jej gorycz. Jeszcze nigdy nie planowała tak niegodnej rzeczy. Ale kiedy rozważyła inne możliwości, okazało się, iż jest to jedyne wyjście. Gdyby urodziła dziecko jako panna, zostałaby wyrzucona razem z nim poza nawias społeczności.

Jeśli Aaron ma uwierzyć, iż dziecko jest jego, musi wkrótce zawitać w jej łożu... i to bardzo szybko. Nawet w sprzyjających okolicznościach z trudem wyjaśni mu urodzenie dziecka w siódmym miesiącu, ale z tym upora się później. Mogła dysponować swoim majątkiem, a to oznaczało, że w razie potrzeby zdoła przekupić lekarzy i akuszerki. Ta myśl również pozostawiła smak goryczy, lecz dobro dziecka liczyło się ponad wszystko.

A zatem powinna uwieść Aarona... Omal nie wybuchnęła śmiechem. Uwieść? Co za głupie określenie tego, co musiała zrobić! Raczej: oddać się. O wiele bardziej odpowiednie. Ale, dobry Boże, jak ma znieść...

Przezań! - rozkazała sobie brutalnie. Tak samo, jak będziesz go znosić w małżeńskim łożu, ty głupia niedorajdo! Odważnie!

Skierowała klacz ku domowi. Lord i lady Pomfrey przysłali jej zaproszenie na piątkowe przyjęcie. Pojawi się na



nim u boku Aarona. Potem zaprosi go na wieczorną przechadzkę w ogrodach Vauxhall i pozwoli się zaprowadzić w ciemną alejkę...

Ale jak się okazało, Christina nie przyjęła zaproszenia. Kiedy wróciła do domu, Townsend powiadomił ją, iż ma gości.

- Niemożliwe - mruknęła z zaciekawieniem. Pora nadal była nadzwyczaj wczesna, przed domem zaś nie stał żaden powóz.

- Pozwoliłem sobie zaprosić ich do błękitnego salonu, milady. - Na zwykle wyzutej z emocji twarzy majordomusa majaczył cień uśmiechu. Christina poczuła się jeszcze bardziej zaintrygowana.

- Na miłość boską, Townsend, nie trzymaj mnie w niepewności! Kto...

Nie skończyła. Drzwi salonu otworzyły się, a znajomy, kochany głos zawołał:

- Christmas!

- Maire! - Dziewczyna wyciągnęła ramiona ku ciemnowłosej postaci; ta rzuciła się ku niej biegiem. Objęły się wśród śmiechu i łez.

O'Kelly rozpoznał Maire i zaczął piszczeć niczym szczeniakiem, dopraszając się pieszczot.

- Chodź tu, ty przerośnięty podrzutku, zostaw panie w spokoju! - rozległ się męski głos.

- Jacques! - Christina obróciła się ku niemu, nie wypuszczając Maire z objęć. - Och, jakże za wami tęskniłam!

Padli sobie w ramiona, a wilczur obskakiwał ich i skomlał,

równie szczęśliwy jak oni. Christina posłała Townsenda po herbatę i zaprowadziła Maire i Jacques'a do salonu.

- A zatem - zaczęła, kiedy usiedli przy kominku - pobraliście się w Irlandii?

Maire skinęła głową. Wyglądała tak młodo i promienie, jak jeszcze nigdy.

- Rozumiem, że Liam złożył ci wizytę?

- Tak. W przeciwnym razie nie wiedziałabym o waszym ślubie.

- Wysłałam drugi list, ale wiedziałam, że Liam jest szybszy niż poczta.

Christina roześmiała się radośnie, opowiadając o księdzu. Townsend powrócił z herbatą. Dziewczyna zajęła się nalewaniem jej gościom, a oni poinformowali ją o szczegółach dotyczących podróży.

- A kiedy pojedziecie do Ameryki? - spytała, kiedy skończyli. - Mam nadzieję, że zechcecie spędzić w Londynie trochę czasu, zanim...

- Ach, dziecko! Ciężko nam to rzec, lecz dziś wieczorem opuszczamy Liverpool.

- Tak szybko?

- *Oui, ma chere*. Wysłaliśmy już psy na statek, a jutro odpływamy. Podróż do Londynu trwała dłużej, niż sądziliśmy. - Jacques zrobił bezradny gest.

Christina pokiwała głową.

- Więc musimy wykorzystać czas, jaki nam został - oznajmiła, starając się zachować ożywiony ton.

Przez chwilę rozmawiali o psach, lecz Maire dostrzegła smutek w oczach swej podopiecznej i domyśliła się, jak wielki sprawili jej zawód. Spojrzała znacząco na męża,

a ten, jakby na umówiony znak, przeprosił obie panie, twierdząc, iż wybierze się na spacer z O'Kellym.

- Chciałaś porozmawiać ze mną na osobności? - spytała Christina.

- Ach, jesteś bystra, bez wątpienia!

- To samo powiedział twój kuzyn. A skoro mówimy o ojcu Liamie, co właściwie powiedziałaś mu o...

- Dziecko, on nie ma żony - przerwała jej Maire cichym głosem.

Christina otworzyła szeroko oczy.

- Ależ oczywiście... Wszyscy wiedzą, że katolicycy księża...

- Mówię o Jamiem MacIverze. Skłamał, kiedy powiedział, że jest żonaty. To nieprawda. Jest wdowcem.

W salonie zapadła cisza, przerywana tylko tykaniem mahoniowego zegara. Christina wpatrywała się w Maire szeroko otwartymi oczami. Wreszcie odezwała się bezbarwnym szeptem.

- Okłamał mnie...

- Ach! Nie powinnam tego mówić tak wprost. Nie...

- Dlaczego? Lepsze to niż wyrachowane kłamstwo!

W szarych oczach pojawił się ostry ból, natychmiast ukryty za opuszczonymi rzęsami. Christina zajęła się starannym nalewaniem herbaty.

- *Macushla...* - Maire przytrzymała jej dłoń, zmusiła do odstawienia imbryka. Ujęła obie jej ręce, lodowato zimne.

- Posłuchaj mnie, dziewczyno... proszę!

Gdyby mówił do niej ktokolwiek inny, Christina kazałaby mu zabierać się do wszystkich diabłów. Teraz jedynie skinęła głową. Rozpaczliwie starała się nie poddać łzom.

- Chyba wiem, jak się czujesz, dziecko. I masz wszelkie

prawo do gorzkich uczuć wobec... tego, co uczynił ten człowiek. Ale sądzę też, że powinnaś wiedzieć, co go do tego skłoniło. Wysłuchasz mnie?

Dziewczyna po raz kolejny skinęła głową, sztywno i mechanicznie.

Maire westchnęła.

- Nie wiem, skąd zacząć. Opowiedział o tym Jacques'owi, nie mnie, więc mogę coś popłatać. Jacques nie wiedział, czy możemy ci o tym powiedzieć, czy to nie zdrada zaufania. Wreszcie umówiliśmy się, że zniknie na chwilę, żeby nie mieć udziału w tym wszystkim...

Opisała naturę małżeństwa Jamiego MacIvera oraz jego koniec. Nie szczędziła szczegółów, które znała. Nie oskarżała Jamiego ani go nie broniła. Chciała, by fakty mówiły same za siebie. Ona jest taka bystra, pomyślała. Niech sama wyciągnie wnioski. I módlmy się, żeby były właściwe.

- A zatem - odezwała się Christina nieswoim głosem - upewnij się, czy dobrze zrozumiałam. Przekonawszy mnie, iż łączy nas jakieś uczucie, Jamie MacIver zapragnął się wycofać, nie narażając mnie na zbyt ni ból... czy też kłopoty. Dlatego powiedział, że jest żonaty, choć dopiero wówczas, gdy okazałam się na tyle bezczelna, by zaproponować mu małżeństwo. Ach, rzeczywiście, zaczynam rozumieć, o ileż zaoszczędził mi owych kłopotów. A przecież...

- Christino...

- ...z pewnością strawił wiele bezsennych godzin na obmyślaniu tak szlachetnego rozwiązania.

- Christino, nie możesz...

Ale dziewczyna jakby jej nie słyszała.

- Pan MacIver jest człowiekiem szlachetnego charakteru,

prawda? Jest tak szlachetny, iż uratował mnie przed owymi straszliwymi kłopotami dzięki wspaniałemu rozwiązaniu: jednym kłamstwem. Okazuje się, iż szlachetny dżentelmen z Ameryki nie jest jednak żonaty i wcale mu to nie grozi! Przynajmniej z mojej strony. Czy dobrze zrozumiałam? - zakończyła ze złowrogim błyskiem w oku.

Maire przyglądała się siedzącej naprzeciw niej młodej kobiecie, dziecku, które wychowała jak własne - i nie poznawała jej. Christina wydawała się dziwnie krucha, jakby jedno dotknięcie mogło rozbić ją na tysiąc kawałeczków. Stała się odległa, niedosiężna.

A jednak Maire musiała uczynić tę próbę.

- Dziecko... wiem, że cię zranił, ale... och! Jakie to trudne!

- Skoro aż tak trudne - rzuciła Christina cierpko - po cóż ciągnąć temat? Obawiam się, że wyczerpałyśmy go do szczętu. Cukier?

Maire westchnęła ciężko.

- Nadal go kochasz?

Dziewczyna znieruchomiała; potem ostrożnie włożyła kostkę cukru do filiżanki Maire.

- Jeśli **dobrze** pamiętam, wrzucasz jedną kostkę. Proszę. - Podała jej herbatę.

- Zadałam ci pytanie, dziecko.

- Rzeczywiście. Moja odpowiedź brzmi następująco. - Pociągnęła łyk napoju. - To nie ma znaczenia.

- O, ma! - Maire podniosła głos. - Ponieważ jeśli go kochasz, może zechcesz ujrzeć jego postępek w innym świetle. Możesz ujrzeć Jamiego MacIvera jako człowieka tak zranionego zdradą ludzi, którym niegdyś zaufał, iż na myśl o nowym związku jest przerażony na śmierć. Na śmierć, Christino!

Dziewczyna pobladła, lecz nie odezwała się ani słowem. Maire ciągnęła:

- A jeśli ujrzysz go takim i nie przestaniesz go kochać, twoja miłość ma szansę. Powiadam, idź to niego, *macushla*. Powiedz mu...

- Mam iść do niego? Dokąd?

Maire westchnęła.

- On... jest tutaj, w Londynie. Jacques namówił go, by się z nami spotkał, zanim wszyscy troje odpłyniemy do Ameryki, choć on zabiera się innym statkiem.

Twarz Christiny pobladła jeszcze bardziej. Jamie jest w Londynie. Och, to byłoby takie łatwe! Pobiec do niego, opowiedzieć o dziecku i...

Przed frontowymi drzwiami rozległy się jakieś hałasy; po chwili z zewnątrz dobiegło szczekanie O'Kelly'ego. Maire wstała gwałtownie, rzuciła Christinie nerwowe spojrzenie i wyjrzała przez gęste firanki okien od ulicy.

- Co się stało? - spytała dziewczyna.

Maire wzięła głęboki oddech. Stało się. Ale czy się uda?

- To Jacques. Jamie czeka na zewnątrz w powozie.

- Jamie!

- Nie obawiaj się, dziecko. Nie ma pojęcia, czyj to dom. Sądzi, że wyświadcza nam uprzejmość, gdyż poprosiliśmy go, by nas podwiózł do miejsca, z którego dyliżans zabierze nas do Liverpoolu.

Na policzki dziewczyny wystąpiły dwie jaskrawe plamy.

- Czy aż tak cię zdeprawował? Nigdy nie sądziłam, że będziesz kłamać!

- Kłamać?

- Pies! Spróbuj powiedzieć, że Jamie MacIver nie zorien-

tuje się, przed czym domem stoi, kiedy zobaczy O'Kelly'ego w towarzystwie Jacques'a!

Maire otworzyła usta.

- Ach... Nie sądziłam... to jest, nie wiedzieliśmy, że pies...

- Daruj sobie. - Christina wyszła z pokoju. Townsend otworzył przed nią podwójne drzwi.

Maire pobiegła za nią pospiesznie.

- Proszę, uwierz mi, dziecko! Nie myśleliśmy...

- W tym właśnie problem, Maire. Nie myśleliście! Ale ja poświęciłam wiele myśli tej okropnej sytuacji i wiesz, do jakich wniosków doszłam?

Nie czekając na odpowiedź, skinęła na Townsenda; ten przyniósł pelisę Maire. Następnie poszedł otworzyć drzwi, za którymi O'Kelly popiskiwał nagłaco.

Christina odwróciła się do Irlandki.

- Teraz chyba się już z tobą pożegnam. Właśnie do tego doszłam. - Szare oczy lśniły podejrzeniem, lecz głos dziewczyny pozostał spokojny.

- Ale nie w gniewie, dziecko, błagam. I nie myśl, że cię zdradziłam. Chciałam jedynie, byś mogła wybrać. Mogłabyś się z nim spotkać, gdybyś tylko zechciała. Jeśli nie, nikt nie może tego zmienić. Czy potępisz mnie za to, że dobrze ci życzę?

Christina spojrzała w szczerze ciemne oczy i poczuła, że Maire mówi prawdę. Zatrzepotała powiekami, by odpędzić łzy, i objęła gorąco przyjaciółkę.

- Och, Maire, ty kochany głuptyś! Nigdy tak nie mów! Kocham cię!

Maire odwzajemniła uścisk.

- Ja też cię kocham, *macushla*.

O'Kelly wpadł do domu w podskokach. Jacques szedł tuż

za nim. Po chwili wszyscy obejmowali się już i żegnali. Ale kiedy Townsend otworzył drzwi, Christina zrozumiała, że musi podjąć decyzję. Czy odwróci się na pięcie i nawet nie spojrzy na mężczyznę w powozie? Tak byłoby najłatwiej, to pewne. Z drugiej strony może to jej ostatnia szansa na...

W tej samej chwili O'Kelly zaskomlił i pobiegł za Maire i Jacques'em.

- Wracaj! - Christina wybiegła za nim bez namysłu. Złapała go tuż przy schodach, gdzie zatrzymał się na jej głos.

- Dobry piesek - mruknęła z roztargnieniem. Jej spojrzenie samo uciekło ku mężczyźnie stojącemu przy drzwiach wynajętego powozu. I już przy nim pozostało.

Wydawał się starszy. Zmęczony. Zgarbiony mimo wyprostowanej wojskowej postawy. A strój, nieskazitelny i bez zarzutu, od idealnie dopasowanych rękawów wspaniałego błękitnego płaszcza po lśniące buty, jakoś do niego nie pasował. W porównaniu ze zwykłymi koszulami i skórzanymi spodniami, które nosił w Szkocji, to ubranie wydawało się całkiem... inne. Nie takiego go zapamiętała.

Odwrócił się do woźnicy i powiedział coś, czego nie usłyszała. Wykorzystała tę chwilę, by wbić sobie jego wygląd w pamięć. Oto człowiek, którego dziecko nosiła w łonie. Oto człowiek, który podarował jej parę chwil słodkiej, bezrozumnej namiętności, niepodobnej do niczego, co kiedykolwiek zaznała. Oto człowiek, którego cień będzie jej towarzyszył do ostatnich dni - człowiek, który ją zdradził.

W tej samej chwili odwrócił się, zobaczył ją i zamarł. Na pełną napięcia sekundę ich oczy się spotkały; potem Christina odwróciła się, zawołała O'Kelly'ego i weszła do domu.



## 21

Jamie MacIver stał u drzwi powozu i patrzył za dyliżansem, który wiózł Beaumode'ów do Liverpoolu. Miał nadzieję, iż nie czują się winni. Tłumaczyli mu się z takim zażenowaniem, że poczuł się nieswojo. Ale powinni wiedzieć, że ich wysiłek pójdzie na marne. Christina nie miała mu już nic do powiedzenia.

A jeśli nie wierzyli w to przed wizytą, teraz byli już z pewnością całkowicie przekonani. Drzwi, które zamknęły się bezszelestnie za obleczoną w czern postaćią oraz psem, były wymownym świadectwem stanu rzeczy.

Pewnie go znienawidziła. Jacques nie powiedział mu tego, a on nie miał serca dręczyć go pytaniami. Powinni jej opowiedzieć o jego życiu. Zresztą, to nie miało znaczenia. Niezależnie od tego, za kogo go miała, cudzołożnika czy kłamcę, czy też obu, miała powody czuć do niego nienawiść.

Tak będzie lepiej. Łatwiej o nim zapomni i zacznie żyć własnym życiem. Skoro ma wyjść za tego arystokratę...

Znowu przeszył go ból; zdławił przekleństwo. Woźnica obejrzał się w jego stronę, ale Jamie go nie dostrzegął.

Jest jeszcze piękniejsza, niż zapamiętał. Ogniste włosy płonęły dobrze mu znanym płomieniem. Jej drobna twarz w kształcie serca była blada na tle żałobnej sukni. Właściwie... amazonki. Czy narzeczony zabiera ją na konne przejażdżki?

Na wspomnienie człowieka, którego miała poślubić, zęby same mu się zacisnęły. Nie zerwała zaręczyn. Sprawdził to u Carruthersa i Higginsa. Oczywiście, nie miał powodu spodziewać się, że będzie inaczej.

Nie chciał myśleć, że Christmas będzie mieszkać w tym mieście, tak jej obcym. Nie mógł, skoro w jego snach ciągle była ubrana w tartany i miała wzburzone wiatrem włosy. Śmiała się na tle groźnych, ostrych szczytów i chmurnego nieba. Starał się ją zobaczyć w statecznym damskim siodle, na grzbiecie wypielegnowanego wierzchowca. Albo witającą się z innymi arystokratami, zażywającymi przejażdżki po ślicznych alejkach. Albo...

Chryste! Czy to się nigdy nie skończy? Dlaczego nie mógł o niej zapomnieć? Wiedział, że w jego życiu nie ma miejsca dla kobiety takiej jak Christmas MacKenzie. Dlaczego zdradziecki umysł nie był mu posłuszny?

Ale kiedy znowu ją ujrzał, tylko na ten krótki moment...

Zamknął oczy, przeszyty kolejnym spazmem bólu, i bluznął potokiem przekleństw. Woźnica wybałuszył na niego oczy i otworzył usta.

Jamie szarpnął drzwi powozu.

- Do portu - rzucił.

Wskoczył do pojazdu i z hukiem zamknął za sobą drzwi.

Trzasnął bat i powóz potoczył się naprzód, wioząc samotnego pasażera.

Podróż miała być samotna i bardzo, bardzo długa.

Christina otwierała list drżącymi dłońmi. A jeśli popełniła błąd? A jeśli obietnica ojca Liama była tylko pustymi słowami, niczym więcej? Pocieszeniem, za którym nie zjawi się prawdziwa pomoc?

Piecząc pękła; dziewczyna zbliżyła kartkę do stojącej przy łóżku lampy. Podkreśliła ją i usiadła do lektury.

*Droga lady,*

*imię Pani jest nam znane dzięki ojcu Kileen. Co więcej, otrzymaliśmy Pani hojny dar i dziękujemy w imieniu dzieci, którym on pomoże.*

*Co do prośby, upewniamy Panią, iż nie będzie najmniejszej trudności. Skoro wspaniałomyślnie zgodziła się Pani uiścić opłatę za środki transportu, czekamy jedynie na informacje, którym z nich zechce się pani posłużyć. Wyślemy wiadomość co do kosztów oraz szczegóły dotyczące czasu i miejsca odjazdu.*

*Mamy nadzieję, iż zdołaliśmy spełnić pani życzenie. Oczekujemy rychłego spotkania.*

*Siostra Mary Michael*

*Chrześcijańskie Stowarzyszenie Sióstr Miłosierdzia  
Londyn*

Christina odetchnęła; aż do tej chwili nie czuła, że wstrzymuje oddech. A więc zgodzili się! Pomogą jej wyjechać!

Wpadła na ten pomysł tuż po rozstaniu z Maire i Jacques'em. Zamknęła drzwi za wspomnieniami przeszłości, zarazem gorzkimi i najdroższymi na świecie. Ale one nie odeszły.

Zdała sobie sprawę, że jest skazana na dobrowolne uwięzienie w londyńskim domu, i nagle poczuła, że tego nie zniesie. Spytała samą siebie, co jest tego powodem, i ze zdumieniem usłyszała odpowiedź: ponieważ jestem tutaj straszliwie nieszczęśliwa. Czuła się tak od dnia powrotu ze Szkocji.

W szkockich górach była pełna życia, wolna i swobodna jak jeszcze nigdy w życiu. Nawet wtedy, gdy nie wiedziała, czy Skarb Wilka Morskiego naprawdę istnieje.

W Szkocji nauczyła się pracować i czerpała z tego radość. Wiedziała, że może stworzyć coś, co ma realną wartość, choćby tylko bochenek chleba lub zamieciona podłoga. Nie była już zależna od innych, jak te wypieszczone pasożyty, od których roiły się salony Londynu.

Doszła do wniosku, że rozpaczliwie pragnie znowu doznać tego uczucia. Chciała, by dziecko, które w sobie nosiła, również je poznało i mogło w nim żyć. Dlatego podjęła decyzję: wróci do Szkocji i tam będzie oczekiwać porodu. Tam będzie żyć, wolna i pełna energii. A Aaron Crenshawe i całe towarzystwo mogą iść do diabła!

Szybko zdała sobie sprawę, iż nie będzie to łatwe. Aaron mógł za nią pojechać, tak jak to już zrobił. Tym razem dobrze wiedział, co traci. Mógł ją odwieść od tego zamiaru. A zatem powinna zrobić dwie rzeczy: zerwać w czysty i nieodwracalny sposób oraz wyjechać w tajemnicę.

Jak się okazało, to ostatnie zostało już uzgodnione. Przy-

jaciele ojca Liama zgodzili się przewieźć ją bezpiecznie z Anglii do Inverness-shire.

Pozostawało jeszcze zerwanie z Aaronem. Ale to także już obmyśliła. Odłożyła list od siostry Mary Michael, wzięła lampę i zaniósła ją na sekretarzyk. Wzięła arkusz papieru i z uśmiechem zanurzyła pióro w kałamarnicu.

„Drogi Aaronie” napisała. „Obawiam się, iż informacja ta wyda ci się dość przygnębiająca...”

Christina usiadła wygodnie w wynajętym powozie, turkoczącym przez Piccadilly ku kaplicy na South Audley Street. O’Kelly zajmował przeciwległe siedzenie, wypełniając je całkowicie.

Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Dom pozostał pod opieką Townsenda, który otrzymał polecenie zwolnienia wszystkich poza najpotrzebniejszymi służącymi, ale dopiero wtedy, kiedy dzięki jej referencjom znajdą inne miejsca. Rozesłała listy do zarządzających jej wiejskimi posiadłościami i rozkazała uczynić to samo. Wszystkim powiedziała, iż wyjeżdża do Ameryki, by odwiedzić przyjaciół, państwa Beaumonde’ów. Dokładny adres miała podać później. Wszelkie problemy, zaistniałe pod jej nieobecność, mieli rozwiązać prawnicy.

Tylko oni, Carruthers i Higgins, znali prawdziwy cel jej podróży. Wiedziała, że może im ufać. Kiedy dotrze do dworu MacKenziech, napisze do Maire i Jacques’a na ręce jego prawników z Nowego Orleanu. Ich również zobowiąże do zachowania tajemnicy. Jakżeby mogli jej nie zachować po scenie, która miała miejsce przed jej domem?

A zatem wszystko było gotowe. Po raz pierwszy w życiu była zupełnie niezależna. Ta myśl przejmowała ją uniesieniem i lękiem.

Obie te emocje walczyły o lepsze w jej sercu. Na zmianę to czuła smak wolności, to zaczynała drżeć na myśl o ogromie wyzwania, jakie podjęła. Czy zdoła rozpocząć nowe życie? Czy szkoccy sąsiedzi zaakceptują pannę z dzieckiem, na wpuł Angielkę? Może także wyrzucą ją poza nawias społeczeństwa, co z pewnością czekało ją tutaj, gdyby została?

Bała się, że Szkocja będzie jej przypominać Jamiego MacIvera, lecz szybko wyśmiała się za te lęki. Nieproszona obecność Jamiego, który nawiedzał ją na jawie i we śnie, stała się faktem. Nie może być już gorzej, wytłumaczyła sobie. Kto wie, czy Szkocja nie przyniesie jej ukojenia. Rodzinny kraj jej matki miał przedziwną moc uzdrawiania. Czuła ją, nie wiedząc, czemu ją przypisać. Musiała tam dotrzeć za wszelką cenę.

Z tą optymistyczną myślą dojechała do kaplicy. Nastrój poprawił się jej jeszcze bardziej, kiedy ujrzała, kto na nią oczekuje.

- Ojciec Liam! - wykrzyknęła, spotkawszy w korytarzu znajomą siwowłosą postać. - Nie wiedziałam, że ojciec już wrócił!

- Ano, dziecko, ale sam nie wiedziałem, że mnie tu wiatry zawieją. Jakże się miewasz, milady?

- Bardzo dobrze. A właściwie poczuję się dobrze, kiedy wyruszę w drogę.

Ojciec Liam rzucił jej przenikliwe spojrzenie, lecz nie odezwał się ani słowem. W bocznych drzwiach ukazała się

niska, pulchna zakonnica; okazało się, że to siostra Mary Michael.

Bez zbędnych korowodów ustalono szczegóły podróży do Szkocji. Christina dowiedziała się, iż odbędzie ją w towarzystwie siostry i księdza oraz dwojga wielkookich podrzutków, Jean-Pierre'a i Gabrielle-Marie.

Dzieci, oboje w wieku niespełna pięciu lat, zostały znalezione w ruinach gospodarstwa w okolicach Lyonu. Nie znały języka angielskiego, lecz ich ciemne, wyraziste oczy mówiły o okropnościach, jakie musiały widzieć. Christina zapragnęła coś dla nich zrobić. Doprawdy, jej problemy wydawały się tak niewielkie w porównaniu z ich losem! Postanowiła, że kiedy następnym razem zaczną się nad sobą użalać, przypomni sobie te nieszczęsne istotki.

I tak zaczęła się ich podróż. Zdążając tą samą trasą, jaką przemierzyła tego lata wraz z Maire, ruszyli na północ. Zatrzymywali się w tych samych gospodach, z których korzystali za pierwszym razem. Różnicę odczuli dopiero, kiedy główna droga zmieniła się w rozjechaną ścieżkę, a okolica stopniowo stała się coraz bardziej dzika. Wtedy, zamiast zatrzymywać się w zagrodach zaznaczonych przez Angusa MacIvera, przyjmowali gościnę u rodzin przyjaznych Kościołowi. Czasami nocowali na plebaniach, innym razem trafiały się im tylko stodoły, tak jak poprzednio. Raz byli zmuszeni skorzystać z noclegu na zapleczu karczmy.

Dopiero tam Christina wyznała ojcu Liamowi przyczyny, dla których opuściła Anglię. Oczywiście, wiedziała, że ksiądz sam zaczyna się tego domyślać. Zbyt często zdarzały się jej poranki, kiedy nie mogła utrzymać w żołądku śniadania. Długo udawała, iż trudy podróży odbierają jej apetyt,

lecz nawet wtedy widziała, iż ojciec Liam przygląda się jej uważnie przenikliwym, choć przyjaznym wzrokiem.

Ale tego ranka zapach smażonego boczku spowodował, iż rzuciła się na oślep do drzwi i zwymiotowała bezradnie nad balustradą kamiennych schodków.

Kiedy spazm minął, a na ziemi została plama po niepełnej filiżance słabej herbaty, za plecami dziewczyny rozległy się kroki.

- Powoli, dziecko, nie podnoś głowy tak gwałtownie - powiedział łagodnie ojciec Liam. Objął ją i podał zwilżoną szmatkę.

Przyjęła ją z wdzięcznością. Otarła rozognioną twarz i usta pełne gryzącego smaku żółci.

- No, teraz. Powoli podnieś głowę i oprzyj się o mnie... O, tak... A teraz odetchnij głęboko...

Usłuchała go.

Ksiądz obrócił ją powoli ku sobie.

- Lepiej?

Skinęła głową, unikając jego spojrzenia.

- Który to miesiąc, dziecko?

Podniosła na niego oczy, lecz nie zauważyła w nich potępienia.

- Mniej więcej... trzeci. Może niecały.

Ojciec Liam skinął głową.

- Mam dobrą wiadomość: wkrótce mdłości przestaną cię męczyć. Ale jest i zła: niemądrze jest wyprawiać się w taką drogę w odmiennym stanie. Jak wiesz, najgorsze dopiero przed nami. W górach Cairngorm zima przychodzi wcześniej. Ciągłe jeszcze możesz wró...

- Nie!



Ksiądz uniósł brwi, nie pojmując przyczyn tak kategorycznej odmowy.

- Wejść do środka, dziecko. Siostra wzięła dzieci na spacer z psem. Jesteśmy sami, jeśli zechcesz mi o wszystkim opowiedzieć.

W pustej izbie karczmy usiedli tuż przy kominku. Ksiądz rzucił słówko karczmarzowi, prosząc o dzbanek herbaty i dwa kubki, gdyż Christina uznała, iż zdoła utrzymać napój w żołądku. Po chwili zostali sami.

Dziewczyna zaczęła opowiadać, z początku niechętnie. Zamierzała wyjaśnić jedynie przyczyny podróży. Ale ksiądz słuchał z przejęciem i nagle, nie wiadomo kiedy, wyznała mu wszystko. Po raz pierwszy zwierzyła się komuś, gdyż nawet Maire nie wiedziała o dziecku. Miała wrażenie, iż jej serce i umysł chcą się uwolnić od tajemnic, które zbyt długo ciążyły na nich niczym gład. Kiedy skończyła mówić, po twarzy płynęły jej strumienie łez. Ojciec Liam podał jej śnieżnobiałą chusteczkę.

- ...więc sa... sam ojciec rozumie... — powiedziała niepewnie - że nie... nie było dla nas nadziei na życie w Anglii. Skoro ja byłam tam tak nieszczęśliwa, czyż mogłam liczyć, iż wychowam dziecko, które zazna choć chwilę szczęścia?

Ksiądz pokiwał głową; wiedział, że dziewczyna ma rację. Londyńskie towarzystwo uznałoby ją i jej dziecko za wyrzutek. Jednak obawiał się, iż jej nadzieje niekoniecznie muszą się spełnić. Wolność, której szukała w szkockich ostępach, nie musiała dać jej szczęścia. Ludzie noszą w sobie ziarna szczęścia lub smutku.

Christina spojrzała mu poważnie w oczy.

- Ojciec mówi o moim uczuciu do Jamiego, prawda?

Chce ksiądz dać mi do zrozumienia, że zabiorę je ze sobą i nie zapomnę o nim, zmieniając miejsce pobytu?

- Ano, dziecko. Serce jest obojętne na czas i przestrzeń. - Na chwilę zamilkł. - No, może bardziej na przestrzeń niż na czas. Czas to odrębna kwestia. Weźmy na przykład te szkraby, któreśmy uratowali. Gdybym nie wierzył, że czas uleczy ich rany, pewnie nie robiłbym tego, co robię.

Christina pokręciła głową.

- Ojciec także zmienia miejsce. W przeciwnym razie nie wykradłby ich ojciec z kraju, w którym przeżyły tragedię.

To prawda, pomyślał ksiądz, lecz ty wracasz na miejsce swojej tragedii.

Ale głośno powiedział jedynie:

- Ach, dziecko! Mówiłem, żeś bystra!

Uśmiechnęła się z ulgą. Czuła, iż wygrała tę walkę.

- A zatem będzie mi ojciec towarzyszył przez resztę drogi?

- Tak, lecz zanim zbierzemy się i ruszymy, czy mogę cię spytać o jeszcze jedno?

Wypiła resztę herbaty i odstawiła kubek.

- Oczywiście.

Przyjrzał się jej z nieukrywaną ciekawością.

- Powiedz mi, dziecko, co też napisałaś temu swojemu narzeczonemu, że zgodził się unieważnić zaręczyny?

- Ach, to! - W szarych oczach zamigotały wesołe iskierki. Najwyraźniej Christina była z siebie dumna. - Cóż, jak ojciec zapewne wie, Anglia znalazła się w ekonomicznej depresji, gdyż wojna dobiegła końca i popyt na artykuły wojenne ustał. Rynek na kontynencie nie może wchłoniąć wyprodukowanych towarów, a ceny drastycznie spadły.

- Mów dalej - mruknął ksiądz z zaciekawieniem. Nie zdradzał zdumienia wobec faktu, iż młoda arystokratka jest tak dobrze obeznana z kwestiami, których panny z jej sfery nie powinny pojmować.

Christina nie mogła dłużej powstrzymać uśmiechu.

- A zatem po prostu poinformowałam jego lordowską mość, iż zainwestowałam cały mój majątek w akcje i straciłam wszystko co do grosza!

Na twarzy księdza rozkwitł uśmiech równie szeroki, jak uśmiech dziewczyny.

- Ach! Mówiłem, żeś bystra, dziecko!

## 22

Ostatni etap podróży był diabelnie ciężki. Przynajmniej tak mamrotał pod nosem ksiądz, kiedy przemierzali niemal nie istniejące ścieżki na stromych wzniesieniach. Tak jak się spodziewali, w górach panowała już zima. Krajobraz, zawsze surowy i niegościnnie, stał się jeszcze bardziej odpychający.

Parę razy podczas gwałtownych zadymek byli zmuszeni zawracać i szukać schronienia w tym samym miejscu, w którym spędzili poprzednią noc. Parę razy ojciec Liam błagał Christinę, by zrezygnowała z podróży i podjęła ją na wiosnę. I parę razy niemal się na to zdecydowała. Niemal.

Ale wiedziała, że zwłoka może potrwać dłużej niż do wiosny. Dziecko miało urodzić się w kwietniu, a przecież nie mogła odbyć tak dalekiej podróży z noworodkiem, nawet przy pięknej pogodzie. Poza tym zależało jej na tym, by dziecko urodziło się w ojczyźnie jej matki. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak się przy tym upiera; może ze względu na niepokorną, niezależną naturę Szkotów. Chciała ją zaszczyć istotce, która rosła w jej łonie. Może dlatego, że

w szkockich górach zaznała krótkiej chwili szczęścia i tego samego pragnęła dla synka lub córeczki.

Poranne młodości ustąpiły i Christina czuła się zdrowiej niż w chwili, gdy opuszczali Londyn. Właśnie to przekonało ojca Liama do ostatecznego ustępstwa. Dziewczyna zacięła się w uporze, z czego zdawał sobie sprawę. Poza tym była bardziej wytrzymała niż wielu znanych mu mężczyzn. A zatem, jeśli będzie się właściwie odżywiać i odpoczywać, nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

Ale dzieci stanowiły odrębny problem. Ojciec Liam zdecydował, że Jean-Pierre i Gabrielle-Marie zostaną przez zimę w bezpiecznym schronieniu. Los pokierował nimi bardziej łaskawie, niż się spodziewali. Gospodarze, którzy przyjęli ich na noc, nie mieli dzieci; starzy małżonkowie przed dwoma laty utracili syna, służącego w napoleońskim wojsku, i tęsknili za kimś, kogo mogliby obdarzyć miłością i troską. Zatem kiedy poproszono ich o roztoczenie opieki nad sierotami, spytali nieśmiało, czy nie mogliby ich adoptować.

Tego wieczoru skromna zagroda rozbrzmiewała śmiechem i śpiewem. Postanowiono, że siostra Mary Michael pozostanie z dziećmi przez zimę, by łatwiej przywykły do otoczenia. Jean-Pierre i Gabrielle-Marie przyzwyczaili się do niej i polubili ją.

Potem Christina „przełała ten kielich radości”, jak wyraził się stary wieśniak, ofiarowując im rubin wielkości żołądza. Żona gospodarza rozplakała się, twierdząc, że to zbyt wiele, lecz dziewczyna tylko się roześmiała i przytuliła ją do siebie. Stary Wilk Morski pewnie przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, że jego mozolnie rabowany skarb służy katolickim sierotom!

Wreszcie nadeszła pora, by Christina i ojciec Liam ruszyli w dalszą drogę. Może nigdy by się na to nie odważyli, gdyby wieśniak nie wysłał z nimi dwóch silnych bratanków jako przewodników oraz sześć górskich koników.

I tak, na parę dni przed Bożym Narodzeniem, lady Christina St. John, pani klanu MacKenzie z Inverness-shire, wróciła do siedziby swoich przodków. Przybyła na miejsce brudna, z otartymi stopami i wyczerpana ponad wszelką miarę. I, jak wyznała przerażonej pani MacLeod, która wybiegła na jej spotkanie, „jeszcze nigdy w życiu nie cieszyła się tak na widok domu”.

- Och, dziecko! - krzyknęła gospodyni, prowadząc na wpół zamarzną gromadkę do kominka. - Toż myśmy myśleli, co już wos nie zobaczymy. A już pewnikiem nie tak chybko! Jakże, toż spieszo wom było do kościoła!

Christina roześmiała się, choć jej głos brzmiał jak ochrypły skrzek.

- Ano, pani MacLeod - odparła, doskonale imitując szkocki akcent. - Do kościoła żem nie doszła, ale - zerknęła na przetykaną gwiazdkami śniegu brodę ojca Liama i jego wesołe błękitne oczy - można rzec, com przywiozła go ze sobom!

Jak się okazało, zdążyli dotrzeć do domu w ostatniej chwili. Parę godzin później z północy uderzyła wyjątkowo gwałtowna zimowa burza, która objęła wszystkie przejścia przez góry Cairngorm. Srożyła się przez trzy dni, nie pozwalając ludziom opuścić domów i zmieniając krajobraz w białą pustynię.

Uspokoiła się dopiero w Boże Narodzenie, kiedy Christina obchodziła dwudzieste urodziny. Dziewczyna nie oczekiwała specjalnej uroczystości, lecz pani MacLeod nie zapomniała o niej. Po mszy, którą ojciec Liam odprawił dla Christiny oraz Daviego i Georgie MacMurrych, bratanków starego wieśniaka, na dziedziczkę MacKenziech czekała niespodzianka.

Spodziewała się wyłącznie kolacji z pieczoną gęsią na cześć Tego, który także urodził się w tym dniu. Dlatego kiedy stanęła u szczytu schodów i ujrzała czekających na nią wszystkich mieszkańców domu, od stajennego po panią MacLeod, oraz gości, zabrakło jej słów. Łzy stanęły jej w oczach; pozwoliła się poprowadzić do sali jadalnej. Tam nad kominkiem widniał jedwabny transparent z napisem „Wszystkiego najlepszego dla pani dziedziczki”.

Następnie wzniesiono toast za jej zdrowie szampanem z jej własnej piwnicy (służba usprawiedliwiała się, iż z powodu szalejącej burzy nie można było sprowadzić partii alkoholu specjalnie na tę uroczystość).

Nie brakowało nawet prezentów, mimo ograniczeń narzuconych im przez pogodę: pani MacLeod podarowała dziewczynie chusteczkę z wyhaftowanym napisem, takim samym jak na transparencie. Mackie, stajenny i ogrodnik w jednej osobie, ofiarował jej kwitnącą miniaturową różyczkę, a kucharka upiekła wyrafinowany tort dokładnie naśladujący kształtem dwór MacKenziech.

Lecz prezentem, który doprowadził Christmas do łez, był wiersz odczytany przez ojca Liama. Jak wyjaśnił ksiądz, wszyscy przyczynili się do jego powstania. Brzmiał on, jak następuje:

*Oczy łagodne jak zmierzch  
i lśniące  
Włosy gładkie jak deszcz,  
a płonące.  
Smukła postać, a kryje  
orle serce -  
oto pani ziem, których  
nie opuści więcej.  
Boże, coś na świat przyszedł  
dnia tego samego,  
otaczaj ją opieką oraz  
uchroń od złego,  
gdyż ona jest radością  
życia naszego.*

Christina wybuchnęła gwałtownym płaczem już w środku poematu. Pociągając nosem, lecz już uśmiechnięta, zaprosiła wszystkich do stołu - służbę na równi z gośćmi. A kiedy usiedli razem, od stajennego Mackiego, zawstydzonego z powodu prostego odzienia, po kucharkę, oblaną purpurowym rumieńcem i onieśmiałą, Christina poczuła z niezbitą pewnością, iż wreszcie wróciła do domu.

Nowy Rok powitano równie uroczyście, choć zamiast gęsi główną potrawą był *haggis*. Wkrótce potem nastąpiła niespodziewana styczniowa odwilż; ojciec Liam postanowił skorzystać z okazji i wyjechać, zabierając ze sobą braci MacMurray, którzy mieli go doprowadzić do swej rodzinnej wioski.



- Nie, to niemożliwe! - zawołała Christina. - Sam ojciec mówił, że pogoda w górach jest zmienna. A jeśli znowu pojawi się niespodziewana burza z zadymką? Proszę jeszcze raz to rozważyć! Zamartwię się na śmierć!

Mówiła szczerze, choć nie zdradziła mu całej prawdy. Znała go od niedawna, ale w tym krótkim czasie zdobył sobie jej szacunek i miłość. Był kimś więcej niż miłym towarzyszem i przewodnikiem; stał się jej przyjacielem, powiernikiem i niemal ojcem. To jego taktowne porady i wyrozumiałość dały jej odwagę, by żyć dalej. Teraz chciał ją opuścić, a ona bała się, że bez niego zabraknie jej sił. Jak zdoła przetrwać?

Ksiądz ujął jej dłonie i spojrzał na nią tak, jakby czytał w jej myślach.

- Poradzę sobie, *macushla*. I, co więcej, ty także sobie poradzisz. Wiesz, te słowa napisaliśmy z myślą o tobie: orle serce.

Christina uśmiechnęła się krzywo.

- Można by raczej przypisać mi baranią głowę, ojciec.

- Wstydz się, dziecko! Czyż nie przedarłaś się przez tę dzicz podczas najgorszej pogody? Słyszałem, że ludzie z wioski zaczęli śpiewać o tym pieśni! Stałaś się bohaterką dzięki swej odwadze, a oboje wiemy - dodał, puszczając do niej oko - że nie wiedzą jeszcze wszystkiego!

Christina roześmiała się, wbrew samej sobie, i pogłaskała się po lekko wypukłym brzuchu.

- Tak, lecz wkrótce się dowiedzą, a wtedy raczej nie...

- Wtedy będą o tobie pisać poematy!

Dziewczyna pokręciła głową.

- Wątpię, czy znajdą coś interesującego w...

- Powiadam ci, tak będzie! Ci Celtowie cenią sobie odwagę i niezależność ponad wszystko, a ty okazałaś obie te cechy...

- Ale dziecko...

- Cicho, kochanie. Wydaje ci się, że nigdy jeszcze nie widzieli panny z dzieckiem? Zapoznaj się ze szkocką literaturą, a dowiesz się czegoś o tych dumnych, zapalczywych ludziach, z którymi jesteś spokrewniona. Zauważyłem, że masz tu wspaniałą bibliotekę. Wierzę, że skróci ci miesiące oczekiwania.

Christmas przyznała mu rację, nadal strapiona.

- A przede mną długa zima. - Westchnęła; usta jej zadrżały. — Będę tęsknić za ojcem. I nie zaznam spokoju, dopóki się nie dowiem, że dotarł ojciec na miejsce. Napíše ojciec do mnie?

Książd uśmiechnął się i uściśnął jej dłonie.

- Będę pisać z każdego popasu, dziecko. I będę się modlić. Będę się modlić o...

- Wiem! O szczęśliwy poród.

- Szczęśliwy poród, tak - powtórzył jak echo. A w myślach dodał: I miłość aż po kres twych dni, drogie dziecko. Aż po kres twych dni.

Zima trwała dokładnie tak długo, jak spodziewała się Christmas. Rodzinny kraj jej matki, smagany lodowatym wiatrem, pokryty grubym kożuchem śniegu, wydawał się odstręczający. Ta pora roku była przeznaczona na życie domowe; nadszedł czas, by zamknąć się w sobie i zbierać energię i siłę, dopóki nie nastanie pora odrodzenia.

Dla Christiny, w której łonie rosło dziecko, był to czas oczekiwania - i cierpliwości. Nigdy nie lubiła tkwić w domu. Dzieciństwo upłynęło jej na grach i ćwiczeniach fizycznych. Nawet w Londynie zażywała konnych przejażdżek po parku w chwilach wytchnienia pomiędzy balami i przyjęciami.

Przymusowe uwięzienie w dworze MacKenziech doprowadziło ją do stanu rozdrażnienia i niepokoju, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczała. Oprócz książek nie miała żadnych zajęć. Pani MacLeod, pełna szorstkiej życzliwości, zwłaszcza kiedy stan dziewczyny stał się widoczny, nigdy nie celowała w konwersacji, a inni służący byli jeszcze bardziej mrukliwi. Mieli własne zajęcia i przez lata przyzwyczaili się wykonywać je samodzielnie.

Tylko O'Kelly wydawał się rozumieć jej niepokój. Leżał u stóp pani godzinami, gdy czytała „Historię Szkocji” George'a Buchanana lub sir Waltera Scotta, lecz przy każdym podmuchu wiatru, który wpadał przez komin i rozniecał iskry, podnosił łeb, wstawał cicho i podchodził do okna. Potrafił trwać przy nim bardzo długo, patrząc na zamarznąłą ziemię.

Christina żałowała go z całego serca. Często wypuszczała go na dwór z Mackiem, który doglądał bydła, lecz pies najwyraźniej wolał jej towarzystwo. Wypadał na podwórko, w kilku potężnych susach okrążał stajnię i stodołę, rozrzucał sterty śniegu, które stajenny rozkopywał łopata, i zawsze wracał do swojej pani, stojącej na progu. Jego ciemne migdałowe oczy spoglądały na nią jakby z niemym pytaniem: dlaczego nie wyjdiesz?

Więc pod koniec lutego, kiedy pogoda się poprawiła, dziewczyna uznała, że ma dość nieróbstwa, podobnie jak

pies. Ubrała się w najgrubsze tartany, włożyła podbite futrem wysokie botki, które przywiozła z Londynu i, nie bacząc na protesty pani MacLeod, wyruszyła z O'Kellym na długi spacer. Szła powoli, mimo dobrej pogody; śnieg zalegał ziemię grubą warstwą, a ona podpierała się laską, którą kazał jej zabrać Mackie.

O'Kelly był zachwycony każdą sekundą tej dwugodzinnej wycieczki. Okręzał Christinę w dzikich skokach, rzucał się w sterty śniegu, które nieraz sięgały mu do piersi, ni stąd, ni zowąd wyskakiwał tuż u jej stóp i padał zziębnięty na ziemię, pożerał śnieg, który chłodził mu gardło i gasił pragnienie. Kiedy zrobił to po raz pierwszy, wybuchnęła śmiechem i nazwała go szalonym Irlandczykiem. Zgodził się, potwierdzając to zapalczywym szczekaniem. Potem leżał na boku, szczerząc do niej zęby w uśmiechu, całkiem jakby mówił: „Ano, a ty jesteś szaloną Szkotką, skoro przysłaś tu ze mną!”

Dobra pogoda trwała aż do marca, co Christina skwapliwie wykorzystywała. Wstawała wcześniej i razem z psem odbywała krótką przechadzkę przed śniadaniem. Dłuższa miała miejsce w południe, lecz dopiero wtedy, gdy dziewczyna dobrze wypoczęła (przy czym obstawała pani MacLeod); później, jeśli dzień nadal był pogodny, następowała jeszcze jedna popołudniowa przechadzka.

Christina uśmiechała się na myśl, jak dziwny widok muszą razem stanowić: potężny, muskularny, lecz chyży pies i mała osóbką w tartanach, sunąca przez zwały śniegu, mimo okazałego brzucha. Lecz nie zaprzestała tych ożywczych wypadów. Otoczona wysokimi, postrzępionymi tur-niami, na mroźnym powietrzu, jeszcze nigdy nie czuła się

tak wspaniale. Wreszcie czuła smak tego, czego tu szukała: jedności z tą ziemią, świadomości, iż działa zgodnie z własną i niczyją inną wolą. W tym kraju, w którym jedynym władcą jest natura, czuła się pełna życia i energii.

Do dworu wracała zmęczona, lecz uśmiechnięta. Pani MacLeod, która początkowo była przeciwna tym eskapadom, zamilkła, widząc błyszczące oczy dziedziczki i jej zaróżowione policzki. Dziewczyna była zdrowiusieńka i mogła urodzić zdrowego, ślicznego dziecioka. A co najważniejsze, była szczęśliwa. Niech cieszy się swoim dziedzictwem.

A jeśli młoda dziedziczka budziła się w nocy, nawiedzana snami o głębokich błękitnych oczach i ciepłe męskiego ramienia, nie wiedział o tym nikt oprócz niej.

Rano wstawała, zmywała z twarzy wymowne ślady łez i rozpoczynała nowy dzień. Jeśli życie, które wybrała, nie przynosiło jej szczęścia bez granic, dawało przynajmniej satysfakcję. Tłumaczyła sobie, że to i tak więcej, niż mają inni. To musi jej wystarczyć. I wystarczy.

Ale pewnego dnia wydarzyło się coś, co zagroziło tej starannie wyważonej równowadze. Christina wyszła z O'Kellym na popołudniowy spacer. Ponieważ jak na marzec niebo było niemal nienaturalnie błękitne i czyste, zabrała z kuchni nieco jedzenia, zamierzając dotrzeć dalej niż zwykle. Wolała posilić się po drodze niż w pośpiechu wracać na podwieczorek.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje, lecz coś zawiodło ją tego dnia w innym kierunku. Zamiast jak zawsze udać się na południe, ku wiosce, znalazła się na drodze do zagrody MacIvera.

Ostre szczenięcie O'Kelly'ego wyrwało ją z zamyślenia.

Wilczur stał na małym wzniesieniu. Szczeknął znowu na coś, czego nie widziała, po czym spojrział na nią wyczekująco. Znowu szczeknął, jakby ponaglał ją, by podeszła.

- Co się stało, piesku? Nie...

I ujrzała to, co jej pokazywał. Nad wierzchołkami drzew unosiła się smużka błękitnego dymu. Dymu z komina. Z komina zagrody MacIvera. Serce zaczęło jej mocno bić; nie zastanawiając się dłużej, pospieszyła za psem, podpierając się laską.

Kiedy dotarła do wilczura, zaskomlał cicho i poruszył ogonem. Wtedy i ona zobaczyła to, na co patrzył...

Jamiego.

Stał przy stercie drzewa, tej samej, koło której zastały Jacques'a owego pierwszego dnia. Był bez czapki i wierzchniego okrycia. Opierał się na siekierze obok pniaka do rąbania drewna. Ale nie zajmował się polanami.

Patrzył na nią.

Christina zachłysnęła się z zaskoczenia. Najwyraźniej Jamie stał tu od pewnego czasu. Odgłos rąbania drewna z pewnością zwabił psa. Dlaczego ona go nie słyszała? A może nie chciała usłyszeć?

Teraz było już za późno. Zauważyła, że obrzucił uważnym wzrokiem jej zdeformowaną postać. Zobaczyła jego zdumienie. Upuścił siekierę i zrobił krok w jej stronę...

Odwróciła się i machnęła ręką na psa.

- Christmas, zaczekaj!

Zatrzymała się, lecz nie zawróciła. O'Kelly pisnął i trącił nosem jej dłoń. Biedak, najwyraźniej chciał podejść do Jamiego i nakłaniał ją do tego samego.

To, co odezwało się w jej wnętrzu, było silniejsze, niż

mogła się spodziewać. Jamie. Wysoki, oszałamiający. Słońce barwiło jego włosy na złoto. Głębokie błękitne oczy przyglądały się jej z niedowierzaniem. Znowu ujrzała wyraźne jak kryształ wspomnienia tych krótkich chwil, które spędzili razem... chwil szczęścia.

Ale to już minęło. Kłamstwa i obojętność zmieniły wszystko. Pamiętała tylko ból i musiała go ścierpieć.

Skinęła na psa i powlokła się przed siebie, przygarbiona.

Jamie stał jak wryty, ledwie wierząc własnym oczom. Christmas... w błogosławionym stanie. Czyje to dziecko? Jego? Anglika?

Zaczerpnął głęboki oddech, by się uspokoić, i sięgnął po siekiere. W głowie szumiały mu dziesiątki pytań. Co ona tu robi, na Boga? Zwłaszcza jeśli poślubiła tego arystokratę i zaszła z nim w...

Nie, to bez sensu! Dobrze znał tych błękitnokrwistych lordów. Ostatnie, co przyszłoby im do głowy, to zawlec ciężarną żonę w dzikie góry Szkocji, by...

Ale ona za niego nie wyszła - przynajmniej nie jesienią. A sądząc po jej wyglądzie, dziecko ma się narodzić całkiem niedługo. Musiała być przy nadziei już w Londynie, kiedy widział ją po raz ostatni.

A zatem pozostaje pytanie... Niech to diabli, za dużo tych pytań!

Jamie westchnął ciężko i przesunął dłonią po włosach. Serce mocno biło mu w piersi, a oddech nadal nie mógł się uspokoić. Jakaż ona piękna, mimo obrzmiałej sylwetki... A może właśnie dlatego. Jej twarz nabrała miękkiego wyrazu,

jakiego nie zauważył w niej do tej pory. Czy nie taką twarz mają madonny wielkich mistrzów?

W tej samej chwili poczuł, że korci go, by zacząć rzeźbić. Ta chęć nie nawiedzała go, odkąd...

Zmełł w zębach przekleństwo, oparł siekiereę na ramieniu i pomaszerował do zagrody. Na to przyjdzie jeszcze czas. Na razie musiał znaleźć odpowiedź na parę pytań.

Na początek zacznie od wioski.



Jamie wprowadził konia do stajni. Zastanawiał się nad wszystkim, czego się dowiedział w wiosce. Bez trudu nakłonił ludzi do rozmów o młodej dziedziczce MacKenzie. Wydawało się, że stała się tu żywą legendą.

U kowala został poinformowany o przebiegu całej niewiarygodnej podróży podczas pogody, której uląkłby się niejeden mężczyzna. Nikt nie uważał tego za brak rozsądku, lecz raczej za akt odwagi. „Tylko pomyśleć, mała pani przedarła się w zimie bez wzgórza, co by jej dzieciok urodził się tam, gdzie powinien!”

W gospodzie Jamie dowiedział się więcej o niej i „dziecioku”. Podziwiano ją za to, że nosiła głowę wysoko, mimo iż nie miała na palcu obrączki. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo go to niepokoiło, dopóki nie westchnął z ulgi, usłyszawszy te wieści.

Mała pani pokazała figę Sassenachowi i wróciła do domu, by urodzić „dziecioka, co ni mo w sobie kropli jego krwi. To Szkot i Szkotem będzie... jaka dzielna dziewczyna z tej małej pani!”

A w chacie Jeannie MacLaren, gdzie odważył się złożyć wizytę, dowiedziawszy się, iż jest ona miejscową akuszerką, usłyszał potwierdzenie owych wieści.

- Mała dziedziczka? Ach, panie! Nie wiem, czemu wos to obchodzi, lecz rozwiązanie bydzie pod koniec kwietnia.

Pod koniec kwietnia. To oznaczało, że dziecko zostało poczęte pod koniec lipca. Jego dziecko.

Właściwie w to nie wątpił. A kiedy się dowiedział, że zerwała z Crenshawe'em, zyskał zupełną pewność. Jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, żeby łączyło ją z tym Anglikiem to, co było między nimi. Nie chciał sobie tego wyobrazić. Za każdym razem, kiedy usiłował to zrobić, stawał przed nim obraz, od którego serce rozdzierało się mu na strzępy.

Wsypał miarkę owsa do żłobu i poklepał konia. Wyszedł ze stajni. Wszystko, czego się dowiedział, szumiało mu w głowie. Przeklinał siebie za to, że zachował się jak skończony głupiec. Kobieta, którą kochał bardziej niż kogokolwiek na świecie, znajdowała się tuż obok. Nosiła jego dziecko. A on ją opuścił.

Opuścił ją! Chciał sobie zaoszczędzić cierpień! Uważał ją za drugą Desiree. Głupiec! Dlaczego nie spostrzegł, że w niczym jej nie przypomina? Jego żona była tak płytka, tak skupiona na sobie, że zaryzykowała własne życie, by pozbyć się dziecka. Christmas MacKenzie zaryzykowała bardzo wiele, by je urodzić. Bękart w Anglii byłby wyrzutkiem; tutaj miał szansę.

Nie wątpił, że mogła poślubić Crenshawe'a; wtedy dziecko nosiłoby jego nazwisko. Miała dość czasu, by to zaaranżować. A jednak odrzuciła wszystko - życie w Anglii, szacunek i bezpieczeństwo, które zapewniał związek z lor-

dem - by urodzić dziecko tam, gdzie mogło się wychowywać na swobodzie. Zaryzykowała wszystko, by przyjechać tutaj i urodzić dziecko. Jego dziecko.

Co za ironia losu! Od lat zadawał sobie tortury za to, że nie potrafił pokochać Desiree. Obwiniął się za to, że zaszła z nim w ciążę, choć nie czuł do niej miłości. Teraz do listy jego występków doszło porzucenie kobiety, którą kochał, która również nosiła w łonie jego dziecko i która zniemawidziła go za to, jak z nią postąpił. Odepchnął ją w najpodlejszy sposób: kiedy odrzuciła dumę i poprosiła go, żeby się z nią ożenił. Pragnęła go i kochała, zanim dowiedziała się o dziecku. Kochała go, a on rzucił jej tę miłość w twarz!

Dlaczego tak długo tego nie dostrzegał? Znów przypomniał sobie ów dzień w Londynie, gdy miał wejść na pokład statku i odpłynąć. Nie potrafił tego zrobić. Wtedy właśnie zrozumiał z niesamowitą pewnością, że istnieje tylko jedno miejsce, w które powinien się udać, skoro Christmas Mackenzie była dla niego stracona. Tutaj, w szkockich górach, mógł przynajmniej żyć wśród wspomnień.

Stanął przed drzwiami chaty i się rozejrzył. Zapadał zimowy zmierzch; wyniosłe szczyty gór w oddali wydawały się jakby zamglone. Na zaśnieżone podwórko padł fioletoowy cień. Na sośnie przy stajni ćwierkał jakiś ptak; z lasu odpowiedział mu inny.

Oto miejsce dzikie i wolne - w sam raz, by spędzić w nim życie... wychować dziecko. Ale do tego musiałyby mieć u boku kobiety. Kobietę, którą kochał. I którą odtrącił. Czy odważy się ją odzyskać?

Westchnął i wszedł do chaty. Na Boga, musi spróbować. I zrobi to!

Stajenny Mackie mruczał do siebie pod nosem, człapiąc ze stajni do wejścia dla służby na tyłach dworu. Starzejąc się, pomyślał, nie jestem już młodzikiem. Kości mi trzeszcza, stawy bołą, zwłaszcza na mrozie. Ale czy to kogoś obchodzi? Na pewno nie tego Amerykanina ani panią MacLeod, co to, to nie!

To już piąty dzień, jak włókł się ze stajni do kuchni z tą samą odpowiedzią. Oczywiście sytuację zmieniał nieco fakt, iż siostrzeniec Angusa MacIvera przy każdej wiadomości wciskał mu w dłoń złotą monetę. Co z tego, skoro teraz całe złoto pójdzie na maści i mikstury? Poza tym, dodał niechętnie, nie jest posłańcem. Do jego obowiązków należało zajmowanie się stajnią i ogrodem. Czy to nie dosyć dla jednego starego człowieka?

Ale dziś rano Amerykanin znowu się zjawił, z liścikiem i złotą monetą.

- Zechcesz dostarczyć to swojej pani? - spytał, jak zawsze. A potem nieodmiennie dodawał: - Zaczekam na odpowiedź.

Ale jedyna odpowiedź padała z ust pani MacLeod.

- Powiedz Amerykaninowi, że odpowiedzi nie będzie.

Ha! Można by pomyśleć, że chłopak zrezygnuje i pójdzie precz!

Oczywiście, był Amerykaninem, ale płynęła w nim krew Angusa MacIvera. A to oznaczało, że przynajmniej w części był Szkotem.

Mackie otworzył usta w bezzębnym uśmiechu.

- I jak wszyscy Szkoci, potrafię się uprzeć!

Spojrzał na trzymany liścik. Ciekawe, co tam stoi. Nieczęsto żałował, że nie potrafi czytać, ale teraz wiele by dał,

żeby się dowiedzieć, co też się dzieje między tym Amerykaninem a dworem.

Westchnął i unióśł dłoń do kuchennych drzwi, które w tej samej chwili stanęły przed nim otworem.

- Znowu? - spytała pani MacLeod.

- Ano. - Mackie potarł obolałe biodro, a drugą ręką podał jej list.

Gospodyni wzięła go, spojrzała na wyraźnie pismo i westchnęła.

- Cóż, Mackie, miejmy nadzieję, że to ostatni raz wlokłes swoje stare kości.

Stary uśmiechnął się z nadzieją; gospodyni wyjęła z kieszeni złożoną kartkę.

- Tym razem będzie pisemna odpowiedź.

Mackie wziął liścik i odsłonił w uśmiechu bezzębne dziąsła.

- Zaraz zanieśe, i obyście mieli rację!

Janet MacLeod westchnęła, patrząc za starym służącym, brnącym z trudem przez śnieg. Ze względu na jego dobro miała nadzieję, że list panienki położy kres usiłowaniom Amerykanina. Choć ze względu na dobro lady Christiny życzyła sobie czegoś zupełnie odwrotnego.

Nie wątpiła, co łączyło dziedziczkę z tym Jamiem MacIverem. To on był ojcem jej dziecka. Świadczyło o tym zbyt wiele znaków. Emocje, malujące się na twarzy dziewczyny za każdym razem, kiedy gospodyni wręczała jej następny list; drżenie jej dłoni, kiedy odczytywała wiadomości; zaciśnięcie szczęk, gdy wyrzucała list do śmieci. Och, starała się opanować, lecz jej twarz była niczym otwarta książka. Cokolwiek między nimi zaszło, biedna dziewczyna

nadal go kochała. Janet wiedziała to z całą pewnością, mimo iż szare oczy jej pani błyszczały gniewem. Była tego pewna nawet mimo bólu, którego mała dziedziczka nie potrafiła ukryć.

Gospodyni znów westchnęła. Tak bardzo chciała, by się połączyli! Nikt nie zamierzał rzucić w dziewczynę kamieniem za to, że była w błogosławionym stanie, ale nie miała męża. Takie sprawy zostawiali Sassenachom. Dziedziczka jest dziedziczką i będą stali przy niej do końca świata. Jeśli nie chce poślubić ojca swego dziecka, widać ma ku temu powody.

Janet nie wątpiła, iż to dziewczyna zdecydowała o takim stanie rzeczy. Ten człowiek stale ją nachodził. Tylko pomyśleć, przemierza tyle kilometrów codziennie, nawet teraz, kiedy pogoda zmieniła się na gorsze!

Och! Dlaczego to dziecko nie chce się z nim spotkać? Janet nie mogła opanować ciekawości, niech jej Bóg i panienska wybaczą, i przeczytała jego listy. Wydawały się takie szczere!

„Rozumiem, że to, co zrobiłem, jest niewybaczalne, więc nie proszę, byś mi wybaczyła. Błagam tylko, żebyś zechciała się ze mną spotkać. Pozwól mi się wytłumaczyć”. Tak właśnie stało w liście, który trzymała w dłoni.

Ano, więc czemu nie chce się z nim spotkać? Może dobra awantura wyjaśni, co jest pomiędzy nimi. W końcu, skoro są sobie bliscy...

Poza tym, dodała Janet w myślach, chowając list do kieszeni, dzieciok potrzebuje ojca. Zwłaszcza jeśli ojciec jest porządnym człekiem, a była już przekonana, że tak. „Dzielny, dobry człek, grzeczny i uczciwy”, powiedziała Jeannie MacLaren, akuszerka.

Gospodyni pokręciła głową i westchnęła ciężko. Wyjęła z kieszeni list Jamiego MacIvera i rzuciła go do kosza. Nie ma potrzeby pokazywać go dziedziczce. Janet przeczytała ukradkiem jej wiadomość, kiedy czekała na powrót Mackiego.

Zawierała następującą treść: „Amerykański wdowiec nie jest tu potrzebny”.

Jeannie MacLaren uśmiechnęła się ze zmęczeniem na widok Janet MacLeod, owijającej rozkrzyczanego noworodka w mięciutki wełniany kocyk.

- Sliczności, nie ma co!

- Ano, wykapany z niego Szkot. - Pani MacLeod delikatnie dotknęła rudego puchu, pokrywającego małą główkę.

- Czy mogę... czy mogę go zobaczyć? - dobiegł słaby głos z łoża z baldachimem.

- Och! - wykrzyknęła gospodyni. - Już się obudziła?

Czym prędzej złożyła hałaśliwe zawiniątko w smukłych ramionach, które się po nie wyciągnęły.

- Piękny Szkot dla klanu MacKenzie - oznajmiła akuszerka, myjąc ręce. - Słuchajcie, jak wyje!

Christina uśmiechnęła się ze znużeniem; pani MacLeod pomogła jej rozpiąć czystą koszulę, w którą ją ubrały po porodzie i kąpieli. Dziewczyna spojrzała na wściekle zaczerwienioną twarzyczkę syna, który gwałtownie zaczął szukać sutka.

Wszystkie westchnęły z ulgą, gdy wreszcie znalazł źródło



pożywienia i przyssał się do niego. W sypialni zapanowała błogosławiona cisza.

- Zgadzam się z panią - szepnęła Christina sennie. - Rzeczywiście, wygląda jak wykapany Szkot. A zatem nazwę go Scott... Scott MacKenzie...

Akuszerka rzuciła gospodyni pytające spojrzenie. Młoda matka zamknęła oczy i zapadła w sen.

- MacKenzie? Więc to prawda? Zamierza wychować dziecioka jako MacKenzie?

Pani MacLeod zawahała się i skinęła głową. Nie mogła zapomnieć o mężczyźnie, który nadal codziennie wysyłał listy przez nieszczęsnego Mackiego; wracały nie rozpieczętowane.

- Ano, lecz coś mi się widzi, żeśmy w tej kwestii jeszcze nie usłyszeli ostatniego słowa.

Jeśli gospodyni sądziła, iż sprawy będą wyglądać tak samo, jak przed urodzeniem Scotta, znalazła się w błędzie. Tego samego dnia, w którym Jeannie MacLaren zaniósła do wsi wiadomość, iż dziedziczka urodziła pięknego, silnego syna, listy przestały przychodzić. Stara Annie, sprzątaczką, która wynajmowała się we wsi do cięższych robót, twierdziła, iż przystojny Amerykanin nadal przychodził do Kingussie po żywność i temu podobne. I, dodała, był u kowala, kiedy Jeannie MacLaren przyniosła wiadomości o synu dziedziczki. Zadawał masę pytań.

Na początku maja znowu zaczął padać śnieg, gdyż zima w górach nie dawała łatwo za wygraną. Potem, choć od pasma Cairngorm nadal wiał ostry, zimny wiatr, pogoda

stała się stopniowo coraz bardziej przyjazna. Christina często *wyglądała przez okno*, dziwiąc się, jak inna jest tutejsza wiosna od tej, którą znała z Anglii. Ale to się jej podobało. Spojrzała na szarpane wichrem gałęzie i skinęła głową. Oto kraj, z którego się wywodzę, pomyślała dumnie. Surowy, dziki kraj dla gwałtownych, silnych ludzi. Ci, którzy tu mieszkają, są nieustannie poddawani próbom i tylko najsilniejsi potrafią przetrwać.

A Christina MacKenzie St. John zamierzała przetrwać. Nie, nie tylko przetrwać, lecz żyć pełnią życia - wraz ze swoim dzieckiem. Już teraz czuła, że wracają jej siły. Jej ciało było twarde i jędrne, mimo przebytej ciąży - zawdzięczała to długim spacerom przez „wzgórza” z O'Kellym.

Mały Scott także był silny i zdrowy. Wydawało się, że rośnie w oczach. Samo obserwowanie jego foremnych rączek i nóżek, którymi tak energicznie wierzgał w kąpieli lub przy zmienianiu pieluszek, sprawiało jej niewypowiedzianą radość.

Tę radość nieco mąciły wspomnienia, obudzone na widok jego oczu, które zaczynały przybierać kolor głębokiego błękitu. Starła się o tym nie myśleć. Listy wreszcie przestały przychodzić, dzięki Bogu. Bała się, że nie starczy jej siły woli, kiedy syn zacznie dorastać, zdradzając coraz większe podobieństwo do mężczyzny, który go spłodził. Bóg wie, że tylko tyle mogła zrobić - odsyłać listy do nadawcy. Jamie MacIver należał do jej przeszłości, i na tym koniec. Taką właśnie wiadomość chciała mu przekazać. Taką decyzję podjęła.

Nie wiedziała tylko, kiedy sama się z nią pogodzi.

Dni mijały, a pogoda coraz bardziej zapowiadała nadejście wiosny, choć w szkockich górach maj nie był tak ciepły, jak gdzie indziej. Jednak wieśniacy zaczęli ubierać się lżej i spędzali więcej czasu poza domem. Christina tęskniła za spacerami z O'Kellym, ale błoto, w które zamieniły się pola, było bardziej niebezpieczne niż głęboki śnieg. Musiała poczekać do cieplejszego i bardziej suchego czerwca.

Spacerowała po ogrodach i terenach dworu, często ze Scottem. O'Kelly skakał wokół nich i zataczał dzikie kręgi. Jej spojrzenie nieraz uciekało ku chacie Jamiego, choć odległość nie pozwalała dostrzec, czy z komina sący się dym.

Wiedziała, że ludzie w wiosce mówią - co pewnego dnia potwierdziła radośnie sprzątaczką Annie - iż w zagrodzie MacIvera ciągle ktoś mieszka. Podobno dobiegały stamtąd „piekielne łomoty i brzdęki” według określenia Annie. „Że umarłego by podniosło!”

Christina skinęła głową z udaną obojętnością i pożegnała kobietę, zastanawiając się, co to ma znaczyć. Czy Jamie coś buduje? Przypomniała sobie, że niegdyś przyznał, iż chata jest dla niego odpowiednia, lecz gdyby miał zamieszkać w niej na stałe, musiałyby dobudować przynajmniej dwie izby. Co zamierzał? Czy chce zostać na ziemi swoich przodków, tak jak ona?

Ta myśl ją poruszyła; nie mogła zaprzeczyć, że serce zaczęło jej bić szybciej. Usiłowała sobie wmówić, iż decyzja Jamiego nie ma z nią żadnego związku. Z pewnością nie myślał o niej. Lecz dlaczego nie wrócił do Ameryki? O co mu chodziło?

Zbyt wiele pytań. Wiedziała, że tylko sobie może czynić wyrzuty za brak odpowiedzi. Wszystkie te listy, które wyrzuciła... I jej własny, jedyny, informujący Jamiego, iż „wdowiec nie jest tu potrzebny”...

Jej twarz wykrzywił gorzki uśmiech. Przemawiała przez nią duma. Chciała dać mu do zrozumienia, iż wie o jego kłamstwie. Chciała także oznajmić, iż jego czyn był niewybaczalny, a ona miała prawo go odrzucić. Przeklęty! Jak śmiał sądzić, że zna jej myśli! Jak mógł ją okłamać, by - jak twierdziła Maire - zaoszczędzić jej bólu na dłuższą metę. Przeklęty, przeklęty, przeklęty!

A listy wreszcie przestały przychodzić. Uniesiona gniewem i dumą, położyła kres temu, czego bardzo pragnęła: wyjaśnieniom... i może czemuś więcej.

Ukryła twarz w dłoniach i zapłakała.

Mackie wypuścił wyczyszczonego konia na padok i zamknął bramę, westchnąwszy z ulgą. To już ostatni, i dobrze! Trzeba wiele sił i energii, by oporządzić konia, który linieje. A jego bolały stawy ramienia i łokcia, mimo iż pogoda dopisywała. Och, jakże chętnie napiłby się kiełiszeczek czegoś...

Zatrzymał się i zmrużył oczy, by rozpoznać zaniedbaną postać, zbliżającą się do niego w jasnych promieniach słońca.

- Dobry Boże, toż to Amerykanin!

Kiedy Jamie podszedł dostatecznie blisko, stary zaczął podejrzewać, że wzrok płata mu figle. Jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie. Ten wysoki mężczyzna, zawsze

wyprostowany jak żołnierz, dziś był przygarbiony, zgębiony i zarośnięty. I to jego odzienie! Zupełnie, jakby w nim spał! Pomięte i brudne! Co, na miłość...

- Dzień dobry... Mackie, prawda? - odezwał się Amerykanin.

- Ano...

Mackie zauważył, że na twarzy Jamiego pojawiły się zmarszczki, a oczy są zaczerwienione i podkrążone. A zatem biedaczysko zaczął pić?

Amerykanin wyjął dobrze znany staremu kawałek papieru i złotą monetę. Uśmiechnął się ze zmęczeniem.

Mackie niemal jęknął.

- Czy zanieiesz to, jeśli obiecuję, że to już ostatni? Wiem, że dostatecznie wykorzystałem twoją uprzejmość, lecz tylko raz... Zrobisz to?

Stajenny spojrział w zmęczone, pełne nadziei oczy i poczuł litość. Gdyby ten człowiek pił, powinien śmierdzieć, a tak nie było. Więc może zachorował?

Jamie mówił dalej, biorąc wahanie służącego za niechęć.

- Nawet nie musisz się spieszyć z odpowiedzią. Tylko powiedz, że dostarczysz list, a odejdę... głęboko wdzięczny.

Podał mu list i monetę. Mackie zauważył, że jego ręce lekko drżą. Biedny człek, cokolwiek by mu było.

- Ano - powiedział głośno i przyjął monetę wraz z kartką.

- Wielkie dzięki, Mackie - szepnął Jamie, odprowadzając go wzrokiem. Westchnął i przeczesał drżącą ręką splątane kędziory. Właściwie powinien się przespać i wykapać, zanim tu przyszedł. Ten biedny staruszek zrobił taką minę, jakby zobaczył ducha.

Przez cały dzień i noc pracował bez ustanku, by zdążyć

na czas, ogarnięty tylko jedną myślą: przyjść tutaj i prosić ją - nie, błagać! - po raz ostatni.

Czy przyjdzie? Pokręcił głową ze znużeniem i zawrócił do domu. Musi, do diabła, musi! Ponieważ jeśli tego nie zrobi, nie miał pojęcia, co począć.

Christmas otworzyła list drżącymi palcami i odczekała, aż drzwi sypialni zamkną się za panią MacLeod. Gospodyni podejrzewała, iż i ten list znajdzie się w koszu, więc opisała ze szczegółami, jak wyglądał dziś Jamie, kiedy spotkał się ze starym stajennym.

Jamie wyczerpany i zaniedbany, jakby był chory? Dobry Boże, a jeśli...?

Christina zaczerpnęła głęboko powietrza, odsunęła od siebie nie dokończoną myśl i rozłożyła list. Scott poruszył się w kołysce za jej plecami. Podeszła do niego. Spał; lecz wydawał się niespokojny. Uśmiechnęła się do tej małej istotki, którą kochała tak gorąco, że aż bolało ją serce. Delikatnie poruszyła kołyską, dopóki się nie uspokoił. Na różanych usteczkach pojawiła się odrobina śliny.

Nie odchodząc od dziecka, na powrót spojrzała na list. Pismo Jamiego, zwykle wyraźne i duże, wyglądało dziwnie chwiejnie. Wiadomość zawierała zaledwie kilka niewyraźnych słów, które zdołała jednak odcyfrować. „Tutaj potrzebne jest przebaczące serce. Proszę, przyjdź?”

Z dławiącym uczuciem w piersi zastanowiła się nad zmianą tonu listu. Teraz Jamie prosił ją o wybaczenie. Poprzednio zawsze twierdził, że to, co zrobił, jest niewybaczalne. Jakby niczego od niej nie chciał. W jej oczach

było to źródło całego problemu. Jamie wykluczył ją całkowicie ze swego życia, nie dając jej najmniejszej szansy. Z góry uznał, że jest taka jak inne... jak jego zmarła żona. Założył, iż zdradzi go tak jak tamta.

Potem nadeszły listy. Ale czy zmienił zdanie na jej temat? Nie. Z góry uznał, iż mu nie wybaczy, a to bolało. Tak, teraz mogła to przyznać. Niegdyś twierdziła, że nie chce go widzieć z powodu jego kłamstw i dlatego, że ją odepchnął. Tak, to także była prawda. Ale, o czym wiedziała bardzo dobrze, nie przestała go kochać.

Uznając ją za niezdolną do wybaczenia, zadał jej kolejną ranę. Potępił ją z góry, nie dał jej szansy udowodnienia, że nie jest tą, za którą ją uważał: zimną, zdradliwą kobietą.

Ale to? „Tutaj potrzebne jest przebaczące serce...”

Dłoń drżała jej tak mocno, że prawie nie mogła nacisnąć klamki. Wybiegła na korytarz.

- Pani MacLeod! - zawołała głosem zdławionym z emocji. - Pani MacLeod, proszę do mnie, i proszę mi przynieść *tonnag!*

Jamie zobaczył ją, stojąc w otwartych drzwiach. Wykąpał się i nieco ogarnął, tak jak sobie obiecał, po czym zaczął krążyć po podwórku i izbie. Nie był pewien, czy przyjdzie. Ale przyszła, a on na jej widok stanął jak słup soli.

Miała na sobie długą tartanową suknię, zupełnie taką samą, jak zapamiętał. Dzień był piękny, lecz znad jeziora dął wiatr, więc zwyczajem wieśniaczek zarzuciła na głowę chustę. Ale jej lśniące loki nie dały się poskromić. Trzepotały wokół twarzy niczym szkocka chorągiew. Wydawało mu się, że Christina coś niesie w zgięciu ramienia, choć nie widział tego wyraźnie. Chłonał jej widok, łapczywie przyglądał się doskonałym rysom jej twarzy, lecz nadal była zbyt daleko, by zdołał rozpoznać jej nastrój.

Zaniepokojony, nadal nie dowierzający swemu szczęściu, zmusił się, by pozostać na progu chaty. Musi poczekać, dopóki nie ujrzy jej oczu. Tak, te szare oczy potrafiły lśnić niczym rteć lub ciemnieć jak jezioro w chmurny dzień. O Boże, czy to możliwe, żeby kiedykolwiek istniała piękniejsza od niej kobieta? Była jak ziemia, wiatr i ogień. Jej



uroda przypominała wszystkie żywioty, była wcieleniem ducha tego dzikiego kraju.

Kochał ją ponad wszelkie wyobrazenie.

Ruszył ku niej, kiedy weszła na teren podwórza, i natychmiast przytrzymał się framugi drzwi, żeby nie upaść. Nie jadł i nie spał od dwóch dni. Wiedział, że od tego można stracić siły, lecz także zdawał sobie sprawę, że w jego przypadku chodzi o coś innego.

Był śmiertelnie przerażony myślą, iż mogłaby go odepchnąć.

Christina odetchnęła głęboko i ruszyła w stronę chaty. Jamie. Dobry Boże, jakież on wymizerowany! Nie był już tak zaniedbany, jak opisywał Mackie, lecz zmęczony i...

- Nie musisz się martwić, milady. Nie ugryzę. - Chciał przemówić z uśmiechem, lecz nie całkiem się mu to udało.

Christina nie zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Proszę, żebyś się tak do mnie nie zwracał. Poinstruowałam moich londyńskich prawników, żeby rozpoczęli starania o pozbycie się tytułu, a jeśli nawet im się to nie uda, i tak będę używać nazwiska rodziny mojej matki. Tutaj jestem tylko Christmas MacKenzie.

Jamie skinął głową poważnie.

- A zatem, Christmas? Czy może powinienem...

- Wystarczy Christmas... Jamie.

Na jego przystojnej twarzy zamajaczył cień uśmiechu. Zbliżył się ku niej, ale zdążył zrobić tylko jeden krok, kiedy spod chusty dobiegło ciche sapnięcie.

Christina spojrzała na źródło dźwięku z niewymownie czułym wyrazem oczu. Potem przeniosła spojrzenie na Jamiego. Nagle wydała się mu bardzo krucha.

- Twój syn, Jamie. Przy... przyniosłam ci twojego syna. Nazywa się Scott. Chciałbyś na niego spojrzeć?

Jamie zamknął oczy; to, co wybuchło w jego sercu, prawie rozerwało go na strzępy. Powoli podniósł powieki; Christina spoglądała na niego i wydawała się zupełnie bezbronna... i bardzo zraniona.

- Och, Christmas... - zaczął niepewnie, nie wiedząc, jak zacząć. Przełknął kulę, która uwięzła mu w gardle. - Chcę go zobaczyć, pragnę tego z całego serca...

- A zatem... - powiedziała z udanym ożywieniem i podała mu zawiniątko - ...proszę.

Jego syn. Malutka, ślicznie ukształtowana twarzyczka, wpatrzona w niego intensywnie błękitnymi oczami.

- Nie... nie jestem pewien, czy mogę... - wykrztusił.

Szare oczy spojrzały na niego nad główką niemowlaka. Miały tak samo skupiony wyraz, jak oczy dziecka.

- Oczywiście, że możesz. Jesteś jego ojcem!

Znowu zamknął oczy. Owładnęło go nieznane dotąd uczucie.

Christina źle zrozumiała jego reakcję i spochmurniała.

- Chyba tego nie kwestionujesz? Biorę Boga na świadka, że żaden inny mężczyzna...

- Chryste, nie! - zawołał głosem pełnym bólu. - Wielkie nieba, nie mów tak! Nawet tak nie myśl! Naturalnie, że jestem jego ojcem! Nie w to wątpię, lecz w wartość takiego ojca! Po tym, przez co przeszedłeś przeze mnie, nie sądzę, żebym miał do czegoś prawo, nie rozumiesz?

Christina pokręciła głową; w oczach stanęły jej oślepiające łzy.

- Dlaczego mnie tu zaprosiłeś?

Jego błękitne oczy przybrały kolor wieczornego nieba.

- Wydawało mi się, że wyraziłem to w liście, lecz masz prawo usłyszeć to z moich ust. Byłem ślepym głupcem. Zadałem ci okropny ból właśnie wtedy, kiedy miałaś odwagę się przede mną odsłonić. Zraniłem cię w tej samej chwili, w której zrozumiałem, że cię kocham. Jesteś jedyną kobietą, którą kochałem. Czy... czy zdołasz mi kiedykolwiek wybaczyć?

Z jej gardła wydarł się szloch; zdołała uśmiechnąć się przez łzy.

- Już ci wybaczyłam, Kochany. I tak cię kocham, że mogłabym za ciebie umrzeć!

Jamie wypuścił z płuc powietrze, które nieświadomie wstrzymywał. Z podejrzenie błyszczącymi oczami pochylił się nad dzieckiem, ujął w dłonie twarz Christiny i uwięził jej usta w pocałunku bolesnym od czułości i pożądania.

Zamknęła oczy; poczuła słony smak łez. Jego wargi były ciepłe i niemal boleśnie znajome. Usta Jamiego, ciepło Jamiego mówiło jej wszystkie te niemożliwe słowa, których nie spodziewała się już usłyszeć: że ją kocha.

Pocałunek się skończył, lecz Jamie ciągle spoglądał z bliska w jej twarz. Jego oczy przybrały odcień indygo; były pełne niewyobrażalnego ciepła i miłości. Cud nad cudami, Jamie ją kocha!

Jakby w odpowiedzi na jej myśli, wyszeptał ochryple:

- Kocham cię, Christmas MacKenzie. A jeśli oferta ciągle jest aktualna, moja odpowiedź brzmi: tak.

- Tak...? - powtórzyła w osłupieniu.

Na widok jego uśmiechu gdzieś w głębi jej ciała odezwał się powolny, słodki dreszcz.

- Tak, pragnę się z tobą ożenić, ty zachwycająca gąsko! Rok temu oświadczyłaś mi się, czyż nie?

Christina zdołała się uśmiechnąć, choć w oczach znowu stanęły jej łzy. Ale zanim wydobyła z siebie głos, niemowlak podniósł nagle wrzask pod niebiosa.

Jamie puścił ją i łypnął na syna spode łba.

- Protestujesz? Wolnego, młodzieńcze, chcę tylko uczynić z twojej matki uczciwą kobietę!

Christina parsknęła śmiechem i podała mu dziecko.

Tym razem wziął zawiniątko i spojrzał z podziwem na wrzaskliwą drobinę.

- Ma temperament MacIverów, to pewne.

- Maire powiedziałyby raczej, że widzi tu charakter MacKenziech.

Jamie wybuchnął śmiechem i pocałował ją, po czym złożył drugi całus na zmarszczonym czółku niemowlęcia.

Mały Scott natychmiast zamilkł i spojrzał ze zdumieniem na trzymającego go mężczyznę.

- A zatem - odezwał się Jamie - wiesz już, że tatuś cię kocha. Ale na wypadek, gdybyś w to wątpił -jego spojrzenie uciekło ku Christmas - zamierzam udowodniać ci to przez całe życie.

Dziewczyna miała wrażenie, że tonie w płynnym błękicie jego oczu.

- Całe życie... - powtórzyła jak echo.

Spojrzeli znowu na synka, który w mgnieniu oka zapadł w sen.

- Wyjątkowe dziecko - szepnął Jamie, biorąc Christinę za rękę. - Wie, kiedy się wycofać i zostawić mamusię pod moją opieką. Chodź, ukochana.

Pozwoliła się wprowadzić do chaty. W głosie Jamiego brzmiała dziwna nuta.

W izbie panował mrok. Christina zamruwała, by przyzwyczaić wzrok do ciemności. Tymczasem Jamie ostrożnie położył dziecko w dużym koszyku, w którym razem z Maire składały niegdyś ubrania wymagające naprawy. Scot spał jak aniołek. Jamie ustawił koszyk w odpowiedniej odległości od kominka. Powoli z mroku wyłaniały się kontury sprzętów. Wreszcie Christina spojrzała w miejsce, w którym zazwyczaj stał stół, i wydała cichy okrzyk.

Zamiast stołu ujrzała marmurowy posąg naturalnej wielkości. Przystawiał kobietę trzymającą niemowlę przy piersi. Sylwetka miała płynne macierzyńskie linie... ramiona obejmowały maleńkie dziecko... głowa pochylała się nad nim czule... twarz...

Twarz miała jej rysy. Christina zdała sobie sprawę, że patrzy na swoje lustrzane odbicie. Wstrząsnął nią dreszcz. Wiedziała, że postać została wykuta z marmuru, lecz przysięgłaby, że czuje ciepło skóry. Na kamiennej twarzy malowało się odbicie jej uczuć, kiedy kołysała dziecko - miłość, której nie można wyrazić słowami.

A jednak Jamie wyraził ją własnymi dłońmi. Miłość... tysiąc skomplikowanych doznań, które poznała przed urodzeniem Scotta i potem, kiedy wzięła go w ramiona... tak, jak ta kamienna kobieta.

- Jak... - wykrztusiła. - Jak zdołałeś... - Urwała, nie potrafiąc ubrać w słowa zdumienia.

Ale Jamie i tak ją rozumiał.

- Pozwoliłem, by uczucie... moje uczucie... prowadziło mi dłonie. To moja miłość, moja pamięć o tym, co było i co by mogło być pomiędzy nami... namiętność... ogień... lecz przede wszystkim bezgraniczna miłość, która nie chciała odejść.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Chciałem ją przegnać, wiesz? Tak się jej bałem, że... Ale ona nie chciała, moja najdroższa. Rosła i była coraz silniejsza.

- Aż... Czy to wtedy tu wróciłeś?

Skinął głową.

- Czułem, że marmur mnie woła. A także potrzeba powrotu tutaj, gdzie wspomnienia były najsilniejsze. Wyobraź sobie mój wstrząs, kiedy się przekonałem, że i ty tu wróciłaś. I kiedy cię zobaczyłem, z dużym brzuchem...

Wziął ją w ramiona, opierając brodę na jej głowie.

- Potem wiedziałem, że przyszło... to, czego tak długo szukałem. Gлина już nie wystarczała. To musiał być marmur... na tyle mocny, by wytrzymał pasję, która mną targała, ogień! A kiedy zacząłem, wiedziałem, że muszę znaleźć coś, co próbowałem osiągnąć przez całe życie.

Jego słowa zawierały jakby drugi sens; Christina poczuła, że coś w niej rośnie, rozprzestrzenia się. Dostrzegła, iż Jamie osiągnął pewien rodzaj harmonii, którego wcześniej w nim nie widziała, i czuła, że to ma coś wspólnego z nią, z miłością, którą - cud nad cudami, czy to nie sen? - czuł do niej. Jamie kochał ją, był związany z nią i dzieckiem, mimo upiorów przeszłości! Prawie w to nie wierzyła. To uczucie uderzyło jej do głowy jak wino i obudziło tak silne emocje, że aż się ich bała.

- To... cudowna rzeźba - wyszeptła, wtulona w jego ramię. Odsunęła się odrobinę, żeby na niego spojrzeć. - I mam na myśli najbardziej podstawowe znaczenie tego słowa. To cud... jest tak prawdziwa, że powinna oddychać i chodzić.

Jamie uśmiechnął się do niej.

- Być może. A jednak nawet w części nie jest tak cudowna jak kobieta, która mnie natchnęła. Gdybyś nie przewróciła mojego świata do góry nogami, ten ogień nigdy by się we mnie nie odrodził.

- Och, Jamie! Tak cię kocham!

Spowaźniał; jego spojrzenie przesunęło się po jej twarzy i spoczęło na wargach. Ujrzała, iż w jego oczach pojawia się ciemny płomień nowego uczucia. Namiętność, którą w niej rozniecił, wybuchła nagle, bez ostrzeżenia. Ogarnęło ją błogie odrętwienie.

Dotknął ustami jej warg, a ona wspięła się na palcach. Pożądanie, obecne od pierwszej chwili, opadło na nich oboje i zamknęło ich w swoich więzach.

- Słodki Jezu, jakże za tobą tęskniłem! - Gorący oddech Jamiego prawie parzył jej ucho. - Wydawało mi się, że oszaleję, jeśli nie będę mógł cię wziąć w ramiona!

Christina skinęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Chusta zsunęła się na podłogę.

Jamie ujął pukiel kędzierzawych włosów i unióśł go do ust.

- Ogień - wyszeptał. - Jedwab i ogień...

Spojrzał jej w oczy i powoli zaczął rozwiązywać tartan. Jego ruchy były niespieszne; wiedziała, iż sam chce ją rozebrać.

Serce biło jej jak młotem, kiedy czuła na ciele ręce,

poruszające się z dawną pewnością. Pamiętała ten dotyk, nawiedzał ją we snach. Musnął opuszkami jej piersi, a ona jęknęła, czując narastający wilgotny płomień. Przesunął palcami po łagodnej krzywiznie jej biodra i uda. Była niemal pewna, że jej skóra rozpływa się pod jego dłońmi.

Wreszcie objął jej pośladki i przyciągnął ją ku sobie gestem władczym, lecz proszącym. Ostatni skrawek materiału upadł na podłogę. Christina wydała nieartykułowany okrzyk i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Ach, ukochana - tchnął w jej ucho. Jego usta znaczyły ognistą ścieżkę na jej nagiej szyi i ramionach. - Oto prawdziwy cud... Istna doskonałość!

Odnalazł pulsujące wzniesienie na *jej* piersi. Dotknął go wargami i zaczął ssać tak jak jego syn, lecz z *jakże* innym zamiarem. Christmas poczuła znajomy rozkoszny skurcz i jęknęła, dręczona rosnącą żądzą.

Jamie mruknął coś niezrozumiale i chwycił ją w ramiona.

- Pragnę cię, najdroższa - szepnął ochryple. Zaniósł ją do łóżka, nie odwracając od niej oczu. Powoli złożył ją na pościeli. - Pragnę cię tak, jak jeszcze nikogo. I potrzebuję cię, tak cholernie cię potrzebuję, że...

Roześmiał się nieprzytomnie; zaczął zdzierać z siebie ubranie drżącymi rękami.

- Spójrz na mnie, trzęsę się jak zakochany uczeń, po raz pierwszy z kobietą... - Surowo ciosane rysy jego twarzy znalazły się tuż nad nią. - Ale jesteś moją pierwszą, najdroższą. Moją pierwszą miłością i nie mogę się doczekać, aż... - Znowu roześmiał się gorączkowo. - Och, ukochana, tak cię pragnę, że nie mogę czekać!



Wstrzymała oddech, kiedy przygniótł ją rozpalonym ciałem, budząc w niej kolejny dreszcz rozkoszy.

- Więc po co czekać? - szepnęła bez tchu. - Jamie, ja... ja też cię pragnę! Proszę!

Jęknął, lecz pokręcił głową.

- O, nie - mruknął. - Marzyłem o tej chwili zbyt długo, by minęła tak szybko. Kiedy skończymy - obrócił ją ku sobie - obiecuję ci, że będziesz całkowicie i nieodwołalnie przekonana, iż jesteś kochana!

I natychmiast dowiódł prawdziwości swych słów. Obsypał ją pocałunkami, poczynając od oczu; lekkimi, lecz podniecającymi pocałunkami pieścił każdy centymetr jej twarzy. Szeptał jej słowa zachwytu, wysławiał jej urodę, potwierdzał ją każdym dotykiem.

Wreszcie musnął wargami jej usta. Smakował je powoli, rozpalając w niej namiętność tak wielką, że aż bolesną. Czasami jego pocałunki były delikatne, lecz natarczywe... lekkie jak muśnięcia piórka... bezbolesne ukąszenia... mieszające się oddechy... Inne były długie i upojne. Zaplątał palce w jej włosach, uwięził ją w słodkim i czułym więzieniu.

Lecz wkrótce stał się bardziej niecierpliwy; rozchylił jej wargi i zaczął dręczyć pocałunkami, które domagały się czegoś więcej. Odpowiedziała tym samym. Czuła, iż w jej ciele narasta coraz większy płomień.

- Jamie! - krzyknęła, gdy gorący koniuszek jego języka wdarł się do jej ust. - Jamie, ja już nie...

Reszta słów utonęła w jęku, gdyż jego dłoń wsunęła się pomiędzy jej uda i głębiej, w gorące i wilgotne wejście.

- Cicho, maleńka - szepnął. - To dopiero początek...

I znowu pokazał jej, co to znaczy. Jego dłonie i wargi

przesuwały się po jej dygoczącym ciele powoli, czule, niespiesznie. Głaszcząc, drażniąc, kęsając, pieścił jej pierś równie dokładnie jak twarz. Nie zaniedbał żadnej części ciała, od czubków palców, które ssał i delikatnie gryzł, po wrażliwą skórę między palcami stóp, którą pieścił językiem, budząc w Christinie gorące, rozkoszne dreszcze.

Wiła się, przygnieciona ciężarem jego ciała; niecierpliwymi okrzykami domagała się, by położył kres temu oczekiwaniu, które doprowadzało ją do szaleństwa. Jamie niemal poddał się pokusie. Jego wytrzymałość prawie się wyczerpała, udręczona słodkim ciałem, które gładził i całował, cichymi jękami i natarczywymi krzykami kobiety w jego ramionach. Kobiety, którą kochał. Ale obiecał jej coś i zamierzał dotrzymać słowa.

Więc uspokoił ją pocałunkami, szeptanymi zapewnieniami o swojej miłości, podczas gdy jego dłonie odprawiały coraz bardziej cudowne czary. Obejmował i pieścił piersi, masował kciukami sutki, już nabrzmiąte i twarde jak kamyki. Za dotykaniem palców podążały usta; język i zęby budziły w jej piersiach to samo pulsujące pożądanie, które tętniło wilgocią między jej nogami.

Wygięła się w łuk, wparła w niego z zapamiętaniem, wyzuta z wszelkiej myśli, ogarnięta szaleństwem. Chwycił ją za biodra i przytrzymał nieruchomo.

- Jeszcze nie, najdroższa - wychrypiał. Jego spalone gorączką wargi przesunęły się po jej brzuchu i niżej. - Ale wkrótce... obiecuję...

W głowie mignęła mu szybka jak błyskawica myśl, iż jej brzuch jest równie płaski jak przed porodem, choć stał się

bardziej rozkoszny, jakby macierzyństwo dopełniło tego, co przedtem było tylko obietnicą.

Po chwili przestał myśleć. Christina rzucała się pod nim, ogarnięta szalem; chwycił mocno jej biodra i odnalazł ustami źródło gorącej wilgoci między udami. Objął jej pośladki i uniósł je ku sobie. Krzyknęła, najpierw ze sprzeciwem, potem w ekstazie, gdyż jego wargi musnęły wrażliwy, pulsujący pączek, dotknęły go jeszcze raz i znowu...

Usiłowała go odepchnąć; palce zaplątały się jej w jego krótkich jasnych kędziarach. Poczowała, że obejmuje ją ustami. Krzyknęła jego imię, czując pierwszy narastający dreszcz. Potem wszelkie protesty utonęły w nadchodzącej ekstazie. Zapomniała o wszystkim, pochwycona w oszalały wir doznań.

Jamie objął ramionami jej miotające się w konwulsjach ciało. Nie spodziewał się aż tak gwałtownej reakcji, a świadomość rozkoszy, jaką jej sprawił, ostatecznie wyczerpała jego wytrzymałość. Krzyknął ochryple i wbił się w nią gwałtownie, bliski szaleństwa po długich minutach dręczącego oczekiwania. Była gorąca, wilgotna i pulsująca, a kiedy znalazł się w niej, poczuł, że za jednym uniesieniem nadchodzi drugie, w niewiarygodnie gwałtownym rytmie. Nie pozostało mu nic innego, jak się mu poddać, co uczynił, zanurzając się w niej, cofając i zadając pchnięcie za pchnięciem, aż rozpalone do białości pożądanie osiągnęło wreszcie szczyt i wyrzuciło go ku ekstazie.

Usłyszał jeszcze, jak Christina wykrzykuje jego imię, i napełnił ją gorącym nasieniem. Jego krzyk wydał mu się odległy, gdy jednoczesny wstrząs poruszył nimi do szpiku kości i wyniósł aż do gwiazd.

Christmas poczuła, że serce powoli zaczyna się jej uspokajać. Nie miała pojęcia, jak długo to trwało, jak długo tak leżeli, objęci. Czuła, że jego serce, bijące pod jej policzkiem, także zwalnia szaleńczy rytm. Jakby byli jednym ciałem.

Poruszył się lekko, więc uniosła głowę i napotkała jego błękitne spojrzenie. Uśmiechał się leniwie, a w policzkach zrobiły się mu dwa dołeczki, na widok których serce omal nie omdlało jej z miłości.

- Masz taką minę, jakbyś był z siebie okropnie zadowolony - oznajmiła oskarżycielsko, również uśmiechnięta.

- Naprawdę? - Przesunął palcem po delikatnej linii jej czoła. Uśmiech stał się szerszy. - A dlaczego miałbym być zadowolony?

Christmas udała pełne godności oburzenie.

- Hm! Bardzo dobrze wiesz, dlaczego!

Jego palec obwiodł kontur jej policzka i dolnej wargi, potem ześliznął się niżej, na obojczyk i jedwabistą skórę ramienia.

- Chciałbym, żebyś to ty mi wyjaśniła, najdroższa. Dlaczego jestem taki zadowolony?

Christina oblała się gorącym rumieńcem.

- Ponieważ właśnie... ty... my... - Urwała, nie mogąc znaleźć właściwych słów. Wiedziała, że Jamie myśli o tym, co przed chwilą robili. Ona także o tym myślała. Jakżeby mogło być inaczej? Nawet się jej nie śniło, że kobieta i mężczyzna mogą osiągnąć taką intymność!

- Ponieważ sprawiłem ci rozkosz? - pomógł jej. Jego oczy błysnęły przekornie. Leniwie zatoczył palcami krąg wokół jej sutka.

Jęknęła i schowała twarz w jego ramieniu, przerażona gwałtownym rumieńcem, który oblał jej policzki. Przecież nie jestem niedoświadczoną dziewczyną, pomyślała. Na miłość boską, urodziłam dziecko!

Usłyszała cichy, zachwycony śmiech Jamiego; wziął ją pod brodę i podniósł jej twarz, skłaniając ją, by spojrzała mu w oczy.

- To mój obowiązek, najdroższa - szepnął. - My, MacIverowie od wieków służyliśmy MacKenziem. - Pocałował ją w czubek nosa. - A sądząc po twych okrzykach, dziś dobrze przysłużyłem się dziedzicznie, bardzo dobrze. Cieszę się, że nie obudziliśmy dziecka. Byłaś tak hałaśliwa, że...

- Jamie!

Roześmiał się i pocałował ją w usta.

- Jestem zachwycony wszystkimi twymi okrzykami, ukochana.

Christina zaczerwieniła się rozpaczliwie.

- Nie... nie miałam pojęcia, że to może być tak... tak...

- Intymne?

Skinęła głową, zarumieniona aż po korzonki włosów.

- Ach, kochanie - powiedział, przyciągając ją ku sobie. - Kiedy dwoje ludzi darzy się miłością, taka intymność jest rzeczą najbardziej naturalną pod słońcem. Nie musisz się tego wstydzić.

- Ale...

Położył jej palec na ustach.

- To dlatego, że jeszcze tego nie znasz, najdroższa. Ale nie martw się. Obiecuję, że będę cię uczyć bardzo powoli.

- Po... powoli? - W jej wnętrzu odezwało się znane pulsowanie.

- Mmm... Od tej chwili.

- Od... od tej chwili? To znaczy, że jest coś jeszcze?

Jamie spojrzał jej prosto w oczy z uśmiechem.

- O, tak... Prawdę mówiąc, to dopiero początek. - Jego kciuk zataczał leniwe kręgi wokół jej sutka.

Christina zadrżała, gdyż jej ciało odpowiedziało gwałtownie na dotyk Jamiego.

- I... i nauczysz mnie tego? - spytała nieśmiało, choć w jej oczach błysnęła iskierka ciekawości.

- Możesz być pewna - mruknął i pochylił się nad jej ustami.

Tym razem kochali się leniwie, bez tej zachłannej żądzy, która trawiła ich przedtem, poznając się i ucząc siebie nawzajem. Zgodnie z obietnicą, Jamie stał się jej nauczycielem na ścieżkach miłości. I w końcu, tak jak poprzednio, ich gwałtowne okrzyki zlały się w jedno w ogniu jednoczesnego oswobodzenia.

Ich syn obudził się wkrótce potem, zyskując sobie aprobatę ojca za to, iż okazał się na tyle dobrze wychowany, by poczekać, aż rodzice zaspokoją własny apetyt. Christina karmiła go, leżąc w rozrzuconej pościeli. Jamie przyglądał się im, pełen spokoju i zadowolenia, jakiego nie doznał jeszcze nigdy w życiu.

- Weźmiemy ślub tak szybko, jak tylko można - odezwał się, kiedy Christmas włożyła śpiące dziecko do koszyka. - Poznałem miejscowego wikarego i wydaje się całkiem rozumnym człowiekiem. Nie ma sensu czekać, aż wrócimy do Nowego Orleanu.

Christina poderwała gwałtownie głowę i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Do Nowego Orleanu?
- Oczywiście. Właśnie tam mieszk...
- Nie ma żadnego „oczywiście”, Jamie. Nigdy nie twierdziłam, że zamierzam opuścić Szkocję, i nie zrobię tego.

Jamie spojrział na nią zwięzonymi oczami, jakby wąpił w jej zdrowe zmysły,

- Ja mieszkam w Nowym Orleanie - powiedział powoli.
- A ja mieszkam w Szkocji! Przyjechałam tu na stałe.
- Ale wtedy jeszcze nie... Skoro zamierzamy się pobrać...
- Małżeństwo nie ma nic wspólnego z tym, co czuję do tego kraju. - Christina zaczęła się ubierać, lecz ręce trzęsły się jej tak, że to proste zadanie okazało się ponad jej siły. Nie chciała, żeby tak dygotały. Spojrzała na Jamiego. - Pokochałam te góry. Czuję się tu bardziej u siebie niż w wielkich posiadłościach, w których mnie wychowano. Nie chcę... nie mogę wyjechać.

Jamie przeciągnął dłonią po włosach i westchnął z desperacją.

- To szaleństwo. Przed chwilą znaleźliśmy coś, czego nie mieliśmy nadziei doznać. - Rzucił jej ostre spojrzenie. - Przynajmniej tak było w moim przypadku.

Christina pobrała, lecz on zdawał się tego nie dostrzegać.

- Kocham cię, Christmas. Kocham cię i chcę się z tobą ożenić. Chcę stworzyć dom dla ciebie i naszego syna, a także innych dzieci, które się nam urodzą z Bożej łaski. Chcę z tobą żyć, zestarzeć się u twego boku i kochać cię aż do śmierci. Powiedz mi, na litość, co w tym złego?

W jej oczach pojawiły się łzy.

- Nic, ukochany. Nie ma w tym nic złego. Tylko tego mogłabym sobie życzyć.

Jego twarz złagodniała; postąpił ku niej krok.

- Więc nie rozumiem, dlaczego...

- Ale chcę, żeby to wszystko działo się tutaj.

Stanął nieruchomo.

- Niech to diabli, kobieto, tam jest całe moje życie!  
O tysiąc kilometrów stąd, za oceanem! Jak mam...

- Mógłbyś to zostawić - poprosiła żarliwie. - Zostaw to, jak ja zostawiłam Anglię! Sam powiedziałeś kiedyś, że można się zagubić we wspaniałości tych gór. Sam powiedziałeś... Och, zostań, Jamie. Nie możesz tego zrobić?

- I czym bym się tu zajął? - rzucił gniewnie, rozdrażniony błagalnym wyrazem jej oczu i tą nieprzewidzianą przeszkodą, która oddaliła od niego szczęście właśnie w chwili, gdy zaczął w nie wierzyć.

- Mógłbyś rzeźbić - szepnęła z nadzieją.

Zakreśliło się mu w głowie. Rzucić wszystko? Zapomnieć o dawnym życiu i... Ależ to szaleństwo! Nie może nawet o tym myśleć! Potrzebują dochodów, jakie przynosi jego plantacja, nawet jeśli Christina sądzi inaczej. Nigdy nie zgodzi się żyć za jej pieniądze. Jest mężczyzną, do diabła! A mężczyzna musi zapewniać byt żonie i dzieciom. Nie obchodzi go, że pomiędzy arystokratycznymi nierobami panują inne zwyczaje!

Oczywiście, można by oddać posiadłość w dzierżawę, polecić ją opiece agentów i nadzorców, ale nie uznawał czegoś takiego. Takie plantacje nigdy nie osiągały pełnych zysków. Nie, to się nie uda. Spojrzał ze smutkiem na Christinę i powiedział jej to wszystko.

Dziewczyna już się ubrała, choć ręce drżały jej jeszcze bardziej. Dobry Boże, byli tak blisko... a teraz to!



- A zatem zdecydowałeś się? - spytała półprzytomnie. -  
Wracasz?

Jamie poczuł nagle, że jest zmęczony. Nie spał od dwóch dni.

- Skoro nie mogę utrzymać rodziny, skoro nie mam żadnego poważnego zajęcia, skoro mogę jedynie bawić się czymś, co może, lecz nie musi wydać owoców - wskazał na rzeźbę - nie pozostaje mi nic innego.

- Rozumiem. - Podeszła do koszyka i wyjęła z niego śpiące dziecko. Rzuciła Jamiemu spojrzenie pełne nieskończonego smutku. - W takim razie nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Odwróciła się i ruszyła w stronę otwartych drzwi.

Jamie spojrział za nią w osłupieniu.

- Christmas, poczekaj. Nie rób tego. Możemy...

Zamilkł, widząc, iż jego słowa nie mają już żadnego znaczenia. Christina i jego syn byli w połowie podwórza.

Zaklął wściekle i zatrzaskał za nimi drzwi.

Christina wlokła się do domu z głową pełną chaotycznych myśli. Nieraz zatrzymywała się, *walcząc* z pragnieniem, by zawrócić i rzucić się Jamiemu w ramiona. Ale co potem? Powiedzieć mu, że zrobi to, czego sobie życzył? Zostawić kraj, który pokochała, i szukać nowego domu - znowu - w obcym miejscu? Oddać to, co stało się częścią jej duszy, za...

Za mężczyznę, którego kochała tak mocno, że i on stał się jej częścią.

Dobry Boże, to niesprawiedliwe, krzyczała w duchu. Postanowienie zamieszkania w Szkocji było czymś więcej niż poszukiwaniem nowego domu. Ta decyzja stała się punktem zwrotnym w jej życiu. Podjęła ją świadomie i dzięki niej się zmieniła, zmieniła sposób, w jaki patrzyła na życie i siebie samą. Przyjrzała się bezlitośnie wartościom, jakim hołdowała - beznamietnemu pragmatyzmowi - i uznała, że są płytkie i niegodne uwagi, zwłaszcza w porównaniu z tym wspianiałym uczuciem wolności i niezależności, które poznała w tym kraju. Zrozumiała, iż potrafi dawać sobie

radę o własnych siłach, że może być szczerą wobec siebie. Nie chciała być kolejną idiotką, jakich pełno było w jej świecie. Zeszłego lata po raz pierwszy w życiu poczuła się potrzebna. Jeszcze nigdy nie żyła tak intensywnie, jak wtedy!

Ale - usłyszała nękający ją głosik - czy będziesz tak pełna życia bez Jamiego? Czy zdołasz czuć to bez niego? Zwłaszcza teraz, wiedząc, że cię kocha? Czy uniesiona dumą nie odrzucasz ostatniej szansy na szczęście?

Niosła śpiącego synka do domu, a w jej głowie wirowały myśli, od których omal nie oszalała.

Jeśli go kocha, powinna z nim być, bez względu na wszystko.

Jeśli on ją kocha, zgodzi się zostać, bez względu na wszystko.

Musi zapewnić synowi życie z kochającym ojcem.

Musi mu zapewnić życie pełne wolności i niezależności w kraju jego przodków.

Jest odważna, upierając się przy swoich zasadach.

Jest idiotką.

Bitwa argumentów trwała przez całą noc, nie pozwalając jej zasnąć. Wydawało się jej, że nigdy nie dozna większego bólu niż wtedy, gdy latem wyjechała ze Szkocji. Kiedy straciła Jamiego. *Ale teraz* wiedziała, że *może być gorzej*. Na jedną krótką chwilę zdołała uchwycić szczęście, lecz prześliznęło się jej między palcami.

I to ona o tym zdecydowała.

Parę godzin przed świtem przestała starać się zasnąć i zeszła do biblioteki. Sądziła, że książki ukoją jej umysł. Ale to nie dzieła Waltera Scotta czy modnego Roberta

Burnsa pomogły jej podjąć decyzję. Była to książka napisana przed dwoma stuleciami na życzenie szkockiego króla, lecz wydana w języku angielskim: Biblia Króla Jakuba. Christina przeglądała ją bezmyślnie, tylko dlatego, że stała pomiędzy innymi dziełami szkockiej literatury. Tom wysliznął się z jej zmęczonych rąk i upadł na podłogę. Podniosła go i wydała cichy okrzyk, widząc, w którym miejscu się otworzył. Jej spojrzenie padło na cytat z Księgi Ruth: „Gdziekolwiek pójdiesz, z tobą pójdę, a gdziekolwiek mieszkać będziesz, z tobą mieszkać będę”.

Skinęła głową ze znużeniem. Tak jak Ruth, pozostanie w obcym kraju przy tym, który ją kocha i potrzebuje. Nie płakała; zamknęła oczy, czując tępy ból, narastający gdzieś głęboko w jej wnętrzu.

Jamie znalazł sen bez trudu. Wyczerpany po dwóch bezsennych nocach, zmęczony na ciele i duszy, tuż po wyjściu Christiny zapadł w niespokojną drzemkę. Dręczyły go koszmary. Widział bladą, nieruchomą twarz Desiree, która odebrała życie sobie i nie narodzonemu dziecku; jej rysy zaczęły się zmieniać, bezkrwiste ciało uniosło się na jego oczach i stało się Christiną, trzymającą w ramionach małego Scotta. Ale kiedy wyciągnął ku niej rękę, rozplynęła się i na powrót przybrała postać Desiree, a ich syn stał się kredowobiałą figurką bez twarzy.

W następnym śnie stał się dwunastoletnim chłopcem. Czytał pożółkły strzęp gazety na poddaszu w domu rodziców. Ale tym razem nagłówek głosił: KAPITAN JAMIE MAC-

## IVER PRZED SĄDEM WOJENNYM ZA TCHÓRZOSTWO. WOLAŁ OPUŚCIĆ KOBIETE, KTÓRĄ KOCHAŁ, NIŻ POŚWIECIĆ SIEBIE.

W trzecim śnie, najgorszym, rozbił młotem marmurową rzeźbę matki z dzieckiem, po czym odkrył, iż zabił Christinę i swojego syna. Obudził się z krzykiem, zlany potem, z sercem bijącym na alarm.

Umył się, ogolił i ubrał. Wiedział już, co ma zrobić. Ale jego plan skryształizował się ostatecznie dopiero wtedy, gdy Robbie MacTavish pojawił się w jego chacie z nie zapowiedzianą wizytą.

Stajenny Mackie właśnie zapadł w przyjemną drzemkę na słoneczku, naciągnawszy beret na oczy. Uporał się z porannymi obowiązkami, a jego sterane kości domagały się wygrzania w ciepłych promieniach.

- Bardzo przepraszam, Mackie... Czy nie zechciałbyś zanieść wiadomości ode mnie?

Stary otworzył oczy z niedowierzaniem. O, nie! Znowu ten Amerykanin. Z pewnością chce wpędzić biednego starca do grobu! Czy to dopust boży za to, że nie chodzi zbyt często do kościoła?

Westchnął i zsunął beret na tył głowy. I zamarł z otwartymi ustami.

Stał przed nim Amerykanin MacIver, co do tego nie było wątpliwości. Stary rozpoznawał jego twarz pod gęstą złotą czupryną w kolorze dzikiego miodu. Zmrużył oczy i doszedł do wniosku, że MacIver wygląda na mniej zmęczonego i o wiele bardziej zdrowego niż poprzednio. Z pewnością

nie robił wrażenia szaleńca. Jego ciemnobłękitne oczy spoglądały spokojnie i beztrąsko. Ale reszta!

Jamie uśmiechnął się i podał staremu służącemu karteczkę i złotą monetę.

- Dobrze widzisz, Mackie - powiedział. - Dawno powinienem to zrobić. Pomógł mi Robbie MacTavish, który zaprowadził mnie do zaufanej osoby, więc sądzę, że wszystko jest jak należy. Czy będziesz tak dobry i doręczysz tę wiadomość? To naprawdę ostatnia, daję słowo.

Mackie wstał, mrużąc coś pod nosem, przyjął list i monetę, i ruszył do dworu. Robbie MacTavish, czy tak? No, to wszystko tłumaczy. Całe Inverness-shire wiedziało, że ten dziki pomyleniec ma głowę nie od parady.

- Nieszczęsny MacIver - mruknął stary pod nosem. - Wpadł, biedaczysko, to pewne, a MacTavish zarobił parę ładnych groszy, jak Bóg na niebie!

Christina wydawała pani MacLeod ostatnie instrukcje dotyczące opieki nad Scottem, kiedy Mackie nieśmiało zapukał do drzwi kuchennych.

- Och, nie teraz! - rzuciła niecierpliwie gospodyni. - Trza osiodłać konia dla dziedziczki, twoje sprawy mogom poczekać.

Stajenny wzruszył ramionami i odwrócił się, żeby odejść. Christina zauważyła, że z jego dłoni wystaje rozek kartki; serce zabiło jej z nadzieją.

- Mackie, poczekaj!

Stary zawrócił.

- Czy... czy to wiadomość dla mnie?

- Ano, a on czeka w podwórzu.

Wzięła liścik drżącymi palcami, chłonąc wzrokiem ner-

wowo kreślone pismo Jamiego. Chciała właśnie pojechać do zagrody, by powiedzieć, że podjęła decyzję. Czuła, że serce na zmianę boli ją i pulsuje radością. Kochała te dzikie wzgórza, całą duszą należała do nich; gdyby miała je porzucić, porzuciłaby część samej siebie. Ale kochała także Jamiego MacIvera, całą sobą, i dla niego postanowiła zrezygnować z mniejszej miłości... Gdziekolwiek pójdiesz...

Nie wiedziała, czy dokonała właściwego wyboru. Targały nią sprzeczne uczucia.

A oto dowiadywała się, iż on przyszedł do niej! Czekał na nią na zewnątrz, a cokolwiek to oznaczało, nagle decyzja wydała się jej łatwiejsza do podjęcia.

Minęła pędem dwoje służących, którzy uśmiechnęli się od ucha do ucha. W pośpiechu wpadła na żywopłot; w lśniących zielonych liściach zaplątał się jej *tonnag*. Wyszarpnęła go niecierpliwie, nie chcąc się zatrzymać nawet na chwilę.

Minęła żywopłot i pobiegła ku stajniom. W głowie rozbrzmiewał jej uporczywy refren: Przyszedł! Przyszedł! Przyszedł!

Wypadła na brukowany dziedziniec i stanęła jak wryta, nie pojmując, co widzi. Stał przed nią Jamie MacIver, wyprostowany dumnie, jak na żołnierza przystało, przyodziany od stóp do głów w tartany w kolorach jej klanu - klanu MacKenziech. Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy ujrzała te duże, zielone i niebieskie kwadraty przedzielone cienkimi czerwonymi i białymi liniami. W uszach zaczęło jej szumieć, a serce ścisnęło się, pełne dzikiej, ognistej radości.

Jamie uśmiechnął się do niej z niewysłowioną czułością i wyciągnął ramiona. Rzuciła się w nie, szlochając.

- Óóóó, kochanie, óóóó - szepnął, głaszcząc ją po włosach. - Wiem, że moje nogi nie wyglądają ładnie w kilcie, ale nie trzeba z tego powodu płakać!

- Wy... wyglądają pię... pięknie-wykrztusiła, pociągając nosem. Potem uścisnęła go żarliwie. - Och, Jamie, jak ja cię kocham!

Zamknął oczy, pojąc się jej świeżym, słodkim zapachem - zapachem słońca i wrzosów.

- Ukochana... ukochana - szepnął.

Kiedy wreszcie zdołali się od siebie oderwać, Christmas zarzuciła go tysiącem pytań.

- Skąd wzięłeś tartany? Skąd wiedziałeś, jakie są kolory MacKenziech? Kto ci powiedział, jak się nosi broszę na lewym ramieniu? Skąd zdobyłeś sporran i herb z wielobarwnym ostrokrzewem MacKenziech? Jak...

- Hola! Wystarczy, pani dziedziczko! - Jamie zaśmiał się. - Robbie MacTavish zaprowadził mnie do wioskowej tkaczki. Zdaje się, że kobiecina zabrała się do produkowania wielkiej ilości tartanów MacKenziech, kiedy się okazało, że dziedziczka zostanie na swoich włościach. Rozstała się z ich częścią dopiero wtedy, gdy wyjawilem, iż ożenię się z dziedziczką i sam także tu zostanę.

Christmas znowu zaczęła pociągać nosem.

- Och, Jamie, na pewno? - Załkała. - Wła... właśnie wybierałam się do ciebie, żeby powiedzieć, że... pojedę z tobą!

- Och, skarbie! Te łzy wejdą ci w zwyczaj! - powiedział przekornie. Spoważniał i uniósł lekko jej brodę. - Na pewno. I jestem jeszcze bardziej zdecydowany, wiedząc, że chciałaś zdobyć się dla mnie na to poświęcenie. Widzisz, kiedy



odeszłaś, nawiedziły mnie koszmary. Przez parę przerażających, samotnych godzin zrozumiałem, co się dzieje. To ty zawsze chciałaś się zmieniać, odważnie podążać za swymi przekonaniem. To ty wyłamywałaś się z szablonu, jeśli zaczynał ci doskwierać. Czy podejmowałaś się pracę służącej, czy oświadczałaś się mężczyźnie, czy decydowałaś urodzić dziecko jako panna w dzikim, obcym kraju, zawsze byłaś gotowa zrobić to, co należało, choćby mogło się to spotkać z potępieniem, choćby było niebezpieczne. A ja - ciągnął, ocierając jej z twarzy ostatnią łzę - tkwiłem w pułapce przeszłości. Zraniony przez ludzi, którzy dawno odeszli, nie miałem odwagi, by znowu oddać się miłości... przynajmniej do tej chwili. Aż do ostatniej nocy, kiedy zrozumiałem, że stracę cię po raz drugi, pojąłem wreszcie, jakim byłem tchórzem... Nie, nie zaprzeczaj. To prawda. Bałem się pokochać... zaufać. Byłem takim samym tchórzem jak mój ojciec. Uciekałem dokładnie tak jak on.

Uśmiechnął się do niej; jego oczy pociemniały, nabrały błękitu wieczornego nieba.

- Ale skończyłem z uciekaniem. Chcę tu zostać... jeśli pani dziedziczka się zgodzi.

Christina błysnęła oszałamiającym uśmiechem.

- Och, człeku! - zawołała. - Toć MacKenzie od zawsze potrzebował MacIverów! Powiadam ci, to więź, co nas łączy od stuleci, wykuta w naszych sercach!

Jamie zmierzył jej kształtną figurę łobuzerskim spojrzeniem.

- Ano - szepnął. - A jeśli dziedziczka pozwoli, zaraz wykujemy ją także w innych częściach ciała!

Parsknęła śmiechem i ruszyła w stronę domu.

## EPILOG

Christmas przyglądała się swojemu synowi, pędzącemu przez pastwisko na krzepkich nóżkach. U jego boku skakał O'Kelly. Za nimi galopowało trio najnowszych sierot ojca Liama, lecz żadne z nich nie potrafiło dogonić chłopczyka ani psa. W wieku pięciu lat Scott był wyższy o głowę od siedmioletnich bliźniaków i dorównywał wzrostem dziewczynce, która twierdziła, że ma osiem lat, choć nie była tego pewna.

Chłopiec był silny i opalony, miał długie nogi, odziedziczone po ojcu, i doświadczenie w bieganiu i hartujących dziecięcy organizm zabawach na świeżym powietrzu. Trójka dzieci, które ojciec Liam znalazł w slumsach Edynburga, nie znała przyzwoitych posiłków, dopóki ksiądz nie uratował ich z nędzy. Kiedy przybyły, wyglądały jak śmiertelnie blade szkielety. Były tak niedożywione i chore, że z trudem się ruszały.

Lecz po dwóch tygodniach w dworze MacKenziech zaczęły się zaokrąglać. Pani MacLeod i kucharka uznały za osobisty punkt honoru, by dobrze karmić te czeredy sierot, które Christmas i Jamie przyjmowali do siebie. A stary

Mackie nie zaznał spokoju, dopóki każde z nich nie nauczyło się jeździć konno.

Ale to mały Scott wprowadził rzeczywistą zmianę w życie tych smutnych, często przerażonych dzieci, które mieszkały tu czasem i przez parę miesięcy, zanim ksiądz nie znalazł dla nich ciepłych, kochających rodzin. Silny, szczęśliwy chłopczyk był urodzonym przywódcą i w jakiś sposób zdołał dokonać tego, że wszystkie dzieci natychmiast czuły się przy nim swobodnie. To dzięki niemu korytarze dworu rozbrzmiewały dziecięcym śmiechem i wesołymi głosikami. Scott był wolnym duchem, typowym niezależnym Szkotem, i za każdym razem, gdy Christmas przyglądała się mu, biegającemu swobodnie po bujnych łąkach i wzgórzach, wiedziała, że dokonała właściwego wyboru. Zadrżała na myśl o tym silnym, energicznym dziecku uwięzionym w jakimś londyńskim salonie lub nawet w szkolnym pokoju jednej z jej wiejskich posiadłości. Scott uczył się także i tutaj - potrafił już czytać i pisać proste zdania - lecz jego właściwy żywioł był na otwartej przestrzeni, wśród dzikich, pięknych gór.

- Chciałabyś się uganiać wraz z nimi, najdroższa?

Christmas roześmiała się; stojący za nią Jamie oplótł ją ramionami.

- Gdybym spróbowała, w najlepszym razie człapałabym jak kaczka, i dobrze o tym wiesz!

Jamie roześmiał się; jego oddech poruszył kędziory włosów na jej skroni. Delikatnie dotknął jej zaokrąglonego brzucha, zwiastującego bliski poród.

- Ha! Sądząc po jej ruchach, prześcignie Scotta natychmiast, jak zorientuje się, że ma nogi!

Christmas uśmiechnęła się do męża. Pamiętała jego fascynację, kiedy po raz pierwszy poczuł małą nóżkę lub łokieć, naciskające od wewnątrz na ścianę brzucha.

- Skąd wiesz, że to ona? Może to chłopiec?

Jamie uśmiechnął się do niej w sposób, który zawsze budził w niej dreszcz podniecenia, nawet teraz.

- Owszem - przyznał - lecz sądząc po tym, ile czasu zajęła jej decyzja przyłączenia się do rodziny, wnoszę, iż to młoda dama!

Scott miał cztery lata, kiedy Christmas zaszła wreszcie w ciążę. Sądziła już, że nie będą mieli więcej dzieci. Nie martwiło ich to zbyt, gdyż za sprawą ojca Liama mieli w domu dość maluchów. A Jamie z upodobaniem twierdził, iż dzięki temu czeka ich najbardziej rozkoszne zadanie: ponawianie prób.

- Scott złożył zamówienie na chłopca - odezwała się Christmas. - Powiedział, że Jean-Paul twierdził, iż Kathleen to zołza i nie potrafi dobrze rzucać piłką, więc nie warto mieć siostry.

Jean-Paul, liczący sobie cztery lata, oraz Kathleen, mająca dwa i pół roku, byli dziećmi Jacques'a i Maire. Beaumonde'owie mieszkali na plantacji obok posiadłości Jamiego w Nowym Orleanie. Jacques zarządzał także Tysiącem Dębów. Cała rodzina wsiadła na statek i parę miesięcy temu odwiedziła MacIverów, a Scott i Jean-Paul natychmiast zostali przyjaciółmi do grobowej deski.

- Więc to tak? - Jamie uniósł pukiel jej włosów i owinał go sobie na palcu. Przyjrzał się jego lśnieniu w promieniach słońca. - Ten młody człowiek powinien wiedzieć, że pewna

rudowłosa pani ma w moim sercu wyjątkowe miejsce i bardzo bym pragnął posiadać jej miniaturę.

Christmas zachichotała.

- A jeśli się okaże, że to rudowłosy chłopiec, który nie potrafi rzucać piłką? Co wtedy zrobicie?

Jamie ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował tak, że palce u stóp same się jej podkuliły.

- Będziemy go kochać, najdroższa - szepnął. - Będziemy go kochać tak, jak kochamy jego matkę.

Christmas oblała się ciemnym rumieńcem. Ciągłe zadziwiało ją, jak to możliwe, że nieustannie pragnie Jamiego, nawet tutaj, w biały dzień, nawet w ósmym miesiącu ciąży! Obejrzała się przez ramię, sprawdzając, czy nie gorszą sierot (Scott był przyzwyczajony do manifestacji uczuć pomiędzy rodzicami), lecz zamiast małych postaci ujrzała znajomą czarną sylwetkę, zbliżającą się ku nim w towarzys-  
twie...

- Dobry Boże! - zakrzyknął Jamie, ujrawszy księdza, który stał się jego bliskim przyjacielem. - Skąd ojciec wziął tę hordę szczeniaków?

Zdyszany po wspinacze Liam Kileen zmierzył spojrzeniem cztery spore kudłate pieski, skaczące wokół niego.

- Przypominacie sobie, że poszedłem do MacMurchiech? Miałem od nich wziąć małego kociaka, by był mi dobrym towarzyszem podczas podróży.

Christmas skinęła głową; Jamie spytał, czy rzeczywiście wziął kota.

- Nie wziąłem - oznajmił ksiądz. - Widzicie, po drodze do MacMurchiech spotkałem potężnego starego Szkota,

który spytał mnie, gdzie też się wybieram. A kiedyś mu powiedział, przekonał mnie, że lepszym przyjacielem będzie mi wspaniały irlandzki wilczur, który jak i ja pochodzi z Auld Sod...

Jamie przyjrzał się szczeniakom i pożałował przyjaciela, choć nie miał serca burzyć mu dobrego nastroju. Dobrze znał masywną sylwetkę największego psa świata; O'Kelly posłużył mu jako model do kilku rzeźb, z których ostatnia została zamówiona przez mieszkańca Dublina, niejakiego Hamiltona Rowana, właściciela irlandzkiego wilczura.

Ale szczeniaki dokazujące u stóp księdza w niczym nie przypominały O'Kelly'ego. Były to szkockie ogary, i tyle.

- Ale, ojciec - odezwała się Christmas - jak ojciec sobie poradzi z czterema psami? Czy wzięł je ksiądz na próbę, by dokonać wyboru, czy też...

Ksiądz westchnął.

- Niestety, moja droga, zdaje się, że nie zachowałem się najroztropniej. Chciałem wybrać tylko jednego pieska, lecz właściciel... ha, ma wielki dar przekonywania. Może go znacie?

Usta Jamiego zadrgały niebezpiecznie.

- Owszem - przyznał, rzucając spojrzenie żonie, która z wysiłkiem starała się zachować poważną minę. - Zdaje się, że go poznaliśmy.

Ojciec Liam skinął głową.

- Nazywa się MacTavish... Robbie MacTavish, i nie pomyślałbym, że was zna, lecz dopytywał się o tego Francuza, co to go poślubiła moja kuzynka. Jak wam się zdaje, czego od niego chciał?

- Ach... - Christmas, obrzuciła męża ostrzegawczym spojrzeniem. - Z pewnością uważał, iż możecie mieć ze sobą coś wspólnego.

Jamie parsknął śmiechem, co wydało się księdzu bardzo dziwne. Lecz choćby myślał przez okragły rok, nigdy nie zdołałby dojść, dlaczego jego droga przyjaciółka Christmas nagle zagroziła własnemu mężowi, że wytarga go za uszy!

K O N I E C